

7
БРАГОЗЕМНИКЪ - КЪИФЕР - HUMOR... 4.

1. Dotyczące książki

Data oddania książki

2. Dotyczące czytelnika

7
=
KSIĘGI

3

H

HUMORU POLSKIEGO

ZEBRAŁ, UŁOŻYŁ I OBJAŚNIŁ

KAZIMIERZ BARTOSZEWICZ.



N^o 3096

WYDANIE OZDOBIONE PORTRETAMI I AUTOGRAFAMI HUMORYSTÓW
I SATYRYKÓW POLSKICH.



PETERSBURG.

NAKŁADEM KSIĘGARNI K. GRENDYSZYŃSKIEGO.

1897.

MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA

Radom

H. 698.

~~P. 24644~~

8-8

Bar

Księ

24561/II



10989

884-1(082.2)



Sądząc, że się obejdzie bez przedmowy do „Ksiąg humoru polskiego“ nie umieściłem jej w tomie pierwszym. W ciągu pracy jednak nad ułożeniem „Ksiąg“ przekonałem się, że należy choć krótko podać ich rodowód i wyjaśnić dlaczego przyjąłem taki, a nie inny sposób układu.

Przed kilkunastu laty, w zamian za pożyczony przeze mnie skromny kapitałik właścicielowi jednej z krakowskich księgarni, otrzymałem od niego kilka szaf książek i zadłużoną firmę. Nie mając fachowych wiadomości do prowadzenia księgarni, chciałem brak ich zastąpić pracą w kierunku wydawniczym. Zaczynając jednak w bardzo trudnych warunkach materialnych, musiałem zastosować do nich mój program wydawniczy i sposób jego wykonania.

W licznych dość szeregu moich wydawnictw były i „Perły humoru polskiego“. Wiedziałem bardzo dobrze, że należało je ułożyć w porządku chronologicznym, ale musiałem się rachować z wyżej zaznaczonem mojem położeniem. Obawiałem się, że jeżeli wypuszcze kilka pierwszych zeszytów, wypełnionych mniej dostępnym i mniej pożądanym dla warstw szerszych humorem w. XVI. i XVII., to na dalsze zeszyty mało znajdę odbiorców. W tym stanie rzeczy „Perły“ stały się zbiorem bezładnym, — obok Reja stał Wilkoński, Kochanowski sąsiadował z Wacławem Szymanowskim.

Żał mi jednak było pomysłu spaczzonego. Myślałem zawsze o drugim wydaniu „Perła“, ułożonem chronologicznie, znacznie z jednej strony dopełnionem, a z drugiej pozbawionem zdawkowej humorystyki bieżącej, umieszczanej dla mniej wybrednych czytelników. Zamiar ten jednak pozostałby może zawsze tylko zamiarem, gdyby nie p. K. Grendyszyński, który podjął się materialnej strony wydawnictwa.

Dzięki temu, wychodzą „Księgi humoru polskiego“, które mają być, jak to słusznie powiedział wydawca w prospekcie, antologią naszego humoru i satyry. Nie przeczę, że w tej antologii i tak będą braki, bo pierwsza to próba ułożenia chronologicznego płodów polskiego dowcipu. Mogąc korzystać jedynie ze zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej i XX. Czartoryskich, nie miałem pod ręką wielu starych druków, które należałoby wyzyskać. Krępowały mnie również ściśle określone rozmiary wydawnictwa. Często więc podaję tylko streszczenia lub drobne wyjątki.

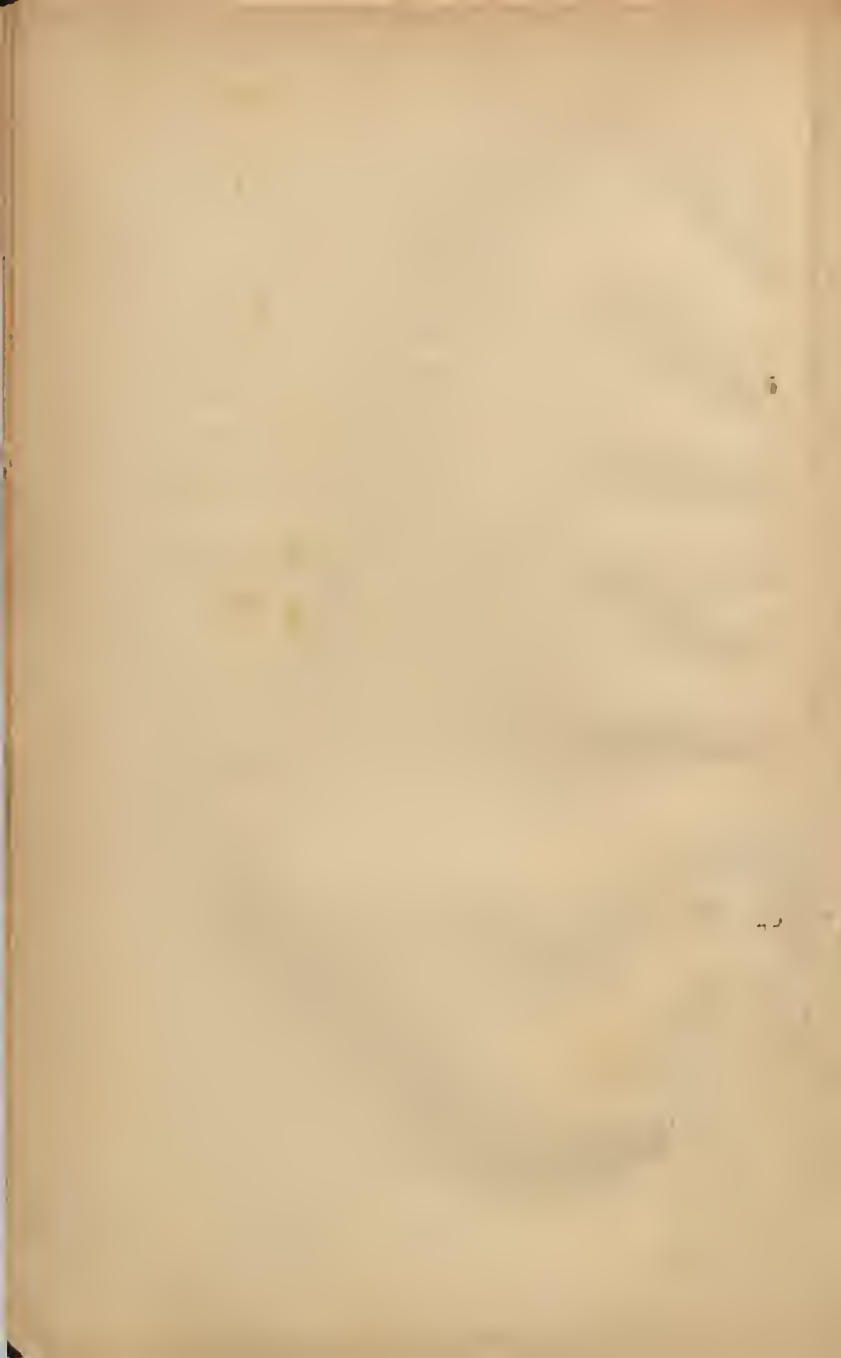
Pragnąc, aby „Księgi“ były o ile możności pełnym obrazem humoru polskiego, nie mogłem odrzucić starych anegdot, ani płodów dowcipu ludowego. — uwzględniłem również przysłowia i przypowieści, — zajrzałem nawet i do rękopisów. W ten sposób obraz jest pełniejszy, ale zato w szczegółach mniej dokładny, bo szczupłe ramy nie mogły objąć całego zebranego materiału.

Wciągnąłem do humoru i satyrę, boć wszakże humor jest jej nieodłączną przyprawą, często zresztą trudno przeprowadzić granicę między temi dwoma rodzajami twórczości. A raz zdecydowawszy się na objęcie „Księgami“ i satyry, nie mogłem pominąć i tej, w której humor gra bardzo podrzędną rolę. Wyłączyłem tylko satyrę polityczną, jako wymagającą zbyt wielu objaśnień, co przemieniłoby „Księgi“ w studium literacko-histeryczne. Jestto zresztą osobny rodzaj, wymaga całkiem innego opracowania i z natury rzeczy może mieć tylko szczupłe grono czytelników.

Nie uważałem za stosowne pominąć zupełnie płodów rubasznego humoru. Chciałem, aby czytelnik z „Ksiąg“ poznał wyobrażenie o tem kiedy w jakiej formie humor polski się przejawiał. Odrącić rubasność z humoru XVI. i XVII. w. to pozbawić go cechy wysoce charakterystycznej, to po prostu mylnie go przedstawić, dać o nim fałszywe pojęcie. Całą rozprawę wreszcie można napisać na temat co ujemniej może wpłynąć na czytelnika: czy owe swobodne wybryki dawnego humoru, czy połowa dzisiejszej beletrystyki, dostępna najszerszym warstwom (zwłaszcza ze sceny), a która pod przyzwrotną formą szerzy moralną zgniliznę. Dziwna rzecz tylko, że chwalcy i wielbiciele tej ostatniej, udają „zgorszonych“ wesołym śmiechem dawnego polskiego szlachcica. W każdym razie, jak mi to przyzna nieuprzedzony czytelnik, mogę śmiało powiedzieć, że wobec przewagi humoru tego rodzaju w naszej dawnej literaturze, tylko lekko zaznaczyłem w „Księgach“ jego istnienie.

Kazimierz Bartoszewicz.





N^o 3096 II



KSIĘGI HUMORU POLSKIEGO



★ WIEK XVIII. ★



Upadek naszej literatury w pierwszej połowie XVIII. w. odbił się zarówno i na humorze i na satyrze. Można powiedzieć, że dopiero Bohomolec koło 1760 r. rozpoczyna budzić na nowo ruch literacki od lat kilkudziesięciu całkiem przerwany. Jedynymi ogniwami w naszej literaturze pięknej między epoką, którą zamknęli Kochowski i Potocki, a tą, która wydała Krasickich, Naruszewiczów, Trembeckich, Węgieńskich, Zabłockich, są: Jan Stanisław Jabłonowski, mało utalentowany autor, a raczej przerabiacz bajek, i Elżbieta Drużbacka, jedyna, która w pierwszej połowie w. XVIII. pisała nie złe wiersze. Dla zaznaczenia tych ogniw jak i dla nieprzerwania łańcucha humoru i satyry, podałem krótkie z obu tych pisarzy wyjątki. Od chwili kiedy występuje Bohomolec aż do końca XVIII. w. niema już obawy o brak materiału, a raczej żałować należy, że wiele utworów godnych przedruku dla braku miejsca trzeba opuścić.



JAN STANISŁAW JABLONOWSKI

(ur. 1670 + 1732).

Z NOWEGO EZOPA POLSKIEGO ¹⁾.

Czapla i Panna.

Była to czapla na wysokich nogach.
 Która chodziła po błotnistych drogach:
 Długi nos miała, a najdłuższą szyję.
 Nie mając butów bosa nogi myje.
 Ta to nad rzeką z swym pańskim humorem
 Chodziła sobie śpiewając tenorem.
 Mówiła sobie: „przeciemem nadobna.
 Najpiękniejszemu ptakowi podobna:
 Do tego żadna przedemną się ryba
 Mi nie wybiega aż najgłębiej chyba“.

¹⁾ Nowy Ezop polski czyli życie Ezopa i sto bajek wybranych z ksiąg różnych autorów. Lipsk 1731. Wprawdzie bajki, jak sam autor przyznaje, nie są oryginalne, ale należy je uważać raczej za przeróbkę niż za proste tłumaczenie.

W tych pysznych myślach na ryby te patrzy
I dybie którą najlepiej upatrzy.
Głupie zaś rybki tam się pozbiegały.
Wzajem na czapłę dość zbliśka patrzyały.
Były okuńki, karaski, szczupaczki.
Linki, szaranki i żabki i raczki.
Lecz Pani Czapła wszystkie rybki mija.
Mówiąc: że chylić po ten drobiazg szyja
Boli ją: „właśnie po biedne szczupiele.
Mam ja ponosić fatygi tak wiele?!
I lin błotnisty niewart mojej pracy:
Karaski niechaj łowią inne ptacy.
Oklej i z płocią to dla Matyasza.
Lepszej potrawy godna gęba nasza—
Tak długo Czapła, tak z sobą gadała.
Te co przed nosem były opuszczała.
Aż też i rybki ztamtąd się umknęły.
I na głębiznę chybko odpłynęły.
Czapła już żadnej do łowu nie widzi.
I swej się głupiej w sobie pychy wstydzi.
Dobry apetyt tymczasem przystąpił.
Kiedy onych ryb połów jej ustąpił.
Nie trzeba widzieć w potrawach przebierać.
Ale co Bóg da to ochotnie zbierać:
Wtem mizernego połyka ślimaka. —

Słyszcież: nie jedna z panien bywa taka.
Jedna to panna (ej nie jedna) była.
Która zaprawdę tak przymiotów siła
Miała przyjemnych, cnotę przy urodzie.
Statek z rozumem wszystko miała w zgodzie,
Lecz w prezumpcyi była strasznie śmieszna:
Któraż urodna by nie była pyszna?
Ta umyśliła mieć za kawalera,
Którego naprzód bohaterska cera

Hożym czyniła, żeby był i z nosem,
Z rozumem, z acny, oraz z dobrym trzosem;
A nie wiedziała owa dziewczka miła,
Że na jednego jest to bardzo siła.
Odzywają się różni konkurenci,
Jaki się taki koło damy kręci,
Ten przez rodziców pannie czołem bije,
A ten przez baby swe konkurencyje
Stroi załoty, a tego czeczotki,
Czuby służyście, tego wiodą ciotki.
A moja panna jako czapła owa.
Z sercem się swoim jak z klejnotem chowa
Kradzionym: „To ten bardzo na mnie mały,
Tego się słowa mi nie podobały.
Ten mi nie równy w swoim urodzeniu,
Ten nie jest znaczny w mojem dobrem mieniu
Fi! jak ten szpetny, ledwo mu nos widać,
Ten płaskiej twarzy, mógłciby się wydać
On za tablicę; owen tutuń kurzy,
Bierze tabakę, ten ładaco bzdurzy:
Owen nie dosyć jest to sążenisty.
A ten za cienki, czy schorzał na glisty?“
Zgoła fortuna, tych drugich osoba,
Żadna się dziewce onej nie podoba;
Wszystkimi gardzi, wszystkich odprawuje,
A głupia z sobą sama dyskuruje:
„Pewnie mniemają, że męża potrzebna,
Że pannie długo panną niechwalebna;
Lecz chwała Bogu mam tyle urody,
Że i poczekać mogę dość bez szkody
Nie są tęskliwe jeszcze samej nocy,
Żebym się sprzedać miała brzydkiej mocy“.
Tyńczasem jeden mija, drugi roczek,
Uroda spada, marszczki koło oczek

Pokazują się, niewdzięczne te karby.
Nu moja dziewczka do bielidł i farby;
I to nie wiele w tym nic nie pomoże
Aż owo śliczne dziewczę te i hoże
Staje się dużym jak mówią półbabkiem.
I zwiędłym kwiatem i zmarszczonem jabłkiem.
Przecie do mężczyzn chęć w niej nie upada,
Jużby zgardzonych gachów zwabić rada:
Ale już darmo, trzeba się pospieszyć
I nim się stanie babą, się ucieszyć
Świętem małżeństwem: w takiej tedy bidzie
Raptem za tego co się nadał idzie.
Który był półchłop, zadartego nosa.
Sam zyooki, nie miał na łbie włosa;
Z pyska mu śmierdzi, jako z
Długów dostatkiem, substancya mała,
Garby jak sakwy, ledwo nie parszywy
Stary do tego i na wąsach siwy.
Patrzcież panienki i nie przebierajcie
Jak czaple, — ale co macie, chwytajcie.

Podagra i pajak.

Podagra teraz to choroba pańska.
W bołu wyczwirna, a zawsze pogańska,
Przedtem tułała się po między chłopcy.
Lecz wypędzona jest z pod chłopskiej szopy.
Ztamtąd wyszedłszy, wygnana narzyka,
Alić pajaka po drodze potyka.
Czołem wprzód czołem obaj się witają
I wzajem dokąd? i zkąd? się pytają.
Podagra mówi: „wiedzieć masz po troszy,
Żem ja jest córka wszelakiej rozkoszy

Bachus mnie spłodził. Wenus urodziła,
Abym swym bólem tym w nogach szkodziła.
Którzy Wenery nazbyt zażywają,
I winem często się też upijają.
Nie uważając jednak mego rodu,
Wlażłam do chłopca i chałupy smrodu.
Ledwo mu poczną parzyć bólem nogi
Mój chłop wezwawszy darmo w pomoc bogi
W gnój po kolana wlażł muzyk smrodliwy
I póty deptał mię owen złośliwy.
Żem ztamtąd uciec czempředzej musiała.
Ztamtąd wędruję jakom powiedziała.
Pająk zaś rzecze: „A ja zaś przeciwnie:
Z cnego pałacu wygnanymem dziwnie.
Wiesz, jaka moja wyborna robota.
Jaka do tejże roboty ochota:
Żadne u ludzi najcieńsze przedziwa.
Nie dojdą mojej pajęczyny dziwa.
Z tym ja towarem popisać się chciałem
W pańskim pałacu warsztat rozpinałem,
Ledwo na ukaz memu Jego Mości,
Dobyłem przedzy ze swoich wnętrzności:
Alie zuchwały jakiś pokojowy
Z robotą warsztat potargał gotowy:
Zniósł wszystko i mnie wypędził on z domu,
Chociem jako ty, nie szkodził nikomu.
Jak ty z chałupy, ja idę z pałacu.
Obaj nie mamy do mieszkania placu:
Tobie chałupa, a mnie szkodzą mury.
Tak są przeciwne nasze awantury“.
A wtym podagra rzecze pajakowi:
„Radę odmienić podczas człowiekowi
Dobrze i my też mieniajmy się ładnie:
Ja się u pana wždy pożywię snadnie

A ty pająku w warsztacie i stroju
Łatwo u chłopa dostąpisz pokoju".
I tak stało, i tak dotąd dzieje
Obuch zamysły wyszły i nadzieje.
Skoro podagra wżdy ukąsi pana
W pierzyny wije nogi po kolana
I pieści się z nią. A pająk gdy robi
Swe pajęczyny, chłopskie ściany zdobi.

Osieł.

Był osieł jeden u pana jednego,
Ale, co rzadka, rozumu dobrego.
Osieł jako lis frant, (a to nie bajka),
Ani się tknęła nigdy go nahajka.
Pan tego osła solą to handlował,
I solą osła zwyczajnie ładował.
Ze wsi zaś swojej, co była uboga,
Przez bród i wodę szła do miasta droga,
I przez tę wodę osła ładownego
Z solą pan pędził do handlu swojego.
Raz się mój osieł potknął na pól w wodzie,
Beczki zanurzył. W tym większej przygodzie
Aniżeli wstał, sól wszystka spłynęła,
I zysku tego nadzieja zginęła.
Osieł powstaje, alic lżej osłowi.
„Dobrze upadać w wodzie“, sobie powi.
Chociaż wziął kijem, nie dbał nic na plagi,
Ale gdy przyszło nowe soli wagi
Nosić przez wodę, znowu się położył
I ciężar w wodzie rozplłyniony złożył.
Było to kilka razy, że się w wodzie
Kładł z solą osieł, w wielkiej pana szkodzie

Poznał frantowstwo pan; „domyślny ośle,
Już cię, rzekł, z solą więcej ja nie posłę”.
Naładował go wańtuchami z wełną,
Której na grzbiecie aż nad uszy pełno.
Osieł nuniemając, że się z wełną stanie,
Co z solą, znawia swoje pokładanie.
Aleć gdy z wody z swym ciężarem wstaje
Daleko większy na grzbiecie doznaje,
Bo się ta wełna tak wody napila,
Że franta osła o ziemię zwaliła.
Osieł na rozum bierze w dobrej radzie
I już się więcej w tej wodzie nie kładzie.
— O jakiś mędrszy, ośle przyjacielu
Nad siłą ludzi i nad mędrców wielu:
Co ich przypadki, ni swoje przykłady
Do lepszej nigdy nie przywiodą rady.
Złąd chłop ów mówił, napiwszy się z rana:
„Mędrsza kobyła jest od mego Pana,
Co raz ulgnęła w błocie, aż po szyję,
Za co ją tylko ja raz kijem biję.
Zawsze ominie fatalną kałużę.
A mój pan choć go plagi nieraz duże
U mojej żony w pociemku potkały.
Przecię się wraca w zaloty zachwały”.

Baba w nowym kożuchu.

Pomiędzy bajki historye miszać.
Gdy co lepszego nie trafi się pisać
I mnie się godzi. Otóż tedy baba
Tak na rozumie, tak na ciele słaba
Kožuszek nowy raz sprawiła sobie,
I nie chodzila w tej nowej ozdobie,



Aż go chowała od wielkiego święta,
Dopiero była w on czas suknia wzięta.
Nieszporów śpiewano na ów czas w kościele,
(I na nieszporze ludzi jest nie wiele)
Tak się trafiło, że zaczęło śpiewać
Magnificat, gdy każdy się dobywać
Zwykł w ławce wstawać. Baba wtedy wchodzi,
I głupia sobie te myśli rozwodzi:
Pewnie dla mego kozucha ci wstają,
I mojej nowej sukni honor dają.
Więc od jednego do drugiego idzie,
I niby przy swym tak mówiła wstydzie:
„Siedź Waszeć, tylkoć ten kozuch kosztuje
Złotych kilkoro“. Każdy się dziwuje.
Każdy się śmieje. — Tak będą i z ciebie
Kiedy nad zamiar będziesz nosił siebie.

Błazen sprzedający mądrość.

Błazen to jeden, nie jeden na świecie,
Ale ten jeden, co był mądry przecie.
Ten tedy błazen był to z błaznów owych
Dworskich, chowanych, pańskich i domowych;
Któremu uszło czy kogo połajał,
Czy mądrze mówił, czy też głupie bajał.
Mądrzy się strzegli, głupi z nim biegali,
Uciecha była gdy co oberwali.
Temu raz koncept taki w głowę przyszedł,
Że na ulicę i na rynek wyszedł:
Wrzeszcząc jak woźny: „słuchajcie Panowie,
Oto ja, choć mi źle, jak wiecie, w głowie:
Mądrość sprzedaję, a kto nie jest głupi,
Tanio ode mnie za pieniądze kupi“.

Zbiegli się ludzie, choć go dobrze znali
Jak na nowo mu się przypatrywali.
Z nich odważniejszy, a najgłupszy pono,
Jak na rzecz pewną, już i doświadczoną,
O mądrość z błaznem pieniędzmi handluje.
Na kilka groszy swój targ konkluduje,
Które skoro wziął, wyciął mu policzek,
Aż się mu ze sto rozświeciło świeczek.
A potem sznurek, na dwa łokcie długi
Dał błazen, swoje oddawszy usługi.
Wszyscy w śmiech; ktoby nie śmiał się w rozkoszy
Że on policzek kupił za trzy groszy.
Skonfundowany idzie do mędrszego,
Jako lekcyja od błazna owego:
„Powrózek znaczy, abyś błazna zdala .
Stał, mijał, strzegł się, bo albo ukala,
Albo uderzy“.

Tak jest nie inaczy,
Dobrze też o tym mówią i Polacy:
Nie ciągnij nigdy psa za ogon, bo cie
Pewnie ukąsi, a Błazen wyszpocie.





ELŻBIETA DRUŻBACKA

(ur. 1687 † 1760).

I.

Skargi kilku dam w spółnej kompanii dla jakich racyj
z mężami swymi żyć nie chcą.

W pewnym ogrodzie pomiędzy szpalery,
W czas ranny chodząc szeptałam pacierze,
Słucham ciekawie, że jakieś afery
Sekretne mają damy przy kwaterze.
Siedząc na darniu w figurę kanapy
Coraz z tabakier zażywają rapy.

Nadstawiam ucha przez grabiny gęste.
Liście mnie swoim zasłoniły cieniem

Widzę lzy z oczu a wzdychania częste
Uważam i mam litość nad stworzeniem
Płci mojej, ledwie wraz z niemi nie kwilę,
Nie wiedząc, że to płaczą krokodyle.

Pierwsza zaczyna żal do męża prawić:

Że jak smok siedzi na łańcuchu w domu.

„Nie dba, bym się czem miała zabawić,

„Sługi nie pytaj, zagrać nie masz komu,

„Ani takiego, żeby mnie zrozumiał,

„W mądrych dyskursach rezonować umiał.

„Jakże tu mieszkać z takim domatorem.

„Co tylko wołom karmnym krzyżów maca.

„Zboże na targi wyprawuje worem,

„Prostych to osób z taką zrządą praca.

„Kawy w mym domu nie znajdziesz trzech ziarek;

„Piwa mi z serem każe zagrzać garnek“.

Druga głos bierze: „ach miła sąsiadko!

„Więcej ja cierpię z moim skąpcem męki;

„Kaszki na wieczór nagotuje rzadko.

„Kluczy z za pasa nie da mi do ręki.

„Muszek, wstęg, szpilek, z marssem kiedy kupi,

„Jak z nim żyć — kiedy i skąpy i głupi!“

Od trzeciej skarga zachodzi osoby

Mówiąc: „fraszka to, godna śmiechu sprawa

„Mnieby zapłakać, gdy nie znam co roby ¹⁾,

„Sejmów nie widzę, nie wiem gdzie Warszawa,

„Choćby mi boków naszturgano w ciżbie

„Byłem raz była w senatorskiej izbie.

¹⁾ Stroje.

„Nie wiem co jest bal, assamble, reduty.
„Mój mnie jegomość osadził przy kurach,
„Paż do ogona ma łatane buty.
„O blondynowych nie chce garniturach
„Wiedzieć, żebym je mieć mogła na modę.
„Otóż z tych racyj z gapiem się rozwiode“.

Czwarta z westchnieniem rzecze: „ja się cieszę
„Żem nie ja tylko sama nieszczęśliwa;
„Mój Borys nie chciał sprawić mi bekiesze
„Takiej, jak teraz modny wiek zażywa:
„Aksamit ponso, podszyty marmurkiem
„Po szwach z masyfu bramowano sznurkiem:

„Sukna mi kupił, miasto aksamitu.
„Szlamy wytarte z lamusu sprowadził.
„Na to u żyda zaciągnął kredytu,
„Mnie przy galanach z szmuklerzem zasadził —
„Zważcież jeśli nie mam się czem smucić?
„Z tak słusznych przyczyn prostaka porzucić“.

Ostatnia mówi: „jam się w wachlarzyku
„Pięknym kochała, gdzie miniatura
„Postać Kupida niby w ołtarzyku
„Wstawiła, co mu dać mogła natura:
„Wszystko wyraźne, w tak subtelnej sztuce
„Było, a resztę do żalu ukróczę.

„Mój satyr wzięwszy wachlarz w grube ręce
„Jak jął wachlować niby kował miechem.
„Nie uważając na członki chłopięce,
„Rozumiał, że to z pacholkiem Wojciechem
„Za pasy chodzi, złamał kość słoniową;
„Rura za rurę osądził wołową.

„Ja pełna będąc cholery i żalu,
„Odjeżdżam z domu porzuciwszy dzieci,
„Na pożegnaniu powiem mu: brutalu,
„Już z tobą żyję rok dziesiąty trzeci.
„Dłużej nie myślę, intencyj nie kryję,
„Wiedz w jakiej cenie są galanteryje“.

Dłużej nie mogąc słuchać rzeczy podłych.
Zatulam uszy, a zaciskam zęby.
Uchodząc od tych pięciu dam rozwiodłych,
Aby mi słowo nie wypadło z gęby
Powiedzieć prawdę, że nie masz racyi
Ni do rozwodu, ni do separacyi.

Milczałam dotąd, chcąc sekret zachować,
Dla wstydu, żem też i ja białogłową;
Odtąd zaczynam mężatki rachować
Zamiast pięć panien głupich, co je zową
W Ewangelii, że w lampach nie miały
Oleju, od drzwi precz odejść musiały.

Prędzejbyim pannom niewiadomym rzeczy
Błąd darowała, niżeli zamężnym.
Które gdy stała ślubem ubezpieczy
I stan ich węzłem zadziernie potężnym.
Pomocą Boga, wraz świętych wezwaniem
Wola utwierdzi, iść za swoim zdaniem.

Jestto żart z Bogiem, z świętymi igraszka
Ołtarz u nich podobno gdańskiem biórem,
Przysięgać jawnie, bagatela, fraszka,
Ufając że są pięknych pereł sznurem
W zastaw złożonym, wypłatają z węzła:
Ciało-ć swobodne, lecz dusza uwięzła.

Wiem że niejednej w sumieniu zawierci
Robak, choć go chce umorzyć sposoby:
„Nie opuszczę cię aż do samej śmierci”.
Opuszcza snadno dla podłej osoby;
Przymierze z Stwórcą dla stworzenia łamie:
Idź precz Antoni, żyj ze mną Adamie.

Jeśli dla racyj wyżej pomienionych
Kochane panie szukacie rozwodu,
Nie miejcie za złe, że was rozpuszczonych
W swywoli sądzę; polskiemu narodu
Krzywdę czynicie, z siebie śmiechy, żarty.
Honor wasz płacze, że goły, wytarty.

Czy słuszna? żeby Rzym, nuncyaturę.
Konsystorz, klócić niegodziwą sprawą:
Bóg dobry, iże piornową chmurę
Nie ześle, w piekło nie wyprawi nawą.
Przyjdzie kres, kiedy z życiem was rozwiedzie:
Będzie wiedziała każda dokąd jedzie.

Żałują wielu, żałuję też i ja
Pasterzów naszych zacnych i pobożnych,
Że się o uszy niewinne obija
Echo zgorszenia w materyach różnych.
Radzimy zażyć sztuki Ulissesa:
Być głuchym. mijać Syren interesa.





II.

PUNKTA

dla poprawienia zepsutych obyczajów Polskich, przez pewnego senatora
polskiego do opisania mnie podane.

Komplement Polski.

Adoracya Bogu tylko przynależy, w piśmie Ś. dowód.
W Polsce zazwyczaj: „Jestem z adoracyą”. — czy chcemy
zostać bałwochwalcami?

Złodziejstwo bez wstydu.

Odmówić człeka, ukraść chłopca bez skrupułu. dopieroż
psa z deliberacyą w nocy wykraść, jest to galanterya i grzech
bez wstydu, a przecie wyraźnie przeciwko Bożemu przykaza-
niu i okazyja do prawa, bicia się i najazdów.

Dyskretya Polska.

Podobny temu niedyskretny grzech. polować po eudzych
polach, choć dziedzic sam myśliwy, nie lubi, żeby mu przed
nosem zwierza płoszono, prosi i łaje, przecie mu na złość
pola płukać trzeba w sąsiedztwie.

Rafunek dam w strachu.

Wiele jest dam, które ustraszone znienacka. mają szpe-
tne przysłowia i w śmiech obracają; chociaż to i przeciw wsty-
dowi stanu ich. i przeciw dobrej manierze. Człek rozumny
nie nie powinien wymówić, tylko co chce.

Reskrypt

dla wyżej wyrażone Punkta.

W Polsceem zrodzona, w Polsce wychowana,

W wolnym narodzie mnie też wolność dana,
Mieć głos że i ja na to nie pozwalam, ;

Co mi się nie zda, ani tych wychwalam
Pochlebnem piórem, co złe obyczaje

Pod płaszczem maski, wnieśli w nasze kraje;
Mowa, styl listu, komplement tak dziki.

Można go zrównać dziś z Babilończyki.
Żal bierze kiedy postronne narody

Z śmiechem krytykę czynią z nowej mody
Coraz to lekszej i ma to być grzeczny

Autor? co wniósł w kraj zwyczaj niedorzeczny.
Nie jestem bocian, lecz gdybym nim była.

Polskę z zaległych gadów wyczyściła.
Bojąc się, żeby Bazyli szek w jaju

Z czasem polskiego nie wytrul rodzaju.
Poprawiać defekt ziomków, na mnie wiele,

Raczej pilnować igielki, kądziele;
Prosić się godzi, miłość mus wysili.

By cudzoziemcy z nas jawnie nie drwili.

Niechwalebny obyczaj w oracyach, w pisaniu listów,
w komplementach o „adoracyi“, który termin samemu tylko na-
leży Bogu.

Wielem słyszała mów panegirycznych

Powinszowania na miejscach publicznych:
Prawie co słowo, co peryod mija.

Głęboko za nim brnie „adoracyja“
Dopieroż w listach „adoracyjami“.

Hojnie szafują, jak zborze korcami:
Ile gdzie komu o interes chodzi.

Łaszt adoracyi z miarki się urodzi.

Czytajmy pismo święte, tam uznamy,
Że tylko Boga adorować mamy.
Człowieka niezcieć według jego szarży:
Ten błąd nas kiedyś zawstydy, oskarży,
Bo cóż za różność Bóg ma od stworzenia!
Nowe obudwom czyniąc poniżenia
Cóż zostawimy Stwórcy z powinności
Czy sięgać do jego własności?
Bać się potrzeba, byśmy nie zarwali
Ślepoty pogan, co adorowali
Posąg Wenery, Marsa, Apollina
Stłukłszy bałwany, aż w nich szczera glina.

Zły obyczaj złodziejstwo popełnić, nie mieć go za wstyd,
owszem za obrót i sztuki; a po staremu złodzieja ma tytuł,
kto co ukradnie.

Nie mi do tego, ani mi należy.
Roztrząsać czyje zdobycze z kradzieży.
Przecież jak Polka na sercu boleję.
Że w mej Ojczyźnie zaeni a złodzieje.
Odmówić człeka potrzebnego komu.
Byle wygodę z niego miał w swym domu,
Lokaja, kuchnię, kucharza, stangryta.
Bogdaj przepadła takowa wizyta.
Sąsiad sąsiada nawiedza, a szpiega
Ma z sobą, który cały dom obiega;
Już wie, gdzie kogo spotka, będąc frantem
Z nut pojmie, jak się rozmówić z dyszkantem.
Gospodarz chłopca z dzieciństwa wyćwiczył.
Gość mieć takiego dawno sobie życzył:
Szpieg to potrafi, dukat w rękę wsadzi.
Pod chłopca w nocy konia doprowadzi.
Sztuka psa ukraść, wyźła czy ogara.
Charta, brytana, wszakże to psia para;

Ale nim kradniesz, pomyśl co kosztuje
Pies pana tego, co go wychowuje.
Pomyśl, że on ma gust w psiarni dowodnej,
Myślistwo dobre nie zna kuchni głodnej:
Pomyśl jaką złość czynisz myśliwemu;
Coć jest nie miło nie czyrże bliźniemu.
Wszelka rzecz, która bierze się ukradkiem,
Złodziejstwem trąci czy sztucznem, czy gładkiem;
Grzech z rozmyśleniem karanie pociąga
Wstyd być w rejestrze, kto po cudze sięga;
W jednym gatunku chodzą dwa humory:
Jeden co ludzkie nawiedza komory,
Drugim też sama łakomstwa chęć włada.
Tak się do spichrza, jak do psiarni wkrada.
Ci to być muszą do kradzieży snadni.
Którzy praw Bożych znać nie chcą: nie kradnij,
Uniwersalnie tego zakazano,
By żadnej rzeczy cudzej nie żądano.
Ztąd prawo, kłótnia, najazd, pojedynek:
Zważ wiele szkodzi jeden zły uczynek?
Boga rozgniewać, przyjaciela stracić.
Rzecz źle nabyta nie może zbhogacić.

Zły obyczaj i pełen niedyskrecyi w Polsce po cudzych
źle dziedzicznych polować polach, zwłaszcza w granicach tego,
który sam myśliwy.

I to się nazwać grzeczność nie może.
Kogo myśliwskie prowadzą podróże
Na cudze pola, w bór, knieje, przesmyki:
Manowcem jeżdżąc, zjechał z polityki.
Pan włości swoich z kosztem chowa złaje.
Będąc myśliwym i prosi i łaje,
Żeby przynajmniej nie pod jego nosem.
Psa goniącego zwierza słyszał głosem.

Zważ samą słusność miły Akteonie,
Jakbyś go przyjął, kłoby w twojej stronie
Plondrował lasy, trąbił blisko uszu:
Podniósłbyś rogów w pysznym geniuszu.
Tak dziedzicowi serce się rozpuka.
Kiedy przychodzić w gruntach jego szuka,
Jakby co zgubił, posponując panem.
Tłucze zwierzynę objętą parkanem.
Jabym radziła, kogo chęć gorąca
Myśliwym czyni, szczwac sarnę, zająca.
Na swych zagonach. Niech się każdy cieszy
Swoją własnością, a tak nikt nie zgrzeszy.

Zły obyczaj w Polsce, kiedy najzacniejsza dama prze-
ląklszy się czego, szpetne ma przysłowie, które jej stan, mo-
destyą i manierę szpeci.

Już od lat wielu moda do nas wpadła
Że damy nowe mają abecadła,
Których jeśli się od dzieciństwa ucza.
Wstyd przyzwoity z swoją szkodą bruczą.
I jam się kiedyś uczyła a, b, c.
Lecz nie pamiętam, żeby tak dalece.
Z reguł, zwyczajn odstępować miała.
Wprzód *k* niżli *a* w początkach czytała.
W tym wieku insza alfabetu szkoła,
Dane mysz strwoży, ona: *k* zawoła:
Cóż za ratunek ma być w tej literze.
Chyba policzek dać dobrej manierze.
Proszę was damy, porzućcie przysłowie
Co jest ohydą każdej białogłowie:
Mnie aż pod serce podpierają kolki
Gdy szpetne rzeczy w ustach noszą Polki.



MONITOR WARSZAWSKI

N A

N. P. 1765.

Liczbę LXXVIII.
połarkuszkowych Kartek
w fobie

Z A W I E R A I A C Y.

*Discite iustitiam MONITI, nec tem-
nite Drus.*

w WARSZAWIE
w Drukarni Mitzlerowskiej.

Pierwszy numer *Monitora* wyszedł „za pozwoleniem Starszych w Warszawie w Drukarni Mitzlerowskiej roku 1765 dnia 23 marca“. Numer ten był rodzajem przedmowy, wstępu. Wydawca jego ks. Franciszek Bohomolec zapowiadał: „osięgnąć zechcę w biegu pisma tego, nie tylko co polepszenia się Rządów i natury onych tykać może, ale cokolwiek czerpając w źródłach moralności, nauk, obyczajności, weseląc oświecać i umysłom do rozszerzania się pole dać może“.

I dotrzymał ks. Bohomolec słowa. Przez lat 19 *Monitor* „rozum weseląc oświecał“, aż zgasł ze śmiercią swego założyciela (ks. Bohomolec zmarł 23 marca 1784 r. w 19-stą rocznicę wyjścia pierwszego Nru *Monitora*). Zgasł, ale pozostał w literaturze jako jeden z najciekawszych jej pomników z epoki stanisławowskiej. Ze czią przegląda się dziś jego

karty, z niezwykłym zadowoleniem widzi się ile rozumu i zdrowego rozsądku, ile miłości dobra powszechnego było w tych głowach i sercach, których *Monitor* był reprezentantem.

Nie było prawie jednej „materyi“, którejby *Monitor* nie pomysł. Chłostał każdą wadę narodową i obyczajową. Rozumnie radził w sprawach politycznych i ustroju społecznego. Nie uchodził jego uwagi handel i przemysł, podnosił głos za miastami i mieszkańcami. — w obronie ludu stawał z całym zapalem, stawiał projekt oczyszczowania poddanych. Można by z niego wybrać po całym tomie rzeczy poświęconych sprawom sądownictwa, wychowania, szkolnictwa i literatury. A we wszystkim prawie był tak szczerze rozumny i postępowy, że jeszcze dzisiaj politykom, statystom, publicystom, pedagogom naszym, za niejedną jego złotą radą isęby należało. Nie ulega też wątpliwości, że przygotowywał on świetnie grunt pod reformę, której wyrazem była ustawa 1791 r.

Ztąd znaczenie *Monitora* wielorakie. Ma on prawo mieć kartę nie tylko w historii piśmiennictwa, ale i w dziejach narodowych. Jako zaś źródło do historii obyczajów jest wprost nieoceniony. I słusznie też już po roku wydawnictwa mógł ks. Bohomolec położyć z tyłu karty tytułowej (której podobnie dajemy) czterowiersz:

Narodowi zostawić swemu bardziej drogi
Depozyt nie mógł nad te *Monitor* przestrogi.
Nie zazdrości swych skarbów, owszem ta jest czysta
Myśl jego: niech z nich Polski czytelnik korzysta.

Monitor wychodził z początku co tydzień i kosztował „pół szóstaka“. Ale już po wyjściu sześciu numerów zawiadomił wydawca, że „*Monitor* dwa razy w tydzień wychodzić będzie we śróde y w Niedzielę“. Każdy numer składał się z 4 kartek w formacie nieco większym niż dzisiejsza 16-ka. Rodzaj druku stosował się do rozmiarów rękopisu: jeżeli zwykły druk nie mógł objąć całości manuskryptu, to koniec

artykułu składano pismem drobnem (petitem). jeżeli zaś rękopis był szczupłych rozmiarów, to czeionki dawano wielkie (cicero). Zazwyczaj każdy numer był dla siebie skończoną całością, ale jeżeli tego ważność „materyi“ wymagała, to było jej poświęconych kilka numerów z rzędu. Tak np. „materya“ o poddaństwie ludu powtarza się kilka razy, a w samym I. półroczu 1767 poświęcono jej sześć numerów.

Monitor każdą sprawę przedstawiał jasno, prosto. językiem dobrym i czystym, bez gonitwy za ozdobami stylowemi. Używał często satyry, nieraz traktował rzecz z prawdziwie fejletonowem zacięciem. Lubił formę listów: ktoś niby do niego pisał, a on odpowiadał. Takimi korespondentami jego byli: Śmiałowski, Rzetelnicki, Politycznicki, Próżniakowski, Wodnicki, Antalewicz, Łykaczewski itd. Czasem w braku na razie „materyi“ do omówienia, podawał *Monitor* przekład jakiej satyry Horacego, wiersza Popego, wyjątek z „Emila“ Rousseau'a itp.

Prócz tego miał ks. Bohomolec współpracowników, do których między innymi zaliczał się Ignacy Krasiecki, a nawet rodzaj stałego komitetu redakcyjnego, o czem parokrotnie wspomina w samym *Monitorze* i w komedyi swojej, noszącej ten sam tytuł, napisanej w r. 1767 w odpowiedzi na czynione *Monitorowi* zarzuty.

Ten przydługi może wstęp do wyjątków z *Monitora* uważam za oddanie hołdu jego pamięci. Podaję wyjątki tylko z jego lat pierwszych, kiedy to *Monitor* po wielkiej przerwie, reprezentował, można powiedzieć, sam jeden naszą satyrę. W kilka lat później nastąpił jej niebywały rozkwit.

Wyjmuję naturalnie z *Monitora* nie ustępy najlepsze, lecz te, które z treści swojej i formy do „Ksiąg humoru“ się nadają.

K. B.

WYJĄTKI Z MONITORA.

List próżniaka do Monitora.

Wybacz uczony Monitorze. że twoje uwagi pod liczbą trzecią, próżnowanie potępiającą, znajduję na zbyt rażące i ostre. bo tę spokojną namiętność nikomu niezawinioną popędliwie piorunują i gromią. Jestem teraz próżnowania holdownik. winienem mu moją obronę, spodziewam się, iż na Polskim świecie wielu znajdzie współpomocników tymże samym telnących żywiołem, którzy wymierzać się będą wdzięcznością i ten gatunek życia w którym żyją, kiedy jest tak swobodny, zastępować nie omieszkają. Nie rozumiej, żebym był tak zacięty z przyrodzenia próżniak, iż niepoznawszy innych zabaw treści, samem tylko przesądzaniem przywiązanie moje do próżnowania niecę.

Byłem przedtem usilny we wszystkich zabiegach staro-wnik i przyzwoitą każdej porze wieku bawiłem się żądzą. Poranek życia na tych miłych pędziłem rozkoszach, które żywa młodość nieustannym zaprawiając smakiem, trwała zawsze byc sądzi słodyczą.

Umiałem zażyć godzin w pierwszej wiosnie

Słuchając zawsze pobudek mej weny,

Raz się na zwierza skradałem przy sośnie,

Drugi raz dzikość głaskałem Klimeny

Lecz tę postrzegłem korzyść na ostatek,

W polu plusk, słotę, w niewieście niestatek

I tak stroskany w rodzaju życia młodego, dojrzałością umysłu okrzepiony. w tych łnmiemanych ponętach tyle poznawszy pólunu, inaczej żyć umyśliłem. Wziąłem przed sie-

bie drogę trudną, bo drogę chwały. Wiek mój do południa dążący, te poważne dawał mi natchnienia: użyłem wiele trudów i pracy, w pocie czoła mierzące do zasług przebywając stopnie i to skolatane życie mimo przyzwoitych zdrowiu ludzkiemu wygód, w ostatnim pędziłem odmęcie, oczywiście nieśnaski mniemaną przyszłych rzeczy słodziłem ponętą, przed sobą samym widoczną utajałem gorycz, w nadzieję odziewając ją sukienkę, abym tym wynalazkiem właściwe omamiał oczy i do wytrzymania jej znośniejszą uczynił. Żyłem drugim, sobiem umierał, bo mniemanej fortuny przybytkiem rzeczywistej wycieńczyłem dochody i to co miało być, to co było, nadwątlilo, snu egipskiego podobieństwo, żywy na dochodach moich wycisnęło wizerunek, bo nie popasione nadzieją, tylko tuczające się woły, moje istotnie tuste potrawiły.

To prawda (jeśli miłość własna niePOCHLEBNE daje mi poszepty) że ta cierniowa droga, do rzetelnych doprowadziła mnie zasług, bo na tylni wysadzony będąc obrządkach, ogólnie zawierających usługi, sprawować je z usilną nie leniłem się dokładnością. Cóż ztąd! choć zasłużonym zostałem, kiedy szczęśliwym nie jestem. Jest to być męczennikiem a bez palmy. Zasługi są w mocy ludzkiej, szczęście w losie przeznaczenia, tych można pracowitością nabyć, z szczęściem rodzić się potrzeba.

Na cóż się zdały te liczne kłopoty?

Które do zasług droga sprawowała.

Wszak próżne były znoje, trudy, poty

Kiedy fortuna matką być nie chciała.

Doczekałem się mówiąc w szczerym słowie

W szkatule nędzy, a srebra na głowie.

Więc kiedy i na tej walnej drodze żadnego nie użyłem szczęścia, a postrzegłem życie moje do onej palącej się świecy podobne, co z jaśnienia swego trawić i niszczyć się musi, skopiwszy nadwyrężonej fortuny mojej ułomki, słodkie sobie

obrałem próżnowanie i w domowych województwa mego za-
grzebawszy się cieniach, nie nie robiąc, nie tęskniąc próżnuję.
A że każdy żywota swego powinien bronić jestestwa, oświad-
czam się przed całym narodem, że próżnowaniu, w którym
żyję, tak tkliwą publicznem pismem cierpiącemu urazę, po-
winną z siebie podporę obmyśleć ośmieliłem się.

Miało tam kiedyś głupstwo u Erazma swoje ołtarze,
choć z przyrodzenia jest szalone, a za cóż ja próżnowaniu,
w istocie cichość i spokojność zawierającemu, winnego nie
mam palić kadzidla? Nie jest to dzieło tak pospolite i owszem
jak z niewinności pochodzące, tak w rajn samym swego ple-
mienia pierwsze umieszcza latorośli.

Bo tam początek ma swojej istności,

Jestestwa swego ma dowody stare.

Jest w upominku dane niewinności.

Praca na ziemi zrodzona za karę,

Toć uważając tych dwóch plemień porę,

Wszakże ród rajski mieć powinien górę.

I za cóż tak święte dziecię, słodkiej spokojności ukar-
mione mlekiem, nikomu przykrych nie przynoszące chwili, ma
swoich prześladowców? Nie nie jest na tym świecie bez ciernia
i jasne słońce ma chmury, kiedy niewinne próżnowanie na
tak krzyczącą przychodzi ohydę. Ach! jak ludzki naród byłby
szczęśliwy, gdyby była Ewa z założonymi rękoma po rajn
chodziła i nie wyciągała ich po owoc zakazany, nie znalazłby
był padółu płaczu: za cóż ta matka nie próżnowała? jej ro-
bótka nas zgubiła. Musi to być przecie próżnowanie rzeczą
chwalną i znakomitą, kiedy je sam Pan zastępów (który spra-
wiedliwy wszystkim czynom wydziela wymiar) tak mocną na-
pełnia godnością, bo w dniach chwale swojej poświęconych
umieszcza je raczy, a robotę jako podłego gatunku dzieło
wylacza i oddala. Że tedy to próżnowanie jest rzeczą tak
godną i zacną, słusznie tedy swoich znajduje wielbicielów.

wszak łatwy do niego przystęp, prędkie przywiązanie, żadną przykrością nie odstrasza, do pojęcia snadne i w każdym razie hołdowników swoich raduje i cieszy.

I ten co dzień, noc, na myślistwie trawi,
Szczerze się cieszy kiedy go to bawi.
Kartownik grając wszystkie życia chwile.
Sobie jest dobry, sobie sprzyja mile.
Żadna odmiana nie wzruszy go świata.
Drgnie, gdy mu piątka przegra trzyrogata
I czołem straszy, w które zmarszczki zbiera
Więcej niż Jowisz brwiami u Homera.
I ten co łyka, to wiele przenika
Bo z doświadczenia zdanie Kopernika
Nad Ptolomea prawdziwsze być maca,
Gdy czuje, że się ziemia z nim obraca
Więc tych daremnie Monitor winuje,
Bo każdy próżniak z pożytkiem próżnuje.

Że zaś najwięcej tych prześladowanie ściga, co od wszystkich oddaleni namiętności, nie znają do niczego przywiązania, ach! przebóg! gwałt cierpi niewinność. Wszak to jest anielska natura, święte to próżnowanie, które unarza chuci i trwałą nieci spokojność.

Takowy posąg ma treść dobrej duszy.
Co jest ruszany, on przecie nie ruszy.
Lutnia jest drewnem, tkliwa kto ją męczy,
Bo jak ją dotkniesz, to zaraz zabrzęczy;
A próżnowanie choć go potwarz lechce,
Ścierpi to wszystko i bronić się nie chce

To jest obrazem skronności; ci się błogosławią co cierpią prześladowanie. — próżnowanie jest w tym stopniu, wszystkie pioruny cierpliwie znosić umie. A potym nic się nowego na tym najlepszym nie dzieje świecie, biada jest obcemu

między szczerymi mieszać się rodaków. W niebie nie będzie roboty, tam próżnowanie ma wyznaczone miejsce, dlatego na ziemi tak straszne na siebie sprowadza okrzyki; rzeczą jest Niebieską, ziemia go cierpieć nie może. Cóżkolwiekby ja go bronić nie przestań, bo mi miło łatwych jego zażywać rozkoszy. Kto czerpa wodę, źródło zawsze uwieńczać powinien. Więc uczony Monitorze przyjmiesz wyznanie moje za szczere, żem jest tak twoim jako i spokojnego próżnowania prawdziwym uwielbicielem.

Próżniak nie tęskniący m. pp.
(R. 1765. Nr. XII).

O zabobonach.

Zaproszony na obiad do dobrego przyjaciela, zastałem dom cały w zamieszaniu; pytam się o przyczynę, powiadają mi do ucha: śniło się Imci, że jej ząb wypadł. Ledwom się z śmiechu strzymał na taką powieść, nie chcąc jednak rozgniewać gospodarstwo, jakim mógł takem się ułożyć, żebym się pokazał uczestnikiem frasnuku powszechnego. Wchodzi Jej Mość, jak mnie tylko obaczyła w czarnej sukni w krzyk zawoła: „wszakem mówiła, że nas jakieś nieszczęście czeka”. Siadamy do stołu, zaczyna gospodarz: że w poniedziałek syna do szkół odwiezie. „Ach! uchowaj Boże! odezwie się sama, czyżes zapominał mężu, że to dzień Młodziankowy”. Siedzę tak na szpilkach z moją czarną suknią; proszą mnie o podanie potrawy, porwałem się prędko i wywróciłem solniczkę; jęknęła na to Imć, i już ledwie przy zmysłach zostając, do męża rzecze: „Paniętasz moje serce tak dwa roki w wigilią św. Bartłomieja nasz sąsiad także był sól rozsypał, tego samego dnia odebraliśmy wiadomość że szarańcza na Podolu, a potem we dwie niedziele gumno zapalił piorun. Nieboszczyk nasz stryj na dwa dni właśnie przed śmiercią solniczkę wywrócił; jam zaraz mówiła, że umrze i tak się stało; Panie ucho-

waj nas od tego, ale wszystko mi się widzi, że będziemy płakać niezadługo“. Wśród tak fatalnych prorocत्व ledwom wysiedział, ile że miarkowałem, że Jej Mość na mnie patrzyła krzywym okiem, a Imię dogadzając Jej Mości zaczynał się krzywić, wyniknąłem się bez pożegnania z tak fatalnego domu, pełen politowania nad słabością umysłu żony i szkodliwem męża pobłażaniem.

(R. 1765. Xr. XVI).

Wyjątek z „opisania Polski przez Chińczyka“.

....Chlorindzie przynoszą kawę do łóżka i to dopiero o dziesiątej godzinie, toż wstaje mając wedle siebie dwie dziewczyny pokojowe i siedzi aż do godziny pierwszej przy zwiędadle lub gotowalni. Po obiedzie gra do godziny piątej, albo też jedzie w nawiedziny, lub one przyjmuje, kn wieczorowi udaje się na operę lub komedya, nie żeby się czego nauczyła, albo żeby po utrudzeniu gospodarskiem rozrywkę sobie godziwą uczyniła, ale żeby się z wszystkim strojem popisała. Powróciwszy do domu pyta się dziewczki wiele na jutro pieniędzy na wydatki potrzebuje i — te sługa sama z szkatuły weźmie. Napotym posili się, rozebrać się każe i po północy idzie do spoczynku, przed którym naprzód mężowi pilnie zaleci, aby nazajutrz to a to dla niej z sklepów przynieść kazał. Do dziatek swych małych ledwie raz w tydzień zajrzy, gdyż krzyku dziecięcego znieść nie może, tymczasem dziateki pospolicie najgorzej wtenczas krzyczą, gdy ona do izby ich wnidzie, przeto, że matki nie znają.

....Gdyin raz w pewnem posiedzeniu słyszał, wielu ludzi już pioruny, już biesa, jeżeliby to nie prawda była co mówią, wywołują (zowią to oni przysięgą) myślałem sobie, że takowi ludzie jedni drugich za oszustów mieć muszą, iż im nie inaczej aż za przysięgą wierzą i utwierdziłem się w tem mojem rozumieniu, gdy powiadano, że jeden drugiemu nie nie po-

życzy póki przysięgi od niego na piśmie nie otrzyma, ba nawet u sądu tylko wtenczas komu wierzą, gdy przysięże; temu zaiste wierzyć mi się nie chciało co dodawano, iż i tak jeszcze wielu krzywo przysięga, bo tego pojąć nie mogę, aby się kto na tak straszliwą szkaradę miał odważyć.

Pewnego czasu widziałem rzecz bardzo dziwną: pewny zacy człowiek wziął znaczną przed drugim leżącą kupę złota, na co patrząc ukrzywdzony ledwo nie rozpaczał. Rozumiałem, iż się kto z przytomnych jego ujmie, ale gdy widziałem, że nie tylko temu co brał, nikt nie bronił, owszem wszyscy z tego się śmiali, mówiąc mi, że to są pieniądze przegrane, pomyślałem sobie, iż to musi być u nich godziwy sposób zdzierania, co oni grą zowią.

Nie przestają Polacy na tem, co się w kraju znajduje i co ziemia przynosi, ale kto między nimi chce uchodzić za uczonego, zarzuca swój ojczysty język, a belkoce coś językiem obcym. Że sami dziatkom swym dobrego wychowania dać nie umieją, albo nie chcą, posyłają je z wielkim kosztem do Paryża, z kąd wielu i z ciężką chorobą i z nadruszoną powraca głową. Im zacniejszy kto jest między nimi, tem bardziej mu potrawy nie smakują, kiedy od kucharza Francuza nie są zgotowane. Niewiasty zaś rozumieją, iż przystojnie ubrane być nie mogą, jeśli wzoru strojów z Paryża nie sprowadzą. Okładają twardz niejakiemiś plastrami, a za znaczne pieniądze jakieś białe pajęczyny zdaleka sprowadzają, które koronkami zowią. To przedziwo i jakieś endzoziemskie kamyczki, które krom blasku nic osobliwszego nie mają, za największą białych głów ozdobę za mego bycia uznane były. Czasem postrzegalem niektóre śród zimy z odkrytymi piersiami, a ręce w jakimśi pokrowcu futrzanym trzymające. Które z nich chcą się wdzieczyć, ściskają się tak mocno w stanie, że prawie jak wpół przecięte robaki wyglądają, do tego zaś zażywają jakiegoś narzędzia, zdrowiu mojem zdaniem wielce szkodliwego, który sznurówką zowią. W męczyznach to mi się dziwno

zdało iż orężę przypasują, aby wdzięcznymi byli. Przypasują do lewego boku, choćby tyło i kilka kroków z domu iść mieli, jakieś krzywe żelazne długie noże, które szablą nazywają i ten dziki obyczaj bardzo już dawno powiedają u nich jest w używaniu, tak iż tego za szlachcica nie znają, kto takiego żelaza u boku nie nosi. Wiem, iż najslawniejsze narody Rzymianie i Grekowie, nigdy krom wojny oręża nie używali, przeto zrazu mniemałem, iż Polacy dlatego noże te długie noszą, aby gdy który przeciwnika swego potka, nos mu i uszy obciął, zwłaszcza gdy mu kto jakieś słowo ze czterech liter składające się powiedział, ale mi powiedano, że to tyło jest przewrotny już z dawna wprowadzony zwyczaj.

Umiejętności i wynalazki dowcipu ludzkiego jeszcze w Polsce nie wielki wzrost wzięły. Znajdują się dowcipni i uczeni ludzie, ale ich mniej jest niż potrzeba. To osobliwsza iż między panami i majątniejszymi z szlachty więcej jest ludzi uczonych, niż między uboższą szlachta, która prawie wszystka tak jest nienczona i prosta, iż mieszczenie po miastach pospolicie są przetartsi niż oni.

....Zacząłem się zatem w polskich dziejach rozpatrywać i one z pilnością czytać, przytem zaś starałem się jak najusilniej rząd wewnętrzny i prawa gruntowne zrozumieć, co mi bardzo łatwo było, gdyż w Polsce nie jest tajemnego, wszyscy o wszystkim wiedzą, owszem najwალniejsze rady na Sejmach tak się otworzyście odprawują, że i hajdacy i lokaje (rodzaj to jest sług niższych) słyszeć owe mogą, czemum się ja nie pomału dziwił. Postrzegłem też, że prawa acz nie ze wszystkim porządnie, ani też dość jasno są pisane, ku dobru jednak pospolitemu wszystkie zniierzają, lecz gdy m się stanowi własnemu wewnętrznie przypatrywał, a zachowanie praw z onych zamierzeniem porównywał, ujrzałem, że całe się opak dzieje. Polska jest w tak nędznym stanie jak żadne państwo w Europie: nie ma bowiem ani wojska podług obszerności kraju, ani skarbu na utrzymanie onegoż, ani pie-

między własnych, a te które kurencyą mają przez niedozór przełożonych w najgorszym są gatunku i dla niegodziwego niektórych zysku kraj ubożą. Rolnictwo, czyli wyrabianie ziemi nie takie, jakieby być mogło, handle jej nie wiele warte a bardziej szkodliwe niż pożyteczne. Kunsztmistrzów i rzemieślników po miastach mało. umiejętności i nauki jeszcze nie są w cenie. nadewszystko zaś schodzi w kraju na mieszkańców.

Tego gdym przyczyny dochodził, nie długo pracowa¹2, bom wkrótce na źródło trafił, z którego wszystko złe wypływa. To źródło nie inne jest, jeno samaż rozwięzła i wyuzdana wolność, o której lubom tak w Polsce jako też po innych krajach wiele słyszał. przecież coby ona właściwie była nie wprzód zrozumiałem, aż opisanie onej w samych pismach Polaków wyczytałem. Prawda iż wolność istotna itd.

(R. 1765. Nr. LVIII—LX).

O pijaństwie.

M. Panie Monitor! Przedsięwziąłem miałkiem mojem zdaniem usprawiedliwić W. M. Panu tych, których ogólnie pijakami nazywasz. Zdałoby mi się, iżby potrzeba uczynić różnicę między zataczającym się po drodze, lub leżącym w błocie bez zmysłów pijanicą, a tym, który z dobrym przyjacielem in charitate non fieta czasem też sobie podochoci. Zastraszyleś W. M. P. tak dalece całą tutejszą okolicę, iż imieniny żony mojej ledwo nie speszły. Siedzieliśmy u stołu jak na stypie: pogadawszy trochę o naszych stajniach i psiarniach, tak nam na koniec dyskursu brakło, iż dobry nasz staruszek ksiądz pleban kazanie swoje powtarzać zaczął i nspіл wszystkich co do jednego. Zważ sam W. M. Pan co się nam działo, kiedy on skończył a my się ocknęli. Za przeproszeniem W. M. Pana Dobrodzieja musiałem rad nie rad przynieść mój ulubiony kielich; naprzód zgodziliśmy się wszyscy na to, aby wypić za

zdrowie Monitora. Ach Mości Dobrodzieju, gdybyś tam był, dopierobyś zobaczył jak w nas duch wstąpił; dyskursa się zaczęły; ci którzy się ledwo znali przed pierwszą koleją, po trzeciej poprzysięgli sobie wieczną przyjaźń, ja na to patząc, ażem zapłakał z radości. Prawda, że dwóch z naszej kompanii zwadziło się ku wieczorowi i jeden drugiemu pysk wyciał, ale gdyby byli trzeźwi, zapewneby się byli pozabijali. Nazajutrz bolała mnie głowa niezmiernie, ale to podobno winien był temu dzień pochmurny, niech wreszcie tam będzie co chce, a W. M. Pan bądź na nas łaskaw.

Pamiętam niedawno i na kazaniu słyszałem, że *vinum bonum lactificat cor hominis*, — ile możliwości ja staram się, żeby u mnie dobre bywało i tylko bym chciał sobie podweselić, a przypadkiem się chyba upiję. Zważ W. M. P. Dobr. i to jeszcze, iż jak zapamiętam w sąsiedztwie naszym żaden kompromis bez kielicha się nie skończył, znać że wino do zgody dobre. Byłem sekundantem na dwóch pojedynkach i tam wino moje lepiej od ładunków Ichnościów adwersarzów uspokoiło. Proszę zatem W. M. Pana Dobrodzieja pozwól nam się ucieszyć cokolwiek, przecież to i ojcowie nasi dobrze pijali, a poczciwie służyli Ojczyźnie. Jeżeli zaś łaska mego kochanego Dobrodzieja nastąpi, oddawca listu domek mój opowie, w którym otwartem sercem oczekuję bytności jego z wysokiem zostając poważaniem.

*Antalewicz*¹⁾.

(R. 1766. Nr. XIX.).

Drugi list w tejże materji.

M. Panie Monitor, Rozumiałem, że tak istotna między pijanym a pijakiem różnica, jaką pokazał w liście swoim do W. M. Pana pisanym Jmé. Pan Antalewicz, mój wielki przy-

¹⁾ Następują uwagi Monitora

jaciel, skłoni go do łaskawszych sentymentów na nas za przyczyną pijących, aliści położone na końcu uwagi jakby mnie z nóg ścięły, widząc W. M. Pana jednakowo przeciw wszelkiemu rodzajowi pijaństwa surowego.

Gdy mi równie jest ciężko tak z dobrem winem jak i z W. M. Pana szacownemi rozstać się naukami, przedsięwziętem jeszcze tentować łaski jego następującemi uwagami.

Żebyśmy się mogli zaszczyścić cnotą wstrzemięźliwości, trzeba nam nieraz nie czasem ale zawsze zachować pomiarowanie w napoju: żebyśmy też przyszli na obelgę pijanicy, mało jest czasem się upić, bo tak cnoty jako i występki wtenczas w rodzaju swoim doskonałe, kiedy nie trefunkowe, ale zwyczajne.

Od Noego Patryarchy do najpóźniejszej daty świeżego teraźniejszego czasu pijaka, wyliczyłbym W. M. Panu milion ludzi godnych, z których wysokiej sławy aż do wieku naszego zaniezionej bynajmniej nie ukrzywdziła ta (jak ją W. M. Pan zowiesz) przywara. Ale dosyć mi wspomnieć jednego Katona: *narratur de prieci Catonis virtus aliquando caluisse mero; quare si quis Catoni ebrietatem obiecerit, facilius efficiet hoc crimen honestum, quam turpem Catonem.* A za cóż my ludzie dobrzy, od surowości dawnych filozofów dalecy, mamy się kondeinnować, że sobie czasem przyjaciela z przyjacielem podochoćci, kiedy to i najgodniejszym osobom uchodziło. Nie przeczę W. M. Panu, że wstrzemięźliwość jest wysoką cnotą, tylko na to pozwolić nie mogę, żeby się bez niej nikt nie mógł zwać pocziwym człowiekiem.

Znamy wielu po pijanemu szczerych, miłosiernych, pobożnych, uniżonych, zgola niezliczonych cnot pełnych, bo źródło tego wszystkiego nie z wina, ale z ich szczęśliwej natury płynie, będą zaś we wszystkim przeciwni, jeżeli są z złych sklejeni namiętności, pijaństwo bowiem nie rodzi, ale zrodzone zewnątrz wyrzuca na wierzch defekta; może się zdać przynajmniej na sposób poznawania hypokrytów.

Że Mahomet będąc podległy epilepsyi. wina pić nie mógł, dla tego podobno przez zazdrość zakazał go uczniom i naśladowcom swoim, lecz my mamy lepszego prawodawcę który napisał:

Vina bibant homines, animalia caetera fontes.

O zwierza pijanego dla tego trudno, bo wino nie leje się po strugach tak jak woda, będąc ku używaniu dla samego tylko człowieka sporządzone.

Miałem już kończyć, kiedy przyszedłszy do mnie stary pan winiarz, tak utyskiwał: Ah! Mei Panie cóż się to z nami ubogimi szynkarzami dzieć będzie? słysząc wyszła z Warszawy jakaś inhiłicya, żeby wina i wszelkich gorących trunków nie pijano tylko pod miarą. Jam się w tem mieście pięknie wymurował, dziatkim przystojnie wychował, z córką dałem blisko na 50.000 złr. wszystko to się zebrało od Ichmiciów, którzy *pro honore gentis* i sami się upijali i poili drugich. teraz przyjdzie mi i wielu ze mną szynkarzom chleba żebrać, jeżeli ten chwalebny narodu zwyczaj ustanie, miasta w ruinę pójdą, gdyż najwięcej na propinacyi stoją. I tam dalej rozwodził swoje żale. Jam na to odpowiedział: nie frasuj się mój panie winiarzu, nie znajdzie się łatwo taki w Polsce Podwojewodzy, któryby miarę w gardle postanowił.

Proszę W. M. Pana, abys łaskawie przyjął te moje uwagi, ja zaś za pozyskany fawor obiecuję W. M. Panu, iż co przedtem dzień tylko jeden w tydzień miałem poślubiony trzeźwości, to teraz odmienię votum i tylko się raz w tydzień za zdrowie jego upiję.

Łykuczewski.

(R. 1766. Nr. XXXI).

List do Monitora opisujący podróż z Warszawy do Lublina (o przesądach).

Stanawszy na miejscu za rzecz słuszną poczytałem opisać W. M. Panu moją podróż z Warszawy do Lublina, po-

nieważ w niej takie się znajdują przypadki, które i pióra i uwag W. M. P. potrzebują.

Wiadomo W. M. Panu, żem się z Warszawy w tę drogę pocztą wybrał, abym jak najprędzej mógł stanąć w Lublinie dla przypadającej tam za trzy dni sprawy mojej. J. P. Staruszkiewicz, znajomy W. M. Panu, ofiarował mi się za towarzysza kosztu i drogi, chcący także pospieszyć jak najprędzej na Trybunał tameczny dla swojej sprawy. Zezwoliłem na to chętnie i posłałem po konie pocztarskie; upakowano karetę, postylion zatrąbił, czas nam już siadać było. Wtem J. P. Staruszkiewicz porwie mnie za rękę i rzecze: „ach co my czynimy? wszak to dziś poniedziałek, nieszczęsny dzień do wyjazdu. Będziemy mieli w drodze jakiś zły przypadek, odłożymy wyjazd do jutra“. Możesz się W. M. Pan domysleć w jakie mię podziwienie i gniew wprawilo to zabobonne zdanie. — sprawa za trzy dni ma przypaść w Lublinie, a ja wyjazd mam odkładać do jutra! Przekładam tedy jemu, że jeżeli się opóźniemy, przegramy sprawy nasze i będziemy mieli większą szkodę, niż z tego przypadku mniemanego. J. P. Staruszkiewicz głuchy na to. Fatalność poniedziałkowa tak mu głowę zaprzatnęła, że i mówić sobie nie dał o wyjeździe. Było pod ten czas tam kilku przyjaciół moich; mówią mu wszyscy, że to są proste zabobony, że oni sami nieraz w poniedziałek wyjeżdżali, a przecież nic się im złego w drodze nie przytrafiało. Ale daremne te wszystkie były namowy, nakoniec z tem się do niego odezwałem: „Mospanie, wiedz W. M. Pan żeśmy już kilkadziesiąt tyńfów zapłacili poczcie za konie, stracimy marnie te pieniądze. Jutro znowu tyleż będziemy musieli zapłacić do stacyi“. Poruszyło to dziada bardziej, niż wszystkie inne uwagi, któreśmy mu w tej mierze czynili. Pokazał się nieco łatwiejszym do wyjazdu, zaprowadziliśmy go tedy niemal gwałtem i wsadziliśmy do karety. Co za uciészny to był widok! z taką miną szedł staruszek do karety, z jaką na śmierć pospolicie wychodzą.

Ruszyliśmy tedy z Warszawy. Mój kompan przez długi czas wzdychał, nie chcąc i jednego do mnie słowa przemówić. Nakoniec dobył kalendarza swego i ledwo weń zajrzał zawołał: „Patrz, W. M. Pan, patrz! wyprowadziłeś mię dzisiaj z Warszawy na pewne nieszczęście. Oto i w kalendarzu pisze, że dzień dzisiejszy jest fatalny do wyjazdów“. Złość mię znów brać poczęła, że ten dziad zabobonniemi z kalendarza obserwacyami zaczął mi dokuczać. A jako pierwaj długo milczał, tak potem mając po sobie świadectwo z kalendarza, ustawicznie mi gryzł głowę. Wytrzymałem jednak jak mogłem ten czyściec aż do noclegu. Tam znowu mój dziadus zaczyna rokować, iż po takim wyjeździe trzeba się na noclegu obawiać pewnych rozbójników, albo przynajmniej złodzieiów. Ja niechcąc dłużej tych przymówek słuchać, zabrałem się co prędzej do spoczynku. Staruszkiewicz zaś, jak mi potem mówiono, całą noc na trwodze i lamentach strawił. Nazajutrz drogę przedsięwziętą czempędzej kończyć zaczęliśmy. Staruszkiewicz znowu stęka w karecie. Pytam się go, coby się z nim działo. „Tak to, odpowie mi w poniedziałek wyjeżdżać, słusznie tego czynić nie chciałem. Teraz z łaski W. M. Pana już jestem chory: może jeszcze i co gorszego mię czeka“. — „Ach mój Dobrodzieju, rzeknę mu na to: jak W. M. Pan nie masz chorować? przez cały dzień wczorajszj niepotrzebnie alterowałeś się: potem noc dzisiejszą, nie nie śpiąc, w tejsze trwodze i troskliwości przepędziłeś! Jaby m umarł gdybym takie strachy i nieszczęścia himeryczne na umysle stawiał“. Chciałem mu więcej jeszcze o tem mówić, alie on niespodzianie krzyknie do pocztyliona: stój zmiłuj się! stój! poczekaj! Zadrżałem i rozumiałem, że mu się w głowie przez tę alteracyę pomieszało, on potem do mnie: „czym nie mówił że nas pewne nieszczęście czeka. Tak to w poniedziałek wyjeżdżać!“ — Cóż tam, rzekę, nowego? „Oto prawi, zając nam drogę przebiegł. Wszystko nam pokazuje, że my dobrowolnie naszej zguby szukamy“. Odżyłem to usłyszawszy i rozśmiałem

się mówiąc: „więc my dlatego mamy być nieszczęśliwi, że zając drogę przebiegł. I jakże to stan człowieka jest upośledzony, że lada zając może szczęściem lub nieszczęściem jego kierować? czemu to zającowi nie nie szkodzi, kiedy ja mu przejdę lub przejadę drogę?“ Chciałem mu i więcej podobnych uwag przełożyć, ale mi dziad i słowa rzec nie dal, ustawicznie mi toż samo wymawiając, że go wyprowadził z Warszawy na fatalne jakieś przypadki. Wtem stanęliśmy na popas. Tam J. Pan Staruszkiewicz zaraz się zabrał do spoczynku, ażeby zażył snu, bez którego noc przeszką przepędził. Ta pierwsza w podróży mojej była spokojna godzina. Siadamy potem do stołu: Staruszkiewicz westchnąwszy, zaczyna znowu swoje okropne rokowania, pewniejsze jeszcze niż pierwsze, bo mu je sen potwierdził, w którym zdało mu się jakoby nieboszczkę swoją żonę widział. Jam milezał i jadł: a on mi sennikiem swego zdania dowodził. Widząc, iż, nie uważam na jego dowody i jem smaczno, zaczął koło pieczeni moim przykładem zawijać. Kazałem dać potem wina mojego. Staruszkiewicz po staroświecku z nim się spotkał i nieco się rozweselił, miałem z nim potem nieco spokojniejszej drogi, aż się zmierzchło. Wjechaliśmy w las gęsty, wtem na nieszczęście moje pułacz się odezwał. Znowu mój dziad w lamenta. Perswaduję mu, iżeśmy już niedaleko Lublina odbędziemy i tę resztę drogi pomyślnie, dziad mój na to: „jeśli nie w drodze, tedy w Lublinie nas czeka nieszczęście: zapewne sprawy nasze przegramy. Niedarmo się to pułacz odezwał“. Wybijałem mu to jak mogłem z głowy: przekładałem, że pułacz nie będzie w Trybunale dawał swej kreski, ani innych sędziów kreskami rządzić może, ale próżno to wszystko. Nie wchodzę w dalsze tej drogi opisanie. Możesz wniesć W. M. Pan, iż jaki był jej początek, taki i koniec. Przybyliśmy szczęśliwie do Lublina i mimo wszystkie te starego wróżki, żadnego w całej drodze nieszczęścia nie doznałem, prócz tego jednego, że z takim jechał dziwakiem. Sprawy też nasze

bardzo pomyślnie poszły. Ani wyjazd poniedziałkowy, ani kalendarz, ani sen, ani zając, ani pułacz, nic nam złego nie uczynił. Już i J. Pan Staruszkiewicz widząc próżność tro-skliwości swojej, bardziej się rozumem rządzić poczyną, niż płonnemi wrózkami.

Z tej okoliczności przypominałem sobie w podobnej ma-teryi chwalebna uwagę W. M. Pana No. że my częstokroć sami sobie bywamy autorami nieszczęścia naszego, tam go upatrując, gdzie go bynajmniej niema. Jakoż nie ten jest nieszczęśliwy, który choć w prawdziwym zostając nieszczęściu, przecież albo go nie zna albo mniej waży sobie, ale ten jest prawdziwie politowania godzien, który choć nie jest w nie-szczęściu, w niem sobie być jednak to rozumie.

Jestem z dawnem przywiązaniem.

(R. 1766. Nr. XXXIX).

Tydzień modnego kawalera.

Poniedziałek. Wstałem o godzinie dziewiątej i piłem The. Potym fryzowałem się i ubierałem się aż do godz. jedenastej.

Od godziny jedenastej aż do drugiej oddawałem wizyty gotowalniane.

Od drugiej aż do trzeciej obiad jadłem.

Po obiedzie grałem w karty aż do godziny piątej.

Od piątej byłem na komedyi aż do dziewiątej, od dzie-wiątej aż do północy byłem na assamblach.

Po północy spać poszedłem. NB tego dnia byłem trzeźwy.

Wtorek. Podług zwyczaju wstałem o godzinie dziewiątej.

O dziesiątej goliłem się, a potym fryzowałem się aż do jedenastej.

O jedenastej wziąłem mundur na siebie, chustkę uper-fumowałem, i pojechałem na kawę do mojej przyjaciółki J. P. B. NB. mleko nie było dobre.

Ztamtąd o dwunastej pojechałem do dworu.

O godzinie drugiej jadłem obiad bardzo dobry u J. Pana N. NB. żeby można mi kucharza odmówić

Po obiedzie jakieśmy usiedli to aż do północy w karty grałismy. NB. Przegrałem czerw. zł. 15. Trzeba będzie odegrać.

O północy poszedłem do domu. hajdukowi dałem w pysk. bo byłem złego humoru po przegranej. a potem spać poszedłem.

Środa. Wstałem o dziewiątej. ubierałem się i fryzowałem się do jedenastej.

O jedenastej wódki się napiłem z przyjacielem i bawiłem się z nim.

O dwunastej rzemieślnicy przyszli z regestrami, które aż do pierwszej przeglądałem i kazałem im przyjść do siebie jutro o dwunastej. NB. trzeba wyjechać z domu o dziesiątej.

O pierwszej pojechałem na obiad do J. Pana G. Kompania była dobra. piliśmy mocno aż do północy. NN. dał mi w głębę. NB. Trzeba będzie oddać.

O północy powróciłem do siebie. hajduka i Marcina obiełem. bo byłem rozgniewany. a potem spać poszedłem.

Czwartek. Wstałem o godzinie jedenastej, bo mię ciężko głowa bolała.

O dwunastej piłem herbatę, ale i to nie pomogło. Rzemieślnicy przyszli z regestrami. kazałem powiedzieć, że już z domu wyjechał, cały dzień chorowałem i mało co jadłem.

Piątek. Święto. Wstałem o dziesiątej. fryzowałem się i ubierałem aż do jedenastej. Norymberczyk przyszedł z galanteryami, oglądałem je długo i na kredyt niektóre wziąłem.

O dwunastej zacząłem się wybierać z domu. o pierwszej pojechałem na mszę. ale już żadnej nie znalazł. Powróciłem na obiad. O drugiej jadłem obiad.

Po obiedzie czekałem na J. Pana Zar., z którym miałem jechać na pewne miejsce, a że zaraz nie przyjechał. nie chcąc marnie czasu trawić, czytałem Magellonę aż do szóstej. NB. muszę ją drugi raz czytać. piękna książka.

O szóstej pojechaliśmy z przyjacielem na miejsce umówione i tam aż do północy bawiliśmy. NB. byłem dobrego humoru.

Po dwunastej spać poszedłem, ale nie mogłem prędko zasnąć, bo hajduk kaszłał.

Sobota. Wstałem o godzinie dziewiątej. herbatę piłem, od dziesiątej do jedenastej fryzowałem się i ubierałem się.

Od jedenastej aż do pierwszej stałem w oknie i patrzyłem się na jadących przez ulicę ludzi. NB. trzeba się dowiedzieć jak się ta osoba nazywa, która przechodząc ulicą, spozrzała na mnie.

O pierwszej pojechałem na obiad do pewnego Pana. Ztaniąd o czwartej odwiedziłem przyjaciela i aż do północy w karty grałem. Potem powróciłem do domu. NB. wygrałem 2 ezer. zł.

(R. 1767. Nr. V).

Dama niemodna.

Mości Panie Monitor. Szczerym naprawienia umysłem oskarżam przed W. M. Panem Damę pewną dobrze urodzoną, ale do wyśmienitych stanu i wieku swego niestosującą się zwyczajów; która gdyby w Warszawie wychowana była, nie podlegałaby wielu grubiaństwom, które z sobą z Podgórza przywiozła. Jedno przeciw modzie wykroczenie wyszydza zaraz dobrze urodzoną osobę, cóż dopiero ustawiczne wykwićności przestępstwo? Ja, który przez szczere pobłażanie nie naśmiewam się, po przyjacielsku ją przez W. M. Pana przestrzedz myślę, a z parafianki Warszawianką ją chcę uczynić, a to przez stosowanie się do wszystkich wyśmienitości w Warszawie używanych; łatwo tam występki grube przebaczone bywają, ale przestępstwa mody nigdy nie darują. Ta jedna dama, o której piszę, wykracza przeciw modzie prywatnie w domu swoim, w posiedzeniach przyjacielskich i publicznie się pokazując.

Już sześć miesięcy mija, jak zamaż poszła, a jeszcze męża kocha! dewotka jaka tej słabości podlegać może, ale nie w Warszawie mieszkająca dama. Pókiż tę skromność zachowywać będzie? Jeden z kawalerów piękność jej przyznaje, ta się od wstydu rumieni: damom godnym pędzel tylko rumienica dodaje. Czego się zapomina nie widząc męża? a w przytomności jego stroi się? Stosuje się, jako widzę, do czasów dawnych Patriarchów. Gdyby czytała reguły strojów, tamby się nauczyła, że do amanta i na kompanią stroić się tylko przystoi. Gdybym cokolwiek na nią względu nie miał, mógłbym zaraz zrujnować jej sławę. Wstaje o ósmej z rana, o której dopiero z reduct powracać należy. Wstawszy, rozmawia się z kuchmistrem i marszałkiem swoim; niech wie, że do męża rachować i płacić należy, chociaż u Jejmości wieczerać goście mają. Cóż potem robi? czyta moralne i historyczne książki, pomijając tak wiele zabawnych romansów, nad którymi siłą się ustawicznie dowcipy wyborne: o czym gdyby ludzie wiedzieli, o jakaby do żartów i wysmiania należeli materia! Późno już przypomina sobie, że do gotowalni iść ma, ale tak mało zna jej porządek i powinności. Dama mająca lat ośmnaście, siedzi u gotowalni nie mając przy sobie kawalerów! dwie tam tylko widzę służące panny, na które nie fuka, pierwszy garnitur, który jej podadzą, przyjmując, suknię, którą podać kazała, bierze, nie odmieniając dziesięć razy rozporządzenia. Trzeba ją przestrzedz, że panny służące gorszą się mocno z tego, że więcej czasu przy swych gotowalniach trawia, niżeli ich pani; a co osobliwsza, że jedną z tych pannen przyjęła z narajenia męża swego, oddaliwszy ową wykwintną Francuskę, na palcach umiejącą wszystkie artykuły mody paryskiej. Ledwo jeść na stole, jużci Imość do stołu siada, a nie mogłaż ona nad przypinaniem kadryllów cokolwiek zabawić się, aby jej poczekano. Do stołu siadają, ona przeżegnanie stołu czyni: rozumiałem to widząc, że w refektarzu Bernardyńskim obiada. Po obiedzie biorą się do Try-

setty, linc: co to za gra? pyta; a możeż ukraińska dama większą mieć niewiadomość? Robotą się bawi, a jakąż? pończoszki na drutach robi: a na cóż wiązanie girlandów wprowadzone, jeżeli nie dla różnicy rąk wiejskich od warszawskich? Prawdziwie, człowiek mający edukację, bywać u niej nie może. Przed pokojem siedzący lokaje nie w kości i karty grają, ale się ręczną robotą bawią, przed wchodzącym do domu księdzem powstają i do pokoju go wpuszczają; ludzie niezgrabni, liberyę szarą, nawet bez galonów lub passamonów noszący, którym na trzy prawie cale wzrostu czterech łokciowego brakuje; dlatego też są materją wyśmiewania ludziom zdrowe sentymenta mającym.

Ale gdyby tylko grubiaństwo to kończyło się w domu. Bywa ona w kompaniach z twarzą bynajmniej kolorami nieprzyprawną. Tak też na Pokuciu do fary przyjeżdżają parafianki. Sześć dam w posiedzeniu zastanie, jedną tylko pocałuje, ezemu? bo z tą jedną ma poufałą znajomość; inne pierwszy raz widzi; jakby koniecznie oświadczenia polityczne na szacunku wewnętrznym zasadzać się miały. Siada nie powiedziawszy zwierciadłom: jakożem na twarzy mizerna! jak nie dobrze ubrana! ten jest z tym wszystkim komplement, którego używają pierwsze damy; trzeba się do wielkich przykładów stosować; trzeba dać okazyą mówienia o sobie nie słuchając onej staroświeckiej maksymy, która ni źle, ni dobrze o sobie mówić nie każe. Jak wiele pięknych rzeczy w posiedzeniu owem mówiono: o strojach według pory czasu, o kształtnem upinaniu roxelanów, o nowym sposobie układania niskiej fryzury; w tej obfitości rozmów wyborynych słowa nie rzekła; nawet wchodzącego kawalera wysnuklej kibici, przedziwnego w uśmiechaniu się warg ułożenia, co inne wszystkie czyniły, nie admiirowała. Co za straszny letarg! A co przed kilku dniami uczyniła, będąc u jednej pani! Ułożono spacer na Bielany, ona się męża pyta czyli tam będzie; ten lepiej zachowując przystojność, odmówił; dlatego samego jechać powinna

była, atoli nie chciała. Czyli tym sposobem podobać mu się stara? a toż to ma być staranie całodzienne uczciwej damy? Raz na dzień przynajmniej powinien mąż ożenienia swego załować. Jej mąż na zbytne tylko żony przywiązanie skarży się; przyjaciele jego boją się, aby go na koniec nie zepsuła. Niema nieborak czasu bawić się z tą Włoszką, która go nad stu innych, pełne złota worki ofiarujących, przenosi. Dla Boga, niech ta lmość uważa co czyni, kiedy nawet na miejscach najpubliczniejszych prostoty swojej nie tai.

Jedzie do ogrodu Saskiego na spacer o tej godzinie, o której tam ci tylko bywają, którzy szczególnie dla zdrowia przechadzki zażywają. Bywa na operach, bywa na pokojach; ale jak ubrana? klejnotów ledwo za jakie sto tysięcy ma na sobie; koronek jej garnituru łokieć ledwo pięćdziesiąt talarów kosztuje. Niech się wyrzeczcie tej, której się na Rusi nauczyła maksymy, że każdy według stanu swojego ma się stroić. Przeszłej niedzieli już o dziesiątej z rana była w kościele, a nawet ubrana: ktoby wierzył. A co większa, nie mając na rękę worka z robotą. Także to? o tymże czasie dama godna mszy słuchać powinna? Dobrze o niej pewny kawaler powiedział: że „śmiesznie bardzo koło zbawienia swojego chodzi. Przebaczyłbym lenci, gdyby bywała na kazaniach wybornych; nie tam gdzie wdychają i płaczą. Dla pięknych dam są piękne i dowcipne kazania“.

Nie czyniłaby tego pomieniona lenc, gdyby wiedziała, że nie tylko grubiaństwa wystrzegać się należy, ale do tego o wdzięki i wyśmienitości starać się. Wdzięki dane od natury nie mogą pójść w porównanie z temi, które formuje sztuka. Bekiesza jej jest piękna, ale nie z krótkimi rękawami; rogówka dobrym kształtem, ale nie dostatecznej wielkości; brylanty piękne, ale nie *à la grecque* ułożone. Onegdaj na komedyi będąc, miała kornet wysoki, gdy już od dwóch dni niskie nosić zaczęto.

Są wdzięki zapachu przez zażywanie wódek i bal-

samów na to sporządzonych. Niech z oczyma zawiązanemi wnidę w kompanią, wonią dojdę, czyli w wybornych ludzi towarzystwie jestem: tych ona nie zażywa, a tem samem nie daje czuć tego, że jest wyższego ekstraktu osobą.

Są wdzięki w mówieniu. Mówi ona niezłe po francusku i czyta w tym języku książki *la Bruyera*, *Racine*, *Montesquieu*, *Fontenelle*; z tych się nauczy dobrze myśleć i porządnie myśli swe tłumaczyć, jednak nie nabędzie onych przedziwnych wyrażenia i osobliwszych mówienia sposobów. Na przykład: o rzeczy ordynaryjnie dobrej mówi, że dobra jest: kto inny wyborniejszy rzekłby: przedziwna, osobliwsza, extra-ordynaryjna. Jest trochę utrudzona; trzeba mówić: mdlejąca, z sił opadła. Niedawno odjeżdżając z komedyi, rzekła stangretowi: jedź do domu, należało rzec: jedź do pałacu. Są jeszcze wdzięki w wymyślaniu. Na szóstą kazała mieć gotową karetę i tej godziny wsiadła. Gry, którą grać umyśliła, nie odmienia. Osobę pewną wczoraj w swym domu przyjąwszy dobrze, dziś ją tymże samym sposobem przyjmuje; zgoła zawsze jest jednakowa. Jest tu cokolwiek podłości.

Są nawet wdzięki uskarżania się na złe, którego nie cierpimy. Pół roku przepędziła nie skarżąc się na migrenę, to jeszcze daruję; ale że przez ten czas na spazmy, na wapory nie stękała, tego wybaczyć nie mogę; bo tak czynić jest na złe zażywać zdrowia.

Są wdzięki w lękaniu się. Ale nie tak, jako Imc nasza przed kilku dni uczyniła. Do ucha jej poszeptniono: pomieszanie twarzy pokazawszy, wyszła z posiedzenia; mówili przytomni: zepewne piesek faworyt nogę złamał, albo papuga nagle zachorowała; ubolewali nad tem jej umartwieniem: owszem o jej się zdrowie lękali; a to szwank stangreta, który spadł z wysoka, ją zmieszał. Nawet nie umie ze strachem krzyknąć, gdy się karetą cokolwiek nachyli, siedząc w niej spokojnie, jak prosta i bez edukacyi parafianka. Będąc na wsi około wołu blisko niej idącego, przeszła bezpiecznie, jakoby

jaka podstarościna. Alboż to trzeba czekać wielkich okazji do przełknięcia się? niechaj obierze stworzenie jakie, którem się brzydzić i lękać ma na każdym miejscu: kota lub myszy, muchy lub pajaka. Grzmoty wczoraj popołudniu trwające, zupełnie ją wydały. Jedna z dam przytomnych uciekła do nisz, zasłaniając się firankami; druga krzykiem strasliwym chciała odpędzić chmurę; ona tylko i jej ogrodniczka bez pomieszania zostały. Słowem ta Imć, którą przed W. M. Panem oskarżam i przez niego upomnieć chcę, w mieście gdzie wyborności są w używaniu, prostym bardzo we wszystkich okolicznościach postępuje sposobem. Przykłady tylu dam powietrzem warszawskiem, to jest najwykwintniejszem tchnących, zawstydiłby ją i do naśladowania pobudzić powinny.

W M. M. Pana najniższy sługa

W Warszawie

Wodnicki.

2 Februar 1767.

(R. 1767. Nr. XXI).

Niczeگیści i Aprzeciگیści.

Mości Panie Monitor. Moc prawa, surowość urzędów wstrzymuje występki i gromi; i obywatelskie tem bezpieczeństwo jest opatrzone. Zawady powszechnie dokuczające w prywatnem życiu każdemu, a które pociągnąć nie można pod karność praw, szerzyły się, rozmnążały, bez bojaźni i niepodlegle dawały się w znaki nam wszystkim, czy w domach, czy w biesiadach, czy to na wsi, czy w stolicy i przeszkodzić temu poniekąd trudno było, dopóki urząd Monitorstwa, (pod którego dozór obyczajaje należą) nie był ustanowiony, ale gdy w liczbie zbawiennych nowości, szczęśliwość czasów pozwoliła nam do czekać się komisji obyczajów, już mamy gdzie się udać i w sprawiedliwych żalach naszych. pomyślny otrzymawszy wyrok, możemy *adhibito brachio monitoriali*, dać odpór natrętnym najściom, uprzykrzeniem &c: które w milezeniu dawniej

znosić trzeba było. Stawam tedy przed sądem twoim Prześwietna Komisyo obyczajów, pod wielką prezydencją twoją Mości Panie Monitorze, z uskarżeniem się na dwie sekty filozofów, jedną tyrańsko postępującą sobie w Towarzystwie, drugą rozciągającą czasem upór swych maksym i do publicznych interesów; teni niebezpieczniejsze obie, że pod barwą pokory, wyrządzają swe złości.

Pierwsza jest sekta Niczegistów druga Aprzecistów, pierwszych jest hasłem to słowo: *niczego*; drugich: *a przecie*. Szperałem w najodleglejszych wiadomościach starożytności, chcąc wyszlakować te dwie sekty, od najpierwszych początków, aż po pracowitem ksiąg przewertowaniu, te mi się najpodobniejsze zdawały być wnoszenia: Sekta Niczegistów, jestto, kombinując wszystkie okoliczności, odszczepienie od sekty Stoików, podług wszelkiego podobieństwa. Któryś z uczniów Zenona, chciwy tej sławy być hersztem opinii nowej, zatrzymawszy grunt nauki Mistrza swojego, zwrócił onej zażycie na odmiennie objekta. Wątpię, żeby to słowo, *niczego*, było słowieniskie i to miało w początkach znaczenie, które w języku naszym przez zadawniony otrzymało zwyczaj; bardziejbym rozumiał, że to jest nazwisko owego ucznia Zenonowego a twórcy tej sekty, Athenaeus in Deipnosophiston, wspomina o stoiku, który zaczął walczyć w wyspie Rhodus z Posidoniuszem i tłomaczyć sens niektórych propozycyj Zenona; nazywano go *Niccyginus*. Rodem był z Miletu w małej Azji. Przeciąg czasu, zła wymowa, niewiadomość, zatartszy w uczniach jego, nietylko pamięć nazwiska, ale nawet pierwsiastkowe zostanowienia, przemieniła *Niccygina* w *niczego*; wiemy zaś, że Sektatorowie Pithagora, innej nie znali przysięgi, do utwierdzenia punktu jakowego, swej nauki, jako tę: *przez Mistrza naszego; on sam tak powiedział*. Drugie sekty filozofów greckich gdy ich namawiano do uczynku, ich ćwiczeniu przeciwnego, mieli ten zwyczaj, wspominać nauczyciela swego imię, chcąc tym wspomnieniem mieć zawsze przytomną konieczność nieoddalania się od jego nauki; tem jestem przeświadczony, że to

słowo: *niczego*, zażyte w każdej okazyi, przez Niczegistów nie jest nic innego, jak wspomnienie imienia ich fundatora.

Powody moje do rozumienia, że Niczegistów sekta, pochodzi od stoików, te są: iż oni doskonałość swych przykazań zakładali w znoszeniu przykrości, w potocznem obchodzeniu trafiających się, wszystkie dając znaki upokorzenia: założona jest w tem samem treść nauki Niczegistów, obiektem tylko odmienne, wprawiać drugich w cierpliwość, przez naprzykrzenia swoje. Jest to przydatek filozofa Nicegina, który żadnym sposobem niesprawiedliwiony być nie może, każdy człowiek bowiem panem jest swej cierpliwości, ale po cudzą sięgać nie powinien. Przystępuję teraz do znaków, przez które dają się poznawać Niczegiści. Wchodzi naprzykład Niczegista do pokoju i uklon pierwszy czyni we drzwiach, który stanie za czolobitność, drugi na środku pokoju, trzeci przystępując do osoby, od ukłonu podobnego drugim, mówić zaczyna i proszącemu, żeby nie tak nisko się kłaniał (choćby ten i na scyatykę chorował) odpowiada: *niczego*; nieoszczędny swych krzyżów, drugiego chce nauczyć, żeby także swych nie szanował i lekceważył przykrość i boleści zginania się; po chwili proszą go siedzieć, ten który go prosi, czasem pedogryk, albo na różę choruje, lub nareszcie zmordowany, nie na to nie uważając, znowu wzywa mistrza swojego i odpowiada: *niczego*; do stołu idąc, zatrzymuje się we drzwiach, proszą go, aby się dalej ruszył; opiera się: zażywają argumentu, że rosół ostygnie, aż on znowu z upokorzeniem wymawia: *niczego*, przytyk dając jadania ciepło, rozkoszy: siada tandem na brzegu stołka, na dwie piędzi od stołu, serwety nie rozkłada: prosi go gospodarz, który go posadził koło siebie, żeby lepiej usiadł i przysunął się i tandem, żeby serwetę rozwinął, jeżeli nie przez wzgląd na swoją suknię, to przynajmniej przez wzgląd na kontusz nowy gospodarski, któremu on znowu odpowiada, wspominając fundatora swego i woła: *niczego*, chcąc dać do zrozumienia, że nietrzeba się do powierzchowności przywiązywać, ale że: *forma neglecta, cirum*

deceť; nakoniec wymordowawszy i splamiwszy gospodarza, sam wymordowany i splamiony odchodzi.

Na moje nieszczęście znajomego mi Niezegistę spotkałem przed Kapucynami w dzień nowego roku. Zatrzymał swój pojazd i mój i cobyśmy mogli byli gadać przez okno, przysunął mnie sam wysiadłszy, do wysiadania, mówiąc: *niczego*, na wszystkie prośby moje; zaczął mówić do mnie bez czapki: swoją zdjawszy, usilnie obligowałem go, żeby głowę nakrył, krzyknął na to trzy razy: *niczego*; po tej potrójnej invokacji, poświęciłem się na słuchanie z gołą głową pół kwadransowego komplementu na trzaskącym mrozie, z czego takiego kataru dostałem, że chcąc ustnie użalić się przed W. M. W. Mei Panem, jestem przymuszony, będąc wszystek w potach, ściągać rękę do pióra, z pokorną prośbą, abyś raczył, przez swą krytykę roztropną ratować krzyże, suknie, nareszcie zdrowie swych współobywatelów, tak napaśnię prześladowanych, przez pokorną sektę uprzykrzonych Niezegistów.

Opisanie Aprzeciśtów, rezerwuję na drugi raz, folgując oczom W. M. W. Mei Pana i swemu katarowi. *G. M.*

(R. 1767. Nr. XXX).

Dyaryusz damy.

Podany do publicznej wiadomości na początku roku tegoż Dyaryusz zabaw pewnego kawalera, pobudził jedną z dam do podobnej w zapisywaniu spraw codziennych pilności. Kilka tylko dni tu przełożę, z których i reszty życia domysleć się można.

Poniedziałek. O godzinie 8 ocknąłam się; leżąc w łóżku wypilałam kawy trzy filiżanki i znowum szczęśliwie usnęła. O godzinie 10 czytałam Monitora NB. Niechby on patrzył sobie podobnych, a damom dał spokój. Nawiedził mnie potem przy gotowni Jmé P. Modnicki i bawił u mnie aż do godziny 11, szkoda że żonaty. Kończyłam potem ubieranie moje. NB. Postrzegłam, że kolor niebieski lepiej mi przystoi, niż inne.

W pół do 12 przyjechał podług umowy wczorajszej Jmé P. Gachowski, z którym jeździłam do Ujazdowa na spacer. Po-
wróciwszy jadłam u siebie. NB. Jmé P. Fadon francuz prze-
chodził koło moich okien, był gustownie ufryzowany.

O godzinie 5 pojechałam z wizytą do Jmé Pani Staruszkiewiczowej. Nie mogłam znieść jej wykwintów: ale że
była tam piękna kompania, bawiłam się aż do 8.

Powróciłam do domu. Wieczera. Grałam w karty do
północy. Udawszy się potem do spoczynku, nie mogłam za-
snąć. Wykwinty Staruszkiewiczowej wprawiły mnie w zły hu-
mor: sflukałam Lizetkę.

Wtorek. Ocknęłam się w pół do 9 wypiwszy dwie fili-
zanki herbaty, znowum spałam do 10, śniło mi się, że Jmé
Pan Fadon grał ze mną w karty. Zaczęłam czytać Koloandra,
alić mi przyniesiono bilet od Jmé Pana Fadona. Przeczytałam
go 4 razy i schowałam w szkatułce lakierowanej. Od 11 do 12
bawiłam się przy gotowaniu. Zdawało mi się, że byłam bledsza
nad zwyczaj, ale Jmé P. Gachowski, który był przytomny, do-
wodził mocnemi racjami, iż mi zwierciadło krzywdę czy-
niło. NB. Ząb się złamał w grzebieniu moim tartarogowym.
O godzinie 12 Jmé Pani Staruszkiewiczowa przysłała pizia
pytając się, jeśli miałam noc spokojną i znowu mnie w zły
humor wprowadziła. Jubiler przyniósł klejnoty, ale na kredyt
nie chciał mi nic dać.

Obiad jadłam prywatnie, po którym P. Fadon mię na-
wiedził. Znowu byłam dobrego humoru: przymówiłam mu je-
dnak, że bywa u Staruszkiewiczowej. NB. muszę się spytać czyj
to portrecik ma na swojej tabakierze. Grałam z nim w karty
do późna, przegrałam czerw. zł. 20, alem to myślnie uczyniła.
Podczas wieczery mysz mię przestraszyła i mocno zalterowała:
ale Jmé Pan Fadon znowu mię w dobry humor wprowadził.

Środa. Wstałam o godzinie 10 i postanowiłam cały dzień
bawić u siebie *incognito*. Od 11 do 12 zamknąwszy się w moim
gabinecie, układałam sobie minę i uśmiech Pani Umizgalskiej. NB.

trzeba się dowiedzieć, jakiej ona wódki zażywa do utrzymania gładkości twarzy. Od 12 do drugiej naradzałam się z krawcem jakiego koloru mam sobie robion sprawić, ale i dotąd jeszcze nie jestem determinowana. Obiad prywatny. Byłam mocno pomieszana przypominawszy sobie, iż Staruszkiewiczowa jest tego zdania jakby ją kochał Jmć P. Fadon. Hajduk szarmankę przez nieostrożność potracił, kazałam mu za to dać dobre plagi. Napilałam się likiern pomarańczowego.

O godzinie 4 odmieniłam przedsięwzięcie: pojechałam na assamble. Nie chciałam być na komedyi, dowiedziawszy się, iż miała być polska: trąci grubiaństwem języka i doweipu polskiego. NB. Umizgalska miała gustowny garnitur. Pani Wymyślnicka mówiła mi do ucha, iż ma coś mnie powiedzieć o Jmć Pannu Fadonie: ale jestem pewna, że to nie prawda. Pan Grzecznicki mocno mi się akkomodował: dosyć ma poloru: szkoda że Polak NB. Trzeba zmartwić Staruszkiewiczową.

Czwartek. Od 10 do 11 przesadzałam muszkę z miejsca na miejsce: nakoniec determinowałam się przylepić ją nad lewym okiem. Przypominałam sobie sen dzisiejszy, w którym zdało mi się jakoby Jmć Pan Fadon klęczał przedemną. Od 11 do 1 ubierałam się. Trzy razy insze suknie brałam na siebie. NB. Niebieski kolor nie bardzo mi służy, trzeba wyrozumieć z Jmć Pana Fadona, który kolor on lubi.

Po obiedzie Jmć Pani Zacniewska wzięła mię z sobą na operę. Jmć Pan Fadon na początku drugiego aktu przyszedł do mnie, na końcu prowadził mnie do karety: zdawało mi się, iż mię ścisnął za rękę. Powróciwszy do siebie zwyczajne miałam zabawy. Układałam się weześnie: ale miałam sen straszny, jakby Jmć Pan Fadon mocno akkomodował się Staruszkiewiczowej.

Piątek. Święto. Miałam jechać do kościoła, ale sen pomieniony sprawił mi migrenę. Przed południem Pani Zacniewska przyjechała i wzięła mię na obiad do siebie. Jmć Pani Bogacka przyjechała w gustownej karecie paryskiej. NB. Muszę koniecznie takż dla siebie zapisać, choćby mi przyszło

i wioskę sprzedać. Podczas obiadu mówili niektórzy, że Jmć Pan Fadon jest filut, ale to fałsz oczywisty, nie podobny do tego. Sama twarz ukazuje, iż musi być godny kawaler.

Sobota. Obudziła mnie szarmancka swoim szczełaniem o godzinie w pół do 10. Napiałam się kawy. Trzeba będzie filiżanki nowe kupić, bo u pani Staruszkiewiczowej są z brzękami złotem. O godzinie 10 byłam złego humoru, oddano mi list od mego męża. Od w pół do 11 do w pół do 1 obierałam wstążki i blondyny do garnirowania: prawda że droższe u *Madam Damon*, ale bawi u gotowalni. Od w pół do 1 do trzech kwadransów na trzecią ubierałam się i pojechałam na obiad. Goście na mnie wszyscy czekali i gospodarz był markotny, żem późno przyjechała: ale powiedział onegdaj Jmć Pan Fadon, że to dystyngwuje zaćne damy. NB. Paszteciki nowej inwenyi.

O piątej siadłam grać w hrysetę: przegrałam partyj 38: na wieczery nie miałam apetytu, tylko krátkowego ciasta trochę zjadłam.

Niedziela. O 10 obudziłam się. Zdalo mi się, że mię głowa boli i dlatego włożyła muszkę na skronie. O 11 byłam w kościele *en negligé!* ktoś w czerwonej sukni gadał z P. Umizgalską. Od południa do 2 u gotowalni. Jmć P. Fadon powiedział, że nie lubi koloru niebieskiego. W pół do 3 na obiedzie u Umizgalskiej. Zamyśliwała się często, zapewne o tym Jmć, co z nią gadał w kościele; powiadają, iż ma lat 16, ale być nie może. Pytał mnie się Podśudek, czy pamiętał kampanient pod Warszawą¹⁾.

O 5 wróciłam się do domu. Ciężka migrena: piłam herbatę. Jmć Pan Fadon był u drzwi, ale nie chciałam go przyjąć. Trzeba będzie nauczyć Pana Podśodka, żeby wiedział, jak to gadać z damami.

(R. 1767. Nr. XXXVI).

¹⁾ Słynny kampanient (przełąd wojska, rewia) odbył się w r. 1732 na polach wilanowskich — stąd w zapytaniu Podśodka był przytyk do „lesek“ modnej damy.

O pojedynkach.

Mei Panie Monitor! Zostający teraz pod dozorem cyrulika, do żadnej roboty nie mam sposobności, jak tylko do pisania. Zażywam jej do doniesienia W. M. Panu nieszczęśliwego mojego przypadku.

Byłem długo w takiej kompanii, u której dzielność kawalerska była celem najczęstszych rozmów i najdelikatniejszym punktem honoru. Słyszałem nieraz jako ów jegomość pięknie się popisał w pojedynku, jako drugi mężnie się od kilku szabel bronił, inny zdobytym bułatem zgryje rycerzów przed sobą pędził i tam dalej. Takowe rozmowy coraz bardziej, a bardziej zagrzewały serce moje z natury do dzieł walecznych skłonne. umyśliłem więc tym sposobem szukać dla siebie sławy nieśmiertelnej. Na ten koniec sporządziłem sobie furdymant mocny, za którym by ręka jak za murem bezpieczna była. Kazałem uszyć kaftan łosi, któryby i najpłyt szemu pałaszowi mógł dać odpór. W rękawiczki też łosie długie aż za łokieć opatrzyłem się. Na koniec kazałem uszyć czapkę wysoką przesywaną i ze spodu drótami dobrze przeplecioną.

Uzbroiwszy się tym sposobem, upatrywałem sobie nieprzyjaciela, nad którym bym mógł łatwo dzielność moją pokazać. Znalazłem go prędzej niż trzeba było. Poszedłem z dobrym przyjacielem do pewnego węgryna. Ledwieśmy pierwszą flaszkę skończyli, alie przychodzi pewny towarzysz: człek niski, suchy, szczupły, blady i mający taką minę, która pokazywała jego niesposobność do dzieł walecznych. Myślę tedy sobie: „oto mój człowiek! takiego mi trzeba, na którymbym się zaprawił. Jego pokonawszy z rańniejszymi potem będę się potykał”. Tą myślą zachęcony, wkładam sobie czapkę na bakier, idę ku niemu z miną czerkieską i mijając go potracam. On tem nie urażony, ustępuje mi miejsca. Myślę sobie, napadłem na tchórza: trzeba go koniecznie w pole wyciągnąć. Siadam przy nim i znowu go potracam: on się znowu umyka. Nie

podobała mi ta jego spokojność i pokora: zaczynam z niego żartować, on mi skromnie odpowiada. Do grubszych tedy żartów udałem się, alie mój rycerz zaczyna coś mruczeć pod nosem. Tego mi trzeba było, powstaje na niego tem żwawiej i on też już żwawo odpowiadać mi poczyna. Od słowa do słowa przychodzi do tego, że się sprawa wytoczyła na dziedziniec. Dobywam pałasza, zaczynam mocno przycinać: mój nieprzyjaciel nie ustępuje mi i kroku. Nacieram więc żwawiej rozumiejąc, iż go tem przycięciem pokonam; ale on i tem nieustraszony odcina mi śmiało i pominawszy czapkę, fordyment, rękawiczki i kaftan, jak mię ciął przez pysk, aż się szablą na brodzie oparła. Kolega mój i Węgrzyn zaprowadzili mię do izby i po cyrulika posłali. Nie czułem wprawdzie na początku wielkiego bólu, ale gdy cyrulik zaczął głębiej haftować, wtenczas poznałem jak wiele kosztuje szukanie sławy przez pojedynki.

Tych samych skutków dotychczas doznaję przy każdym cyrulika opatrywaniu. Jeść nic nie mogę: ledwie trochę rosołu przelknę i to z niezmiernym bólem. Jużem wysechł i wybladł. Jeszcze gorzej niż ów towarzysz, który mnie tak pięknie poczęstował. Nad to: żal mi srodze twarzy mojej, która była dośyć okazała i przystojna. Nie wiem co powie Jmé Panna Wdzięcznicka, gdy postrzeże ją w inszym teraz kształcie i postaci. To pewna, że kresa od ucha przez nos aż do zębów idąca będzie dowodem dzielności, ale nie mojej. W tym stanie tak oplakany zostający, uczynilem ślub nigdy nie pojedynkować. Jakoż i sprawiedliwie to uczynilem. Teraz albowiem poznaję, jak błędą ci Jehmć, którzy punkt honoru na pojedynkach zasadzają. Nie może nic honoru czynić człowiekowi, chyba czyniek chwalebny i cnotliwy. Pojedynek zaś jest rzecz sromotna i haniebna, ponieważ go i duchowne i świeckie prawa zakazują, a w wielu państwach równie zań karzą, jako i za największe przestępstwa. Ale nie tylko narodów, lecz i samej natury prawa są jemu przeciwnie. Podawać swoje życie w bezpieczeństwo i na bliźniego zdrowie prywatną powagą bez sądu

i dekretu następować, jest to czynić rzecz dzikiemu zwierzęciu, niż człowiekowi przyzwoitszą. Ani można w tem brać przykładu od wojny, gdzie męstwo jest cnotą. Tam bowiem chodzi o dobro ojczyzny i nie swojej pasyi, ale woli rządców dogadza się. W pojedynku zaś prywatą mem sercem kieruje: i czy to ja sam zginę, czy mego nieprzyjaciela pokonam, zawsze ojczyźnie czynię szkodę i krzywdę. Te uwagi winienem chorobie terażniejszej. Zostałem mądrym po szkodzie. Szczęśliwszy byłbym, gdybym przed pojedynkiem to sobie uważył, co teraz przekładam W. M. Panu. Bardziej słuchałem płochych ludzi zdania, niż rady rozumu. Chcąc niegodziwym sposobem szukać honoru, twarz sobie oszpecilem, zdrowie straciłem i siebie samego na żarty i pośmiewisko drugich podałem. Chciej W. M. Pan z miłości ku narodowi ludzkiemu ostrzedz naszych zbyt gorących i porywczych kawalerów, aby z mego nieszczęścia nauceyli się być ostrożniejszymi niż ja, który mam honor być

W. M. Pana najniższym sługą

Śmiatecki.

(R. 1767. Nr. LI).

O wszędobylskich.

Dotychczas przyznam się, nie zdarzyło mi się uważać pewnego ludzi w kraju naszym rodzaju; którzy aż nadto dowodzą, że człowiek jest zwierzem lubiącem towarzystwo: i którzy nie tylko lubią społeczność, ale sami niejako czynią powszechność ludzi; pełno ich wszędzie, zaludniają razem wszystkie miasta ulice. Sto ludzi tego gatunku większą sprawują ludność, niżeli dwa tysiące obywatela. Oni sami zastąpić mogą i nappełnić miejsca spustoszone i z ludzi przez klęskę głodu, albo zarazy powietrzej ogołorone. Oni bez trudności ułatwiają dostatecznie pytanie wątpliwych filozofów, jeśli jedno w liczbie ciało może w jednymże czasie na wielu razem znajdować się miejscach. Są oni zawsze zatrudnieni, mając usilną pracę py-

tania się wszystkich, których spotkają skąd, dokąd i po co idą. Codzienna ich zabawa i nieustanna potrzeba jest nawiedzać domy wszystkich prywatnych, nie licząc bynajmniej wizyt, które oddają na miejscach publicznych, gdzie się wszyscy dla interesów lub zabawy zbierają. Znają ich dobrze wszyscy odźwierni, po kilkakroć na dzień do domów, których strzegą, wpuszczać ich muszą. Trawią życie swoje asystując na pogrzebach, czyniąc oświadczenia politowania, alho komplement powinszowania nowego małżeństwa. Żadna łaska od dworu oświadczona być nie może nikomu, żaden wakans dany, aby go natychmiast powinszować odbierającemu nie mieli. Tak cały dzień na ustawicznym utrudzeniu strawiwszy, powracają do siebie zmęczeni, spoczywają, aby tem łatwiej rozpocząć mogli nazajutrz pracowity swój urząd. Jeden z nich niedawno z trudu i pracy umarł, któremu następujący położono nagrobek:

Tu poczywa ten.

Który nie spoczywał nigdy.

Miał honor w życiu swoim pięćinset

Trzydziestu i dwom asystować pogrzebom

Winszował przyjaciółom narodzenia potomstwa

Dwóch tysięcy sześćset osmdziesiąt i dwóch dziątek.

Intrata królewsczyzn, nadanych różnym, którym wszystkim powinszowanie złożył, a każdemu w odmiennem wyrażeniu, wynosi corocznie na dwa miliony sześć kroć sto tysięcy; droga, którą po brukach miasta zbiegał czyni dziewięć tysięcy siednset osmdziesiąt cztery mil największej wielkości; konwersacya jego dziwna była, miał w gotowości trzysta sześćdziesiąt i pięć przypowiastek, a sto osmaście w młodym wieku swoim z różnych ksiąg zebranych gadek; temi przedziwnie zaprawiał rozinowy swoje.

Umiał w roku wieku swojego sześćdziesiątym

O jego dziełach milczeć trzeba, bo któż policzy ile on widział i mówił!

Druga istotna tych to ludzi zabawa jest śmieszna ciekawość i wszystkich rzeczy bajeczna wiadomość. Niemasz gabinetu tak ukrytego, któregooby sekretów nie przenikali; nie mogą zezwolić na niewiadomość rzeczy jakiej. Wiedzą oni,

jak wiele u sułtana tureckiego w Seraju znajduje się niewiast. A chociaż żadnego na szpiegi nie podejmują kosztu, najskrytsze jednak wszystkich dworów przenikają interesa. A gdy już wszystkie dzieje teraźniejsze wyczerpną, udają się do przyszłych i zachodząc drogę Opatrzności Boskiej dla wszystkich przyszłe układają powodzenia; oni liczne wojska przez powietrze przenoszą, dla ich przeprawy nowe na rzekach stawiają mosty, ukryte przez góry dla nich gotują przejścia, zgola na niczem nie nie zbywa, prócz dobrego rozsądku.

Tak osobliwszych ludzi gatunek opisując, rozumiem, że i W. Panu i przez niego *publico* czynię przysługę.

W. M. M. Pana najniższy sługa

Wodnicki.

(R. 1767. Nr. LXXVII).

Wszystkich nie zadowolisz.

Wszystkich pism, a najbardziej publicznych, jakie są moje, krytyka jest bardzo potrzebna. Nietylko się o nią nie gniewam, ale też do powszechnej podaję wiadomości listy różnemi czasy w tej mierze do mnie pisane, wspólnie z mojemi na nie *responsami*.

Makaroniśki do Monitora.

W pismach W. W. Pana znajdują często słowa zapleśniałe, z starożytnej wydobyte polszczyzny: drugie świeżo kreowane i na polski dyalekt uformowane. Szpeci to bardzo styl W. M. Pana i psuje nasz język. Lepiej jest wprowadzonych zażywać makaronizmów, niżli niezwyčajne uszom naszym, z których nawet hajducy śmieją się, słowa w polszczyznę wprowadzać. Chciej W. M. Pan tę życzliwą radę przyjąć od tego, który jest.

Monitor do Makarońskiego.

Za życzliwą radę W. M. Pana jak najpokorniej dziękuję. Będę się starał, abym ani starych, ani nowych słów nie zażywał, zastępując je makaronizmami, gdzie tego będzie potrzeba, a to najbardziej dlatego, żebym hajdukom W. M. Pana nie dawał przyczyny do śmiechu. Jestem.

Staropolski do Monitora.

Na zepsucie języka naszego przez obcych słów wprowadzenie wszyscy ubolewamy. Naprawić go inaczej nie możemy, jako nowe słowa nakształt polszczyzny układając i stare od nas zaniedbane znówu w używanie wprowadzając. W. M. Pan, którego pisma tak wielu co tydzień czyta, możesz do tego najwięcej dopomódz. O co upraszając imieniem wszystkich kochających język ojczysty, jestem.

Monitor do Staropolskiego.

Radę W. M. Pana tem chętniej przyjmuję, im bardziej pragnę wydoskonalenia języka naszego. Będę się starał w moich pismach o czystą i niezarażoną obcemi słowy polszczyznę. Tymczasem jestem.

Umizgalska do Monitora.

Niepotrzebne żarciki, któremi W. M. Pan pleci naszej obyczajów dotykasz, pokazują, żeś nie miał dobrego wychowania. Człowiek niezciwy nie powinien o nas nie ani pisać, ani mówić, chyba ze czcią i uszanowaniem. Życzę W. M. Pann, abyś nam dał pokój, jeśli nie chcesz doświadczyć, jak wiele pleć nasza może.

Monitor do Umizgalskiej.

Szacuję wielce godność pleci W. M. Pani. Żarty moje nie ściągają się do osób, ale do obyczajów mniej chwalebnych.

Złe niektórych postępki nie mogą czynić zniewagi całemu zgromadzeniu. Z tem wszystkiem przyrzekam, iż odtąd do samej tylko płci męskiej będę moje uwagi stosował.

Rzetelnicki do Monitora.

Dziwno mi, że W. M. Pan nasze tylko postępkі nicujesz, a białej płci przywary bardzo rzadko wspominasz. lubo tam obfitszą masz do pisanja materją. Urząd W. M. Pana wyciąga, abyś bez żadnego względu, równie we wszystkich stanach ganił, cokolwiek naganne go widzisz.

Monitor do Rzetelnickiego.

Miałem moje przyczyny, dla których nie śmiałem tak bardzo narażać się płci delikatnej. Poprawię się w tem odtąd, żebym się nie zdał jakiej prywacie podlegać.

Poważnicki do Monitora.

Jestem człowiek rzetelny: to zawsze mam w uściech co i w sercu. Niech tedy nie uraża W. M. Pana ta przestroga, którą mam honor przełożyć. Pozostając Monitorem, albo raczej nauczycielem dobrych obyczajów, wzięłeś W. M. Pan na siebie osobę filozofa moralnego. Trzeba ją utrzymać poważnemi pismami, a żarcikom daj pokój, które ani na W. M. Pana urząd, ani na godnych czytelników powagę nie przystoją.

Monitor do Poważnickiego.

Dam pokój żarcikom i będę odtąd całę filozofem dla przysługi W. M. Pana.

Uciesznicki do Monitora.

Lubo wszystkie W. M. Pana pisma mogą być użyteczne dla tych, którzy z ich czytania swojego pożytku szukają, te

jednak w których W. M. Pan żartami nasze przywary wytykasz, są najpożyteczniejsze. Wyśmianie albowiem złych obyczajów bardziej nas przenika i wstrzymuje od nich, niżli najdłuższe nauki moralne.

Monitor do Uciesznickiego.

Ponieważ żarty tak są skuteczne do poprawy obyczajów, jak W. M. Pan wyrażasz, będę się starał żartując z przywar, odrażać od nich umysły czytelników moich.

Mędrska do Monitora.

Dziwno mi bardzo, że W. M. Pan w tak poważnych mattersiach, jakie na Monitora przystoją, zażywasz czasem fabulek, albo po polsku mówiąc bajek. Pamiętaj W. M. Pan, że więcej jest ludzi doskonałych, którzy jego pisma czytają, niżeli dzieci, którym jest przyzwoita Ezopa czytać. I to mi się też nie podoba, że W. M. Pan nas czasem wierszami obsyłasza. Pamiętaj W. M. Pan, (znowu powtarzam) że jesteś Monitorem nie poetą.

Monitor do Mędrskiej.

Ponieważ się nie podobają W. M. Pani ani fabułki, ani wiersze, będę się ich odtąd wystrzegał, żebym się nie zdał być raczej poetą, niż Monitorem.

Prawdzicki do Monitora.

Nie wiem z jakiej przyczyny poprzestałeś W. M. Pan zażywać do swoich pism fabulek. Ten rodzaj nauki u starożytnych mędrców był w wielkim szacunku i teraz cudzoziemscy Monitorowie często jego zażywają.

Monitor do Prawdzickiego.

Wiem ja, że fabułki u mądrych ludzi i były i są w szacunku. Prawda pożyczanemi kolorami ukryta jest mniej dotkliwą. Będę się więc starał iść za radą W. M. Pana.

Wierszowski do Monitora.

Poważam wielce wszystkie pisma W. M. Pana; te jednak najbardziej mi się podobają, które wierszami są ułożone. Tym albowiem sposobem prawdę czasem przykrą W. M. Pan osładzasz i *misces utile dulci*. Dopraszam się więc o częstsze tego rodzaju pisma.

Monitor do Wierszowskiego.

Sam tego pragnę, aby pisma moje i pożyteczne i zabawne były. Ile mi czas pozwoli, będę się starał wierszami przysługiwać moim czytelnikom, których zadatek w następujących dwóch wierszach posyłam W. M. Panu:

Jeszcze się ten nie urodził.

Któryby wszystkim dogodził.

(R. 1767. Nr. LXXVIII).

Napuszystość w wymowie.

Mości Panie Monitor! Niedawno w Polsce z cudzych krajów stanąłem, ale się zadziwiłem, że nasza Polska, modą, obyczajami, strojem i językiem, dziś ze wszystkimi wypolerowanemi równa się krajami. Ucieszyłem się z całego serca z tak chwalebnej odnieny i to cudzych języków przejęcie sprawiedliwą krajowi przyznałem potrzebą, wszelako nie bez żalu muszę W. M. Panu wyznać, że już i sami urodzeni Polacy, tak dobrze, jak nie swoim gadają językiem, kiedy jedni słów w dyskursie zbyt, drudzy tak zawikłanym z swoich myśli wywodzą się stylem, inni jakimiś nowozaciężnemi

dyskurs zawałają słowami, ci niezrozumianą prędkości mową, wielu rozwlekłej powieści bawią się sposobem, tak dalece: że z najpilniejszą uwagą mało którego zrozumieć mogłem i dlatego opiszę W. M. Panu, jaką na moje przywitanie w domu ojca zastałem kompanią, w której każdy chcąc mnie coraz różnym bawić dyskursem, dał mi poznać, jak wielu ludzi tak ostrożnych jest w mowie, że się wcale zrozumieć nie dadzą.

Tylkom co z pojazdu wysiadł, i przywitał ojca, jeden z łaskawych sąsiadów z takim wypada komplementem: „Wracają się Nestorowe lata, kiedy nam faworyzujące Superi po tak długiej expektatywie, pełne komplacency komportują pleyzyry. Dziś nam właśnie zajaśniał Febus w przyparytyerowaniu udezyderowanej osoby jego, którego kordyalnym salutujemy ferworem”.

Ja tedy widząc, że prawie cudzego zażywał języka na dostateczne życzliwych wyrażenie chęci, wziąłem przed się podobnie mu łacińskim podziękować językiem, lecz on pychę z serca zrzućwszy, przyznał się nie bawiąc, że całę nic po łacinie nie umie.

Słucham dalej o czem te drugie panięta gadać będą, aż jeden z drugim tylko o sprawunkach z taką jednak wysiloną rozmawiał polszczyzną, iż mniemałem, iż do tej rozmowy same zamorskie pozapisywali słowa.

Powiada najprzód, że kupił „Auszburską robotą służnika”, ledwie się tego domyślił po wzmiance roboty, że to miał być serwis; chwali się dalej, że bardzo tanio „dostał płaską robotą szpadwisia i jedwabnego wisielca”. — już tu z przeproszeniem jego musiałem się spytać, dopiero on nieco urażony odzywa się: „wstydz się W. M. Pan, że nie umiesz po polsku nazwać Portépée i pendentu”.

Był i ten dla słuchających nieszczęśliwy gatunek ludzi, coby każdy dyskurs w najkrótszem końcu mogli wyrażeniu, to w trzechset słowach ledwie dopiero początek znalazł. Do-

syć nadmienić kiedy jeden z nich nie więcej tylko ranne wstanie w tyłu zamknął słowach:

„Jak prędko Tytan po niebie swe rozwinął promienie i noc ciemnej postury zrzuciła larwę, tak właśnie w te czaś/suem sklezione otwieram oczy, raz, drugi i trzeci ziewnąłem, na tę i drugą przeciągnąłem się stronę, a z wielką ciężkością od puchowej poduszki oderwawszy głowę, porwałem się i na łóżko siadłem, dopiero wielkim głosem zawoławszy lokajów moich Wojciecha, Mikołaja i Gottfryda, strzelca rodem z Saxonii, wszystkich już w paradną ubranych barwę, którzy w pumkie z kilku pokoiów wybiegliszy, razem przedemną stanęli i krótko mówiąc od głowy aż do stóp w moją pomsową w Wiedniu haftowaną ubrali suknię“.

Uważ tedy W. M. Pan, co tu na taki dyskurs odpowiedzieć można, kiedy niżej do końca dosłucham, to o czen mowa zapominał początku.

Czwarty tak pracowicie swój ndawał dyskurs, z tak łatwem młynkowaniem języka i żarliwem w dyskursie zajadaniem, że w całej rozmowie nie uchwycił słowa, abym mógł z niego przygotować odpowiedź, ale szczęściem jak krzyknął: paf, paf! dopierom się domyślił, że podobno w pojedynku z dwóch pistoletów wystrzelił razem. W tym całym dyskursie tupając nogi mi zdeptał, suknię poobrywał, boki obszturchał, pod nosem nakiwał i w oczy napływał.

Piątego postrzegłem wiele do damy czyniącego komplementów, a gdy z daleka usłyszał, że ją raz magnesem drugi raz bursztynem zrobił, z ciekawości przybliżyć się odważyłem i na ten do damy w te zaczęte słowa trafiłem komplement: „Ty jesteś słońce na wypogodzonym pomyslności Olimpię, które mocą sobie przyzwoitej atrakcyi, nikczemne do siebie pociągasz atomy. Wznoszę się z padolów nieszczęścia, burzliwe pominawszy chmury, górne plejzyrów osiadać parnasy. Wyskakuję z radości, jak po lutni Orfeusza mury, kiedyś mi dobrze nastrojonem sercem, jak wdzięcznej muzyki zabrzmiała

rezonancyą“. Tom tylko z tego komplementu zrozumiał, że tą głęboką i wysiloną allegoryą chciał dać poznać damie, że ją serdecznie kocha i pragnął koniecznie, aby się tego domyśliła łatwo, co on nie wiele myśląc sam się uwikłał w słowa i z własnej myśli nie wywiódł dobrze, właśnie, jak ów Faeton, co chciał wysoko po niebie jeździć a ledwie się łbem na ziemi oparł.

Ostatni dopiero samej polszczyzny wyborem w ten słów dobranych sposób zaczyna historję: „Raz sobie tnę przez miasto, napadłem człowieka, który trzech zliczyć nie umiał, stojącego jak miłosierdzie w murku; ja sobie myślę, że to nie bez kozery, nadałem się jak półtora nieszczęścia, idę próbować czy da sobie na nosie zagrać? spodziewając się, że jak przyjdzie na orzech to on ani dudę, lecz on skórka na bóty poznał się na farbowanych lisach i na różne finfy i chrząszcze, com mu przez nos puszczał, tak mi z góry zaśpiewał: „nie zjesz mię W. M. Pan w kaszy, gdzie potrzeba nie zaśpię gruszek w popiele, wyrwał się W. M. Pan jak Filip z konopi, spodziewałeś się słońca przed swemi wrotami, a usiądziesz na koszu jak ci dudka na kościele pokażę“. Ja sobie pomyśliwszy jest kot w kapuście, zjedz że katar, jak mi wyciał kuranta, nie źle mi dał po tybinkach. Wiem ja gdzie waści za to uszyję bóty i zaproszę na kwaśne jabłka, nie wykrećisz się waść sianem, nauczę waści po kościele świstać. Wytarłszy mu kapitułę dobrze, zaraz nuże na niego, a on mnie brzdęk przez łeb, ja go za piersi hap, a on o ziemię klap, dopiero widzi, że mu kurtę skroił i że to nie przelewki, powiedziawszy: jechał was sęk, fik nik i do domu smyk“.

Śluchałem długo, ale nie się pomiarkować nie mógł, że co słowo to o czem inszem zaczynał mowę, rozumiałem, że to są same zagadki do odgadnienia całemu podane światu. To go tylko z całego wydało dyskursu, że wyśmienity aktor, bo głową, oczyma, językiem, nogami i ręką każde wytłoma-

czył słowo z takim przeraźliwym krzykiem i ręczną mustą, że gęstym zamachem ledwie mego nie atakował nosa.

(R. 1767. Nr. LXXXIII).

Damy malowane.

...Chęć i pragnienie być i pokazać się pięknymi wszystkim białogłowom powszechnie, najwięcej w samych wyższego stanu panuje domach, w wszystkich ich wydaje się czynnościach, które na samem szukaniu tego wszystkiego zdają sięłożyć, cokolwiek ich szpetność pokryć, lub piękność powiększyć może. Którym piękności ubliżyła natura, usiłują przez sztukę pięknymi zostać; które zaś nią ozdobione zostały, rozumieją, iż ją sztuka powiększyć i wydoskonalić może. Gdyby ta sztuka czynienia się pięknymi na delikatnem utrefieniu włosów, kształtnem przybraniu głowy, misternem nawlepianiu muszek, wdzięcznem ułożeniu twarzy, wytwornem oczu i ręku poruszeniu, modnem ziewaniu, przymilajacem się kłanianiu, wonnem uperfumowaniu i najwykwintniejszym całej siebie przystrojeniu zależała jedynie. — żadnejby zdaniem mojem nie podlegała naganie; ale kiedy nie przestając na tem, przez zażywanie pomad, bielideł, barwiczki, i innych kolorów pieuszczoną twarz swoją zmyślają postać, na sam ich od uprzedzenia wolny zdaje się rozsądek, jeśli w tej mierze wymówione być mogą.

Damy, którym albo natura nie pozwoliła, albo długiego przeciągłość wieku zakazała być pięknymi, przysposobioną od różnych farb piękności postacią, wrodzone lub z długich lat przeciągu nadeszłe niekształtności swej twarzy, chcąc jak najdoskonalej pokryć, większą życia połowę przy gotowalniach trawiają. Więcej tam one na wyciąganiu zmarszczek lub zagładzeniu pozostałych od ospy dołków podejmują pracy, niżeli kartagińskie wojsko na wyrównaniu drogi po nieprzebytych skałach włoskich, więcej na jak najkształtniejszem mo-

zaikowaniu twarzy drogiego łożą czasu, niżeli pierwsi tej sztuki wynalazcy łożyli na wydoskonalenie onejże; nie z taką pilnością przezorny wódz powierzone sobie do bitwy szykuje wojsko, nie z takim staraniem jak najbezpieczniejszego szuka im placu, z jaką pilnością takowe damy najwyborniejsze z pomiędzy innych wybierają 'muszki, z jakim staraniem i troskliwością najwygodniejszego dla nich upatrują miejsca i w niem je jaknajwytworniej układają. Gdyby same zwierciadła, które ustawicznymi tych wszystkich wykwestuacji być muszą świadkami, mowę mieć mogły, odkryłyby nam zapewne tysiąc innych w tej mierze zażywanych od nich wytworności rodzajów. Mnie, któremu osobliwszem zrządzeniem nieba dostało się raz szczęście Jmć panią Piękrzycką, przy gotowaniu zastać, w pierwszym kroku do jej gabinetu wejścia, zdawało się wcale, że się w jakiejś porządnej znajduję aptecę: porozwijane niezliczonych rodzajów miniatury wdzięczny oku sprawowały widok; miły zapach do nabycia delikatności służących likworów, któremi kilkadziesiąt napełnionych widziałem butelek i przedziwna wonia po całym rozchodząca się pokoju wszelkiego rodzaju perfumów, których pełne na gotowni pudelka stały, niewymowne powonieniu memu ukontentowanie czyniło. Kilka tam znajdujących się panien tak zabawne były, iż gdy wszedłem, ani postrzegły nawet. Jedna z nich zmyśloną białosć fałszywym miarkowała rumieńcem; druga delikatnym pędzłikiem purpurowy ustom dawała kolor; ta pomarszczone wytworną pomadą gładziła czoło; tamta woniejącymi wódkami utrefione przyprawiała włosy; inna perfumowała ręce; samo tylko zwierciadło i ja wszystko to z podziwieniem widząc nieporuszony stałem; gdy z nagle postrzegłszy mię Jmć pani Piękrzycka, jedną ręką trzymając się głowę, a drugą serdeczną niby trzeźwiąc się wódką: „Chciej mnie W. Pan (rzecze) mieć za wymówioną, że mu dzisiaj służyć nie mogę, gdyż nadzwyczajny ból głowy wcale mię do służenia jemu, z umartwieniem mojem niesposobną czyni“.

Ja uważając, że niedomalowana jeszcze brew drugiego, oka, której czerwoność zasłonieniem ręki przedemną utaić chciała, całą tak gwałtownej słabości przyczyną była i coraz większych przyczyniała mdłości, kilka słów powiedziawszy, wyszedłem ucieszony niezmiernie takowej odkryciem zdrady.

.... Gdyby takowe damy chciały być pięknymi dla samych siebie i własnemu tylko podobać się zwierciadłu, mogłyby bezpiecznie w sposobie piękniejsza swych twarzy słuchać rady, upodobania i wykwintów swoich. Ale kiedy takowym piękniejsza się sposobem, nie sobie, ale nam podobać się starają, kiedy umyślnie dla przypodobania nam się, od bielidel białości, od pomad gładkości, od barwiczki rumieńca zdradliwie pożyczają; nie mogą nie wyznać, jak wiele nas ta zmyślona białość, ten pożyczony rumieniec, ta przysposobiona gładkość omamia i ludzi, w tak grubo nas wprowadzając błąd, że zmyślane za prawdziwe doskonałości uznając, w nich je wielbimy i czcimy. Każda dama przestawać powinna na ozdobie, twarzy, którą jej udzieliła natura: nie ma jej poprawiać przez sztukę, która zmyśloną może, prawdziwej dać jej nie może piękności, gdyż ta samejże natury, nie sztuki właściwem jest dziełem. Naśladować raczej powinna dawne owe Sabinki pod Tacyusza króla panowaniem żyjące, o których wspomniony na początku w temże swoim dziele świadczy poeta:

Dawne prawi Sabinki więcej się bawiły

W pracach, które ich wioski, nie twarzy zdobiły.

Gdy na prostem wezgłowi siedząc bez przestanku,

Przykre dzieło od zmroku snuły do poranku,

Córka pasła, a matka trzodę w chlew wganiała,

Sama ogień wznieciwszy, drew nań przykładała.

Albo naostatek, jeżeli które malować się mają, tedy to samym tylko od starości zeszpeconym damom odtańd niech wolno będzie, aby nas zgrzybiałą swoją i zmarszczoną twarzą nie straszyły więcej i przez to od młodszych rozeznane być

mogły; ale niech się nie spodziewają nigdy, aby się kiedy komu podobać mogły. Nic bowiem obmierzlejszego nie jest, jako twarz krost, piegów i zinarszczków pełna, choć ją z pomady i różnych kolorów ulepiona pokryje maszka.

Zmyślona gładkość, zbytnie piękzenie
Choć na czas szpetność twą zużyje.
Powiększy-ć wżgardę, wstyd, obrzydzenie,
Gdy się twa zdrada odkryje.
Właśnie jak łani grotem rażona,
Gdy się o drzewo ociera.
Zamiast co chciała być uleczona,
Bardziej swą ranę rozdziera.

Jestem z winnem uszanowaniem W. M. M. Pana najni-
ższym sługą

W Warszawie 9 września.

Eulogi Przyganički.
(R. 1767. Nr. CII).





F. Bohomolec ¹⁷_{ml}

Ks. FRANCISZEK BOHOMOLEC

(ur. 1720 ÷ 1784).

Bohomolec, wydawca Monitora, niedostatecznie jest oceniony przez historyków literatury. Człowiek niezmiernie ruchliwy, sam pisał wiele i w rozmaitych kierunkach i innych do pisania zachęcał. Tłumaczył francuskie utwory dramatyczne, między innymi Moliera. Dla młodzieży w kolegiach jezuickich pisał komedye oryginalne z męskimi wyłącznie rolami; później wprowadził do komedyj swych i kobiety. W r. 1758 wydał po łacinie rozmowy o języku polskim, w których wystąpił przeciw makaronizmowi. Staraniem jego wyszedł zbiór dziejopisów polskich (kronikarzy, 4 tomy). Wydał nieznane pisma Sarbiewskiego, opracował obszerne życiorysy Jana Zamojskiego i Jerzego Ossolińskiego, oraz mniejsze St. Orzechowskiego i Jakóba Górskiego. Pomijamy drobniejsze

jego prace i tłumaczenia. Godzi się jednak zaznaczyć że był poniekąd twórcą opery polskiej, napisał bowiem libretto „Nędza uszczęśliwiona“ do której Maciej Kamiński dorobił muzykę; pierwsza to opera polska wystawiona w r. 1778. Jako nauczyciel w Kollegium jezuickim zachęcał młodzież do próbowania sił swoich na polu poezyi i oratorstwa; ślady tych jego usiłowań pozostały w „Zabawkach oratorskich“ i w „Zabawkach poetyckich“. Zadawał swoim uczniom pewien temat i ci go obrabiali, tak np. spotykamy w „Zabawkach oratorskich“ kilka mów na temat sprawy żydowskiej w Polsce: jedni mówcy występowali przeciw żydom, drudzy w ich obronę. Co do „Zabawek poetyckich“ po większej części kazał tłumaczyć z obcych języków. — Bohomolec był uważany za jednego z najdowcipniejszych ludzi swego czasu. Dowcip ten spotykamy przedewszystkiem w „Monitorze“ i w jego komedjach. Prócz tego pisał sporo wierszy, które jednak nie zostały dotychczas zebrane i zdaje się, że wogóle nie wiele ich drukował. Przypisują mu autorstwo wielu satyr politycznych: rzecz jednak nie jest dostatecznie zbadana, gdyż te same satyry uchodzą zarówno za płody Trembeckiego i Zabłockiego. Raz zaimprovizował w wesołym towarzystwie „Pochwałę weselości“, na którą odpowiedział natychmiast Krasicki, kończąc swą odpowiedź toastem: „Niech żyją Bohomolce!“ Dodajmy wreszcie, że układane przez niego pieśni były w swoim czasie bardzo popularne. Należy do nich głośna: „pieśń Kurdeszowa“.

Ze spuścizny literackiej po Bohomolen podajemy kilka jego utworów wierszowanych i wyjątki z kilku komedyj. Na końcu umieszczamy kilka próbek ze „Zabawek poetyckich“, przez uczniów jego pisanych.



I.

POCHWAŁA MICHAŁA ¹⁾.

Niechaj nadstawi ucha ziemia cała.
Zaczynam głosić pochwały Michała.
Którego imię i poszanowanie
Póty trwać będzie, póki nie ustanie.

Ten człowiek dziwny, choć jeszcze nie stary,
Wziąwszy najrzadsze od natury dary,
We wszystkie piękne przymioty opływa.
Oprócz tych tylko, na których mu zbywa.

W żartach on skromny, w uczynkach łaskawy,
Wszystkie ludzkością trącą jego sprawy.
Nigdy nie wyda gniewu na swej twarzy.
Póki cholera żółci mu nie sparzy.

W ręku ma biegłość, w nogach cudną dzielność
W oczach pobożność, a w piersiach rzetelność

¹⁾ „Rozrywki ucieszne i dowcipne z przydatkiem wielu nowych zabawnych historyek przedrukowane za pozwoleniem starszych“ (pierwsze wydanie bez miejsca druku, drugie 1763 r.). Wiersz zupełnie podobny, ze zmianą jedynie z 11 głoskowego na 13 głoskowy, znajdujemy w broszurze bezimiennnej: „Muza dobrej myśli“ (b. m. i r.), w której pomieszczono kilka satyr i wierszy Naruszewicza. Oto jego początek:

Niech nadstawi miłego ucha ziemia cała
Pewnego męża piękna rozszerza się chwala
Którego zacne imię i poszanowanie
Dotąd trwać będzie w ludziach, póki nie ustanie itd.

Kłamstwo z ust jego nigdy nie wypłynie
Chyba pod ten czas, gdy się z prawdą minie.

Drugi skoro się napcha przy obiedzie
Zaraz do swego łóżka drzymiąc jedzie,
Nasz Michał śladem nie idzie tych ludzi:
Wnet spać przestaje, skoro się obudzi.

I stąd niezmierna rośnie jemu chwała,
Że wielkie czyni umartwienia ciała,
Co dzień u niego post niepospolity:
Nie dba o ciało, gdy jest dobrze syty.

Drudzy przy trunkach w dzień i w nocy siedzą,
A z butelkami pełnemi się biedzą,
U niego insze całe obyczaje:
Nie pija wina, gdy mu go nie staje.

Niech przed nim stoją wyborne pasztety.
Kapłon, gęś, indyk i rozliczne wety.
On przecie na swe nie weźmie zęby.
Póki swej wdzięcznej nie otworzy gęby.

Przyznać to musi każdy nie obłudny,
Że ten człek w swoich postępках tak cudny
Nie miałby sobie równego w zalecie,
Gdyby sam jeden tylko był na świecie.

Jeśli się w zdaniach naszych nie mylemy,
Słusznie rokować z takich cnót możemy.
Że ten człek pewnie aż do nieba zajdzie.
Jeśli się w czyścicu po swej śmierci znajdzie.



II.

SUPLIKA.

Do J. O. Xcia Imci generała ziem podolskich aby pozwolił wydrukować swoją komedję pod tytułem: *Panna na wydaniu* ¹⁾.

Co ludzie rzekną, na to nie uważam;
Nie jest to przeciw niemu powołaniu,
Że się dopraszać tej łaski odważam
Byś mi dał twoją *Pannę na wydaniu*.

Chcę, aby poznał ją naród nasz cały,
A widząc, jak jest i mądra i miła;
Tak wielkie onej wyznawał pochwały,
Jakie Warszawa już jej wypłaciła.

Wiem, że nie jesteś słabej płci morderca,
U której grzeczność twa jest w podziwieniu;
Byłby to dowód zawisnego serca,
Tak miłą *pannę* kryć w domowym cieniu.

Niechże na światło publiczne wychodzi,
Uczyń w tem łaskę wszystkich nas żądaniu;
Niech się podobne jej potomstwo rodzi,
Wyдай czem prędzej „*pannę na wydaniu*“.

Do tegoż.

Którzykolwiek twą „*pannę na wydaniu*“ znają,
Wszyscy ją mieć u siebie usilnie żądają

¹⁾ Wiersz ten wyjęty z pisma periodycznego „Zabawy przyjemne i pożyteczne“ wydawanego przez Albertandiego i Naruszewicza.

Oddaj ją temu, który prosił o wydanie
Tak i wszystkim dogodzisz i cała zostanie.

Na tęż komedję do przyjaciela.

Wołasz że cnd to, że się w Warszawie zjawiła
Panna już na wydaniu. panna grzeczna, miła.
A przecież jeszcze panna! lecz wiedz, że ta dama
Od innego. jak inne. pochodzi Adama.



III.

DO BIZUNA¹⁾.

O! z wieków cudotworny synu byczej skóry,
Złych duchów Exorcysto, poprawco natury.
Stróżu durnej młodości, proszku doskonały
Na upór, muchy w nosie, miłosne zapaly,
Pod jakimkolwiek słyniesz na świecie imieniem.
Czy cię Kozak plecionym nazywa rzemieniem.

¹⁾ Wiersz wydany bezimiennie, a przedrukowany z egzemplarza drukowanego na jednej kartce w 8-ce, bez w. in. i r. Wiersz ten uchodzi od niedawna za wiersz Naruszewicza, ale ani za życia Naruszewicza, ani w późniejszych wydaniach jego pism nie był umieszczony. Na jednym egzemplarzu ktoś zanotował, że to wiersz Naruszewicza i to jest jedyną podstawą, na której oparli się ks. Szyndler wydając jego przedruk i P. Chmielowski włączając go do „Wyboru poezyj“ Naruszewicza. (1882). I ja nie mam poważniejszych dowodów na to, że to wiersz Bohomolca. Ale za taki ucho-

Czy Lach basem bolesnym, lub swym obyczajem
Dziki z Krymu pohaniec ochrzczył cię nahajem.
Tyś był wszystko przed laty, choć gruby Sarmata
Nie wysyłał po rozum do obcego świata
Swych dzieci, ale przodków chwalebnym nałogiem
Bez wielkich kosztów miewał kańczug Pedagogiem.
Moc twoja jak misterne dłóto pracowicie
Krzesząc wióry i w martwe pieńki wlewa życie;
Ty polor, ty lustr dajesz i wdzięki powabne,
Ty w grzeczną młodzież Bartki zamieniasz niezgrabne:
Rura, niechłuj, basałyk, wnet Francuzem został.
Gdy go z kołka makarem Pan Ojciec wychłostał.

Dzisiaj twoje szerokowładne znikło panowanie.
Płaczą rzewnie strapione Boćki i Ormianie.
Rzadko kto na twoje kupno ściągnie dłoń do grosza.
Jedna przecież została pocziwa Wołosza.
Co płacąc pasterzowi swemu winne długi.
Niesie w hołdzie na klęczkach pobożne kańczugi.
Byłeś po dworach między najdroższymi sprzęty.
Weucując na kobiercach młode wierzcipięty.
Aż miło wspomnieć jakto bywało przed laty.
Kiedy usiadł za stołem marszałek wąsaty
Na sądy, w czerwonego żupanie atlasu.
A dobywszy groźnego z pod żołądka basu.
Zgromadzonym mołojcom na gody niewdzięczne.
Wyliczał z kalendarza zasługi miesięczne:

złił *wcześniej*, bo we współczesnych zbiorach rękopiśmiennych (Silva rerum) kilkakrotnie go spotkałem z dopiskiem: księdza Bohomolec. Również na egzemplarzu, z którego go przedrukowałem w „Perłach humoru“, był współczesną ręką podany za autora Bohomolec. Jako wiersz Bohomolec wreszcie umieścił go mój dziad (Adam Bartoszewicz) w księdze, do której wpisywał zadsze utwory wierszowane, a zmarły w r. z. Cezar Biernacki przysłał mi, kiedyś wydawał „Perły humoru“, odpis tego wiersza z podaniem Bohomolec za autora.

K. B.

„Tyś się z słowem grubiańskim wyrwał nieostroźnie,
Tyś swój i pański chował sprzęt nieochędoźnie.
Tobiem uocno zakazał z Panfilem się bratać.
Tobie szachrować, tobie pokryjomu latać,
Tyś plotka, tyś łgarz czysty, a ty natręt zbytny,
Waszci zasinakował bardzo trunek żytny:
Panicz się trochę przekradł, a ten miły szpaczek,
Po co to o północy zalatał do praczek?“
Tak gdy wszystko opowie na te oplakańce.
W tem pleczyści za kiotrów wnida potrzymanie:
Iwan karet podpora, kwiat między Haydony,
I pajuk Jegomości Marcin poturczony,
Toż Matyasz masztalerz, stangret opanasy,
Zdolne męże z niedźwiedźmi w silne iść zapasy.
Zamkną się drzwi na rygiel, kloc w pośrodku stanie,
Hałas, tertes, obietnic świętych ponawianie:
A on licząc po ćwierciach bolesne dziesiątki.
Samorodnym indychem wrażał enót pamiętki.
Oddycha, upomina, nie ustąpi kęsa,
Dopóki leniwego nie narąbie mięsa.
Bito wszędy i młódź też lepsza była bita.
Czego Pijar nie dobił, albo Jezuita.
Dwory poprawowały, a gdy duch zacięty
Nie dał się zgiąć na szkolne i na dworskie pręty,
Żołnierze! wam ostatnia została robota:
W łozim ogniu dać jeszcze próbę tego złota.
Tak przez różne przechodząc pletnie i batogi.
Tracił wiek w pół szalony zwolna swe nałogi.
Aż też pożegnawszy się z namiętności tłumem,
Począł za przewodniczym iść tyło rozzinnem...



IV.

PIEŚŃ KURDESZOWA¹⁾.

Każ przynieść wina mój Grzegorzu miły!
Bodaj się troski nigdy nam nie śniły.
Niech i Anulka tu zasiądzie z nami:
Kurdesz, Kurdesz, nad Kurdeszami!

Skoro się przytknie ręka do butelki,
Znika natychmiast smutek serca wszelki.
Wołajmyż tedy dzwoniąc kieliszkami:
Kurdesz Kurdesz, nad Kurdeszami!

Nie złe to wino, do ciebie mój Grzelo!
Cieszymy się póki możemy przyjacielu.
Niech stąd ustąpi nudna myśl z troskami.
Kurdesz, Kurdesz, nad Kurdeszami!

Patrzcie! jak dzielny skutek tego wina,
Już się me serce weselić poczyna.
Pod stół kieliszki, pijmy szklenicami!
Kurdesz, Kurdesz, nad Kurdeszami!

I ty Anulko, połowico Grzela,
Bądź uczestniczką naszego wesela:
Nie folguj sobie, chciej wypić z nami.
Kurdesz, Kurdesz, nad Kurdeszami!

¹⁾ Pieśń Kurdeszową napisał Bohomolec u Grzegorza Łyszkiewicza, kupca warszawskiego, który miał wyborną piwnicę win węgierskich (Wójcicki). Wspomniany w niej Maciuś był synem Łyszkiewicza, głośnym później bankierem warszawskim.

Już po butelce, niech tu stanie flaszka,
Wiwat! to cała kompanija nasza!
Wiwat z Maciusiem i przyjaciółami!
Kurdesz. Kurdesz. nad Kurdeszami!

Maciuś jest partacz, pić nie lubi wina.
Myśli, że jemu złotem jest dziewczyna.
Dajmyż mu pokój, pijmy sobie sami.
Kurdesz. Kurdesz. nad Kurdeszami!

Odnówmy przodków ślady wiekopomne,
Precz złąd szklenice, naczynia ułomne.
Po staroświecku pijmy pucharami
Kurdesz. Kurdesz. nad Kurdeszami!

Już też bo Grzeli przewyższasz nas wiekiem,
A wiesz że wino dla starych jest mlekiem.
Łyknij! a będziesz śpiewał z młodziakami,
Kurdesz. Kurdesz. nad Kurdeszami!



V.

Z KOMEDYI:

„FIGLACKI, POLITYK TERAŹNIEJSZEJ MODY“¹⁾.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Figlacki. — Pomocki.

Pomocki. Podobno mam honor witać Imię Pana Figlackiego.

Figlacki. Tak jest: Figlackiego.

Pomocki. Wszak to W. M. Pan rok temu dwóch kupców odrwił.

Figlacki. Odrwił.

Pomocki. Potem W. M. Pana schwytano?

Figlacki. Schwytano.

Pomocki. I do kozy zaprowadzono?

Figlacki. Zaprowadzono.

Pomocki. A tychże pieniędzy, które W. M. Pan wydrwił, nie odebrano?

Figlacki. Nie odebrano.

Pomocki. Jakimże to sposobem?

Figlacki. Sposobem.

Pomocki. Długoż W. M. Pan w kozie siedział?

Figlacki. Ja siedział?

Pomocki. Tak jest.

¹⁾ Tytuł ten noszą dwie komedye Bohomolca. Podajemy wyjątek z drugiej, która na początku wspomina o przygodach Figlackiego, będących treścią pierwszej komedyi.

Figlacki. Przepraszam W. M. Pana: nie było tam na czem siedzieć.

Pomocki. Mniejsza, że W. M. Pan nie siedział. dość tego, że W. M. Pan był w kozie.

Figlacki. Byłem.

Pomocki. I W. M. Pan że się nie wstydzisz przyznawać, żeś na takim był miejscu?

Figlacki. Co za przyczyna wstydu? wiesz W. M. Pan, że *vir locum, non locus virum honestat*, to jest, że nie miejsce człowiekowi, lecz człowiek miejscu dodaje ozdoby. I ja też chcąc temu miejscu honor uczynić, pójść do kozy raczyłem.

Pomocki. Cóż W. M. Pana ztamtąd ratowało?

Figlacki. Co ratowało?: polityka teraźniejszej mody.

Pomocki. Nieszczęśliwy jestem, że przeszłego roku zaczawszy brać od W. M. Pana lekye tej tak pożytecznej chude mu pacholkuwi nauki, nie mogłem dla owej nieszczęsnej z kupcami sprawy, dłużej w niej ćwiczyć się. Zniłuj się do brodzieju, nie chcej mi zajrzeć tego talentu, któryć natura dała.

Figlacki. Mei Panie! Ja mych talentów W. M. Panu bez zazdrości udzielić gotówem. Ale dwie rzeczy musiałbym sobie wymówić!

Pomocki. Choć i dziesięć, gotówem.

Figlacki. Ta jest najpierwsza żebyś W. M. Pan nie miał skrupułów, bo te bardzo szpecą politykę teraźniejszej mody. Druga, żebyś mi W. M. Pan pomagając wykonania mych zamysłów, dał dowód swojej sposobności do tego stanu.

Pomocki. Cokolwiek mi W. M. Pan rozkażesz, chętnie uczynię.

Figlacki. Będzie to najlepszą dla W. M. Pana lekcją, kiedy się przypatrując mym dziełom i onych uczestnikiem będąc, zechcesz z przykładu mego profitować.

Pomocki. Tego najbardziej pragnę.

Figlacki. I w tym W. M. Pana ostrzegam, żebyś mi śmierci, sądu i piekła nigdy nie wspominał: gdyż jako przy-

kra rzecz jest uczciwemu człowiekowi o tych rzeczach słuchać, tak nieprzystojna onemi głowę drugim nabijać.

Pomocki. Doznasz W. M. Pan i w tem mojej rzetelności.

Figlacki. Co drudzy nabożnisiowie mówią, lub czynią. na to W. M. Pan nie uważaj. Mnie W. M. Pan słuchaj. Ja będę W. M. Panu kaznodzieją, ja duchownym, ja nauczycielem! od drugich zaś, którzy zwykli wprowadzać mowy z zakrystyi wzięte, jak od węża uciekam.

Pomocki. Wszystkie te przestrogi W. M. Pana doskonale wykonam. Ale niech mi się godzi spytać, gdzie się też W. M. Pan po przeszłorocznej z kupcami sprawie dotąd obracał.

Figlacki. O, wiele o tem mówić!

Pomocki. Przynajmniej krótko chciej W. M. Pan nadmienić!

Figlacki. Byłem w cudzych krajach.

Pomocki. Zaś?

Figlacki. Nie inaczej.

Pomocki. Cóż W. M. Pan tam robił?

Figlacki. Służyłem pod jazdą na galarach francuskich.

Pomocki. To W. M. Pan musiałeś się i po francusku nauczyć?

Figlacki. *Oui, sans doute!* I to mi wiele pomaga! Wiesz W. M. Pan, że u nas teraz kto po francusku nie umie, choćby był najmędrszy, za prostaka bywa sądzony. Kto zaś tym językiem przebąknie, wraz musi być i mądrym i grzecznym, choćby był prostakiem.

Pomocki. Wiele W. M. Pan dokazał, jeśliś się tego języka nauczył, z którego teraz najwięcej ludzi profituje.

Figlacki. Nie inaczej. Oto i teraz mnie ten język uczynił guwernerem u syna owego sławnego bogacza hr. Pana Łakomskiego.

Pomocki. Co? W. M. Pan zaś guwernerem?

Figlacki. Abo co?

Pomocki. Nic. Czegóż W. M. Pan go uczysz?

Figlacki. Wszystkiego.

Pomocki. A uczeń, pojętny przecie?

Figlacki. Jak sadło. Już chłop wielki jak drag. a czterech mu zmysłów nie dostaje. Ojciec przecie niezmiernie jego kocha i rozumie, że kawalera doskonalszego nad jego syna nigdzie nie znajdzie. W jednej rzeczy dobrzem go przecie wynuczył.

Pomocki. W czymże przecie?

Figlacki. W karty tnie wyśmienicie. Teraz w niebytności ojca przegrał suknie, pistolety, karabelę i zaciągnął długu koło sta czerwonych złotych.

Pomocki. A któż to wygrał?

Figlacki. Kto? Pan Figlacki. Ale obiecałem na wypłacenie tego długu wydusić u ojca jego ze sto czerwonych złotych, żeby na przyszły czas kredytu u wszystkich przyjaciół nie stracił. Ale oto ci mój Pan uczeń idzie. Ustąp W. M. Pan na czas.

SCENA II.

Jan. — Figlacki.

Jan. Zginęliśmy Mei Panie guwernerze!

Figlacki. *Courage Monsieur, courage!*

Jan. Wszak to mój pan ojciec przyjechał.

Figlacki. Tego nam i trzeba.

Jan. Ale już słyszę wie o wszystkim.

Figlacki. O czym?

Jan. Żem się w karty ograł.

Figlacki. *O centum diabolorum! cela n'est pas bon!*

Jan. Sam nie wiem, co mam robić! słyszę ma mię ociąć dyscypliną.

Figlacki. Nie bój się W. M. Pan: zabiegę ja temu. Tylko W. M. Pan nie wydaj się z tem przed hucią ojcem

swoim, że ze mną w karty grałeś, bo jeśli to powiesz, to ja nie potrafię W. M. Pana od kary zasłonić. Ale jeśli utaisz, że to ja W. M. Pana ograłem, upewniam, że karany nie będziesz.

Jan. Zmiłuj się dobrodzieju...

Figlacki. Zaraz... pomyślę.

Jan. Ach cóż mam robić?

Figlacki. Ja wiem co robić! słuchaj W. M. Pan. Na pierwszym przywitaniu się z Jego Mcią trzeba się stawić wesoło, śmiało i z manierą dobrą. Tak W. M. Pan stój... głowę wyżej... nie tak bardzo... twarz wesoła...

Jan. Czy tak?

Figlacki. Nie tak... śmiało, żeby żadnego znaku bojaźni nie pokazać... dobrze. Imaginujże W. M. Pan sobie, że ja jestem ojciec W. M. Pana, którym teraz z drogi przyjechał. A skoro W. M. Pana zacznę upominać, W. M. Pan na to nie nie uważając mów śmiało tę oracyą, której nauczyłem W. M. Pana na przywitanie ojca. Pamiętajże W. M. Pan, że ja teraz ojca W. M. Pana udaję.

Jan. Pamiętam.

Figlacki. (wziąwszy łaskę, kaszla i starego Łakomskiego udając mówi:) I także hultaju, złoczyńco, synu niegodny, wyrodku, ważysz się po takiej swawoli stawić przed oczyma ojca. (Jan z bojaźni drży). Otóż pożytek prac moich i miłości ojcowskiej. (Jan milczy z bojaźni) Mówże mi, co ty na to? (Jan milczy, Figlacki głos i postawę starego odmieniwszy mówi po swojemu:) Cóż W. M. Pan milczysz?

Jan. Strach mię zdejmuj.

Figlacki. I takiż to W. M. Pan tchórz?

Jan. Ach podobno pan ojciec idzie! nie wytrzymam (ucieka).

Figlacki. Poczekaj, poczekaj. Owóż gaszek marcowy! Jako widzę trzeba mi tu będzie samemu rzecz całą utrzymać.

SCENA III.

Łukomski. — Figlacki.

Łukomski. Ach, czy kto słyszał taką bezbożność!

Figlacki. Już zaczyna starzec kłapać!

Łukomski. Ach synu marnotrawny!

Figlacki. Muszę go przywitać.

Łukomski. I tegoż się spodziewałem?

Figlacki. Upadam do stóp pańskich.

Łukomski. Kłaniam panie guwerner. Taka to pociecha z mego Jasia?

Figlacki. Cóż to Mci dobrodzieju?

Łukomski. Alboś W. M. Pan nie słyszał, co Jaś porobił.

Figlacki. Mówiono mi o jakiejś tam bagateli...

Łukomski. Bagateli? Bagatela to ograć się w karty? Taki to W. M. Pana dozór?

Figlacki. A ja temu winienem? Teraz tylko o temem się dowiedział!

Łukomski. Teraz się dowiedział? a to dobrze nie wiedzieć, co uczeń robi?

Figlacki. A cóż ja miałem robić? Albo mi raz W. M. Pan mówił, żebym się mu nie naprzykrzał, zawsze go na oku trzymając. Albo nie pozwolił W. M. Pan synowi samopas gdzie chce bezemnie chodzić?

Łukomski. Prawda: jam się tego nie spodziewał. Ach, bezbożny synu!

Figlacki. I W. M. Pan się o taką fraszkę frasujesz?

Łukomski. O fraszkę zaś?

Figlacki. Zapewne. Albo to nowina młodym?

Łukomski. Ale gdzie rozum jego?

Figlacki. W. M. Pan chcesz, żeby młody miał taki rozum jak stary? Wspomnij W. M. Pan na swoją młodość. Jeszcze pamiętają ludzie, jakieś i sam w karteczki zaciął.

Łukomski. Prawda, ale ja wygrywałem.

Figlacki. Jeszcze i syn W. M. Pana może to odegrać, co przegrał, jeśli W. M. Pan dasz na to pieniędzy.

Łukomski. Co? pieniędzy? Ja pieniędzy? ani szeląga. Zaraz go do szkół odsyłam.

Figlacki. Do szkół zaś?

Łukomski. Tak jest.

Figlacki. W. M. Pan?

Łukomski. Tak jest.

Figlacki. Swego syna?

Łukomski. Tak jest?

Figlacki. Imci Pana Jana?

Łukomski. Tak jest.

Figlacki. Obaczym.

Łukomski. Jak to obaczym.

Figlacki. W. M. Pan go do szkół nie pošlesz.

Łukomski. Nie poszlę?

Figlacki. Nie.

Łukomski. Śmieszny widzę jesteś!

Figlacki. Mówię W. M. Panu, że nie pošlesz.

Łukomski. A kto mi przeszkodzi?

Figlacki. Przeszkodzi.

Łukomski. Kto przeszkodzi?

Figlacki. Przeszkodzi pewny człek godny i zacny.

Łukomski. Któż to ten godny i zacny?

Figlacki. Sam W. M. Pan dobrodziej.

Łukomski. Ja? nie prawda!

Figlacki. Zapewne. I będziesz W. M. Pan miał tyło serca, abyś mógł to przedziwne dziecię od swego boku oddalić?

Łukomski. Będę miał.

Figlacki. Jabym omdlewał takiego syna od siebie oddalając.

Łukomski. A ja nie będę omdlewał.

Figlacki. Ej: W. M. Pan żartujesz.

Łukomski. Nie żartuję.

Figlacki. A miłość ojcowska co powie?

Łukomski. Nie nie powie.

Figlacki. Czy ja nie znam jak W. M. Pan jesteś dobry?

Łukomski. Nieprawda, nie jestem dobry; ja kiedy chcę, to i zły jestem.

Figlacki. Ha! Posyłajże W. M. Pan do szkół, jeśli go chcesz zgubić.

Łukomski. Nie zgubię.

Figlacki. Wszak W. M. Pan wiesz, że teraz szkoły poczynają z mody wychodzić! Do prywatnej domowej edukacji wszyscy się teraz rzucają.

Łukomski. Niech się rzucają, ja się nie rzucę.

Figlacki. Ale w szkołach przez lat dziesięć tego się nie nauczy, czego się w domu mając guwernera przez kilka miesięcy nauczyć może.

Łukomski. Nie prawda. A owych czasów kiedy Polska była mądra, gdzie się uczyli jeśli nie w szkołach?

Figlacki. Na to nie trzeba uważać, co było. Dość tego, że teraz już z mody wyszły szkoły dla ludzi uczeniwszych.

Łukomski. Tak jest. Już teraz z mody wyszło dla ludzi uczeniwszych być mądrymi.

Figlacki. Jakże? I W. M. Pan dopuścisz, żeby się syn W. M. Pana pospolitował w szkołach z drugimi za siebie podlejszemi?

Łukomski. Dopuszczali tego dawni panowie polscy i nie wstydzili się tego, czego się i teraz wstydzić nie powinni...

Figlacki. Ale proszę... Jakże to W. M. Pan na cudze i nieznajome ręce oddasz ten drogi skarb domu swojego i od siebie oddalisz? Wszak ci to ostatnia iskierka i jedyna...

Łukomski. Ach nie wspominaj tego! serce mi rozrzewniasz.

Figlacki. I dozwolisz W. M. Pan, żeby to delikatne paniątko na sromotnym pieńku wyciągniono i kańczngiem okrutnie...

Łakomski. Ale... Ale ja chcę, żeby on był mądry.

Figlacki. Toć to jest. Dla tego trzeba go prywatnie edukować. W. M. Pan nie wiesz, jak wiele on teraz w niebytności W. M. Pana profitował. Po niemiecku, po francusku, jak rzepę gryzie, w historyi zaś i geografii równego sobie nie ma.

Łakomski. Mówisz prawdę?

Figlacki. Jakem poczciwy. Sam W. M. Pan doświadczysz.

Łakomski. Pójdziem czeimprędzej do niego: albo nie. Niechaj zaczeka. Ja tymczasem nagotuję się jego polajac. Bo jednakże nie można tego puścić na sucho. Ja nie lubię pieścić dzieci.

Figlacki. Dobrze W. M. Pan czynisz. Pójdę ja tymczasem do niego.

AKT DRUGI.

SCENA I.

Jan. — Figlacki.

Figlacki. Widzisz W. M. Pan jak się staram o dobro W. M. Pana. Jegomość z razu tak sobie ułożył, że albo zabić, albo przynajmniej okaleczyć miał W. M. Pana.

Jan. Póki życia mego stanie, będę wdzięczen za to W. M. Panu.

Figlacki. Jakem zaczął chwalić W. M. Pana przed ojcem, jakem począł przekładać biegłość jego w języku francuskim, tak starzec mało się nie rozsypał z radości. (Syn z radości skacze). Trzeba żebyś W. M. Pan tę figurę utrzymał, coraz na plac wyjeżdżając z temi słowy francuskimi, których się na pamięć nauczył. Choćby się te słowa z sobą nie kleiły, na to nie trzeba uważać. Wiesz W. M. Pan, że ojciec żadnego nie umie języka, prócz polskiego.

Jan. Już będę bezprzesłannie gadał po francusku to, co umiem, bylebyś W. M. Pan na wypłacenie mego długu na karty zaciągniętego postarał się o pieniądze.

Figlacki. Będzie to wszystko.

Jan. Ale tylko żeby mię Jegomość różgą nie ociął.

Figlacki. Nie otnie. Jeśli W. M. Pan tak postąpisz, jakem uczył. Pamiętaj W. M. Pan, żebyś zaraz za pierwszem obaczeniem się z Jegomością, zaraz zaczynał śmiało tę oracyą, którą dał na przywitanie. Niech on co chce gada, niech przerywa, W. M. Pan na to nic nie uważając jak możesz najlepszą żywością mów swoje.

Jan. Co w tem to nie zawiodę.

Figlacki. Ale, ale. Będą dziś u nas goście; między którymi mają się znajdować i damy. Muszę W. M. Pana nauczyć jak się masz z niemi witać i przedstawiać. I to jest pożytek prywatnej przy dobrym guwernerze edukacyi! w szkołach zaś publicznych nietylko tego nie uczą, ale kiedy postrzegą lakową konwersacyą, zaraz każą konwersować z kaniczugiem. Słuchajże W. M. Pan: oto tak potrzeba.... ale bieda, że tu damy nie można wprowadzić, żebym mógł pokazać W. M. Pann, jak się z niemi masz witać. Ale mniejsza o to, inaguinnj W. M. Pan sobie, że ja jestem dama: idź tedy W. M. Pan ztamtąd do mnie i pokłoń się rażno! (Jan kłania się niezgrabnie) nie tak... (sam się Figlacki kłania). Tak, tak. Mówże W. M. Pan ten komplement, któregoś nauczył W. M. Pana.

Jan. Pomyślna to dła mnie awantura, że konwojowany od fortuny znajduję plesir widzenia persony, tak wielkiemi cnotami regalizowany, oraz sposobność do expressyi tych kilku słów. *Comment vous portez vous?*

Figlacki. Dobrze, tylko trzebaby z lepszą manierą i z większą...

Jan. Ach Jegomość podobno idzie...

Figlacki. Sławże się W. M. Pan śmiało i zaraz zaczynaj swoje przywitanie.

SCENA II.

Łakomski. — Jan. — Figlacki.

Łakomski. (nie widząc Jana i Figlackiego mówi sam do siebie). Muszę go skarać! niech co chce serce ojcowskie mówi! ale się przełęknie dziecko kochane... może zachorować... prawda... Jednakże trzeba napomnieć. Męstwo moje gdzie jesteś? przybądź teraz na pomoc sercu ojcowskiemu.

Figlacki. (do syna mówi po cichu). Słyszysz W. M. Pan? będzie dobrze.

Łakomski. O moje miłe dziecko, nie wiesz jak cię kocham! ale kto by mógł nie kochać ciebie? chyba by kamienne miał, kto serce! owa rażność... owa grzeczność. Ach pójdę go, szukać. (Postrzegłszy syna mówi:) A tak to synu marnotrawny?

Figlacki. Upraszamy W. M. Pana Dobrodzieja o audyencyą! Niech łmć Pan Jan przywita W. M. Pana i pokaże co umie.

Łakomski. Nie chcę, dam ja jemu.

Jan. (kłania się i zaczyna mówić oracyą, nie uważając na to, że mu ojciec przerywa i przeszkadza). Wybiegłszy śpiesznym galopem na Olympiczne dziardyny *trabeatu sidera...*

Łakomski. Nie chcę, nie słucham.

Jan. ...śliczne choć nieliczne wydawały rezony. *Phosphore redde diem.*

Łakomski. W karty grać kostero!

Jan. ...alić stanąwszy *in horoscopo pulvinarium caper in amphora* niekapryzującym odezwał się tonem: *sic vos non vobis fertis aratra boves.*

Łakomski. (mówi do ludzi:) A on widzę coś nieźle mówi. Posłucham.

Jan. ...I rozwinąwszy niebotyczne, bo zodyatyczne swoje *vellus* złotą influencyą świat awantażował. *Et ratio est*, bo

tak napisał *non longus Longinus: parre nec invideo sine me liber ibis in urbem...*

Łakomski. (do ludzi mówi:) Co to za miłe dziecię!

Jan. ...*ibis in urbem* do wozowni serca mego, miłościwy ojcze, skierowawszy kordyalne kółka karocy respektu twego i po olimpieznych wojażowawszy grandecach zasiądziesz krzesłem propensyi mojej regalizowany, a bagaże ojezystych klejnotów złożywszy pod daszkiem synowskiego afektu *arma virumque canes. Canes nunquam canescens* przez saturnowe wieki *in auge meritum*. Czego synowską życząc addikcyą impet mego przywitania tą kotwicą utrzymuję: *rumpitur invicta rumpantur Iliad Codro*.

Łakomski. Ach, podporo starości mojej! serce mi się od radości z tych piersi wyrывa, kiedy widzę w tak krótkim czasie, taki twój postępek w naukach. Już się nie gniewam. Daruję. Zdarzyło ci się pobłądzić, ludzka to rzecz jest, a najbardziej młodym przyzwolta. A po francusku słyszę dobrze już umiesz?

Jan. *Oui, apres diner Monsieur. Je vous souhaite la bonne nuit.*

Łakomski. Ach Bóg ci zapłać Mci Panie guwerner za tak piękną edukacyę! Ja nie miałem tego szczęścia i tyle jak syn mój nie umiem.

Figlacki. Albo to tak wiele umie? Ja to powiadam Mci Dobrodzieju, że równego dowcipu Europa nie ma, jako u syna W. M. Pana. Pod pocziwością mówię, że za kwartał jeden i drugi będzie linć Pan Jan umiał dziewięćdziesiąt dziewięć języków.

Łakomski. (całując syna mówi:) Ach pociecho moja jedyna.

Jan. *Voulez vous dormir? oui Monsieur, sans doute. Bonjour. Je voudrais manger vous menez Monsieur.*

Łakomski. Chodźże ze mną Jasiu, niech się z tobą po długiem niewidzeniu nacieszę.

Jan. Notre Pere, qui êtes aux Cieux: votre nom soit sanctifié, votre regne nous advenne...

Łukomski. O jakże gładko mówi po francusku. Cale dobry ma akcent. Jak się zda W. M. Panu Mei Panie guwerner?

Figlacki. Akcent? Rodowity Francuz lepiej mówić nie potrafi, jak Jegomość.

Łukomski. I mnie tak się zda. Będę obligowany W. M. Panu za jego fatygę. Idźmy Jasiu (odchodzą).



VI.

Z KOMEDYI: „PIJACY“.

AKT PIERWSZY.

SCENA VI.

Sorbecki. — Rostropski. — Pijakiewicz. — Wiernicki.

Pijakiewicz. Dzień dobry Mei Panowie. Oj, oj, oj (stęka).

Rostropski. Cóż to? W. Pan chorujesz?

Pijakiewicz. Głowa mię okrutnie boli.

Rostropski. Jest to pożytek wczorajszej ochoty. Wszakem ostrzegał, żebyś W. M. Pan nie pił.

Pijakiewicz. Nie pił, nie pił! Jak to nie pił, mając gości u siebie? Oj, oj.

Sorbecki. Mnie się zda, że żaden z gości nie może tego wyciągać, co jest z uszczerbkiem zdrowia W. Pana dobrodzieja.

Pijakiewicz. Nie jestem grubijaninem, zwykłem zawsze gości dobrze przyjmować u siebie.

Sorbecki. Alboż na tem zawisło dobre gościa przyjęcie, ażeby się z nim upić? Czyż nie można innych dla niego znaleźć rozrywek, któreby go uczeiwie bawiły i nie czyniły tych nieszczęśliwych skutków, które pijaństwo przynosi.

Pijakiewicz. Mospanie! Jest dawny staropolski zwyczaj: chcąc dobrze gościa przyjąć, trzeba się z nim upić.

Rostropski. Jest to zwyczaj grubijański i rozuinowi przeciwny, który nie czyni nam honoru.

Pijakiewicz. Oj głowa! Oj! oj! mało mi nie pęknie.

Sorbecki. Każ W. Pan sobie dać herbaty.

Pijakiewicz. Herbaty? Ja wody nie pijam. I tak mi źle, a byłoby jeszcze gorzej. Oj źle! oj! Ale kontent jestem z tego, że tamtych ich Mciów tak spoił, iż ich bez pamięci zaniesiono do gościnnej izby. Będą i oni stękali, tak jako i ja.

Rostropski. I W. M. Panże się z tego cieszysz? wszakże to przyjaciele W. M. Pana.

Pijakiewicz. Prawda: kocham ich, poźeiwi ludzie.

Rostropski. I jestże to rzecz chwalebna, przyjacielska, do tego przyprowadzić, żeby oni chorowali?

Pijakiewicz. Wszakże i ja równo z nimi piłem i równo dla kompanii choruję. Gdybym ja sobie folgował, to wtenczas nie byłaby polityka... Oj głowa! ledwie żyję.

Rostropski. Lepiej byłoby, gdybyś W. M. Pan i im i sobie folgował.

Pijakiewicz. Ale bo W. M. Pan, że sam nie pijasz, to i drugim nie radzisz, a u nas bez tego żyć nie można. Chcę na przykład przyjaźń z kim zabrać, trzeba się upić, chcę sprawę jaką wy kierować, trzeba się upić. Inaczej, zginąłby człowiek na tym świecie.

Rostropski. Na to W. M. Panu powszechnie odpowia-

dam, że i najlepszej rzeczy nie trzeba szukać przez rzecz niegodziwą.

Pijakiewicz. Ach źle mnie! głowy nie czuję! oj! oj! Otóż i goście.

SCENA VII.

Ieroński (z plastrzem pod okiem). — *Łykaczewski* (z głową związaną). — *Ebryacki* (z plastrzem na czole). — *Lusztzykiewicz* (z ręką zawiniętą). — *Pijakiewicz.* — *Sorbecki.* — *Wiernicki.*

Pijakiewicz (widząc ich z plastrami śmieje się). Cha, cha, cha! Oj głowa! cha, cha. Patrz W. M. Pan!

Łykaczewski. W. M. Panu śmiech, a nam źle.

Pijakiewicz. Cha, cha, cha! oj!

Ebryacki. Strasznie mię głowa boli. Już więcej nigdy pić nie będę.

Ieroński. Ja ledwo żyję. Niech kaci wezmą to pijaństwo. Ślub uczyniłem już się niemu nie bawić.

Lusztzykiewicz. I ja ślubuję, że więcej nigdy pić nie będę, choćby mi zginąć przyszło.

Pijakiewicz. Cha, cha, cha, kontent jestem, że nie sam jeden choruję.

Łykaczewski. Ktokolwiek mię odtąd będzie do picia przymuszał, będę go miał za nieprzyjaciela.

Pijakiewicz. Nie wiem jak W. M. Panowie: ale co ja ciałe już pić nie mogę. Upewniam, że odtąd żadnego trunku gorącego ani skosztuję. Dziś na miejscu mojem proszę za gospodarza Imię Pana Rostropskiego.

Rostropski. Proszę mię uwolnić od tego. Wiesz W. M. Pan, że ja nie pijam.

Ebryacki. Ja nie pozwalałam, wolno się gniewać.

Pijakiewicz. To nie może być, żebyście W. M. Panowie mieli być na sucho w moim domu. Mei Panie Ebryacki, W. M. Pana proszę za gospodarza.

Elbryacki. Kogo? mnie? Przepraszam. Żebyś mię W. M. Pan zabił, to już pić więcej nigdy nie będę. Niech Imé Pan Łykaczewski...

Łykaczewski. Wolno mię będzie nazwać ostatnim, jeśli odtąd choć kieliszek jakiego trunku wypiję. Słaby jestem okrutnie.

Pijakiewicz. Oj głowa, oj!

Rostropski. Napijcie się W. M. Panowie herbaty.

Łykaczewski. Ja jej nigdy nie pijam.

Luszytkiewicz. I ja cierpieć jej nie mogę.

Pijakiewicz. To wódeczki po razu napijmy się.

Łykaczewski. Na to zgoda, bo mam wielkie pragnienie.

Elbryacki. I ja pomogę kompanii, bom słaby.

Iwroński. Co ja, to nie będę pił.

Elbryacki. Można mówić, żeśmy sobie łąsko wczora podpili.

Pijakiewicz. Cha, cha, cha. Bachusewicz hej! daj sam wódki.

Luszytkiewicz. Ja nie pamiętam, żebym był kiedy pijany jak wczora!

Pijakiewicz. Cha, cha, cha! Oj głowa! śmiać się nawet nie mogę.

Iwroński. U Imci Dobrodzieja zawsze tak. Darmo to mówić. Nigdzie tak gości nie przyjmują jak tu. Jeszcze ztąd żaden trzeźwy nie wyjechał.

Pijakiewicz. Cha, cha, cha! Oj.

Sorbecki (do Rostropskiego). Uniknę ja ztąd, żeby mnie nie przymuszano do picia wódki (odchodzi).

SCENA VIII.

Pijakiewicz. — *Iwroński.* — *Luszytkiewicz.* — *Elbryacki.* —
Bachusewicz. — *Rostropski.*

Bachusewicz. Otóż i wódka Mospanie.

Pijakiewicz. Nalej. Podobno i ja się napiję.

Łykaczewski. Życzę. Będziesz W. M. Pan zdrowszy.

Pijakiewicz. Do W. M. Pana.

Łykaczewski. Czekał z miłej ręki W. M. Pana.

Pijakiewicz. Trzebaż to pić usiadłszy, żeby wódka do głowy nie poszła (siada i pije). Patrz W. M. Pan, jak gładko wypilem.

Łykaczewski. Upewniam, że i ja nie zawiodę.

Pijakiewicz. Nalej. Proszę W. M. Pana.

Łykaczewski. Przyjmuję. Do W. M. Pana Mei Panie Ebryacki. To i ja usiedzę za pozwoleniem W. M. Pana.

Pijakiewicz. I owszem. Siedząc zdrowiej pić wódkę, bo w nogi idzie nie do głowy.

Łykaczewski (wypiwszy pociąga się). Odżyłem! ach zdrowo, zdrowo! Nalej proszę Mei Panie Ebryacki.

Ebryacki. Oto to to nasza matuchna! Mei Panie Luszytkiewicz do W. M. Pana.

Luszytkiewicz. Usiądź W. M. Pan.

Ebryacki. Ja stojąc będę pił, żeby mi poszła do głowy i wypędziła z niej ból, który mię trapi (wypiwszy). Główna wódka! Nalej. Oddaję W. M. Panu

Luszytkiewicz. A ja do kogo mam pić? Jegomość Pan Iwroński nie chce.

Iwroński. Ha! wypiję i ja dla kompanii.

Luszytkiewicz (siada). Więc do W. M. Pana! (pije) ale też przedziwna wódka! Proszę.

Iwroński. Mei Panie Rostropski do W. M. Pana.

Rostropski. Wiesz W. M. Pan, że nie pijam.

Pijakiewicz. Napij się i W. M. Pan.

Ebryacki. Musisz W. M. Pan dla kompanii.

Rostropski. Przepraszam.

Łykaczewski. Za cóż my tak nieszczęśliwi?

Rostropski. Cóż to za nieszczęście dla W. M. Panów, że ja nie piję!

Pijakiewicz. Dajiny pokój Jegomości. Jam świadek, że nie pija. *Bachusewicz,* daj pierników na zakąskę.

Bachusewicz. Oto są Mospanie.

Pijakiewicz. Proszę Mci Panowie (zakęsuja). Ale co W. M. Pan masz na głowie Mci Panie Łykaczewski.

Łykaczewski. Musiałem się gdzie wczora uderzyć, sam nie pamiętam.

Pijakiewicz. Cha, cha, cha.

Łykaczewski. Ale i Imé Pan Iwroński ma piękne pod oczyma znaki, cha, cha, cha.

Iwroński. Prawda: ale i ja nie pamiętam cale skąd się to wzięło (śmieją się wszyscy).

Ebryacki. Cha, cha, cha! I mnie się dostało. Nie wiem jakim sposobem.

Rostropski. Są to skutki zbytniego napoju.

Ebryacki. Prawda. Ale też już więcej nigdy się nie upiję.

Łykaczewski. I ja upewniam.

Lusztzykiewicz. Mnie żaden do tego nie namówi. Ale ta wódka prawdziwie jest wysnienita. Już jestem trzeźwiejszy.

Ebryacki. I mnie siły powracają.

Pijakiewicz. Ej Mci Panowie, napijmy się raz jeszcze.

Iwroński. Dość już tego.

Łykaczewski. To się i napijmy. *Bis repetita placent.*

Pijakiewicz. Toś mi grzeczny. Daj wódki.

Iwroński. Kiedy tak, to i ja się dam namówić.

Ebryacki. I ja kompanii nie odstąpię. (piją znowu).

SCENA IX.

*Ciż sami, — Pijakiewiczowa. — Łykaczewska. — Ebryacka. —
Magdalena.*

Pijakiewiczowa. I my się do kompanii spieszymy. Cóż to?
Cha, cha, cha. Zkąd te plasty?

Łykaczewska. Cha, cha, cha! Jak pięknie Ichmé wygląda po wczorajszym, cha, cha.

Luszykiewicz. Są to sztuki batalji wczorajszej z węgrzynem.

Ebryacka. I mój ma piękne znaki! Wszakem mówiła, że pijaństwo nigdy do dobrego nie przyprowadzi.

Ebryacki. Dla kompanii wszystko trzeba wytrzymać.

Pijkiewiczowa. Ja nie wiem: jak to W. M. Panowie pić możecie? co z tego za profit?

Pijkiewicz. Jak pić możemy? zaraz pokażę. Bachusewicz, daj jeszcze wódki.

Iwroński. Nie ma zgody. Dość już tego.

Pijkiewicz. Wszak to *trina medicina*.

Pijkiewiczowa. Nie pozwalam. Będziecie znowu chorowali (odbiera flasze).

Ebryacka. Pojąć nie mogę, jak to ludzie pić mogą wódkę. Ja jej cierpieć nie mogę.

Łykaczewska. Ja nie mogę znieść nawet zapachu jej.

Pijkiewiczowa. Mnie mdłości biorą, kiedy ją poczuję.

Pijkiewicz. A mnie zdrowo i wesoło, kiedy jej chłyszę. Daj W. M. Pani flaszę.

Pijkiewiczowa. Nie dam mówię, już W. M. Panowie dwa razy piliście, dość tego.

Pijkiewicz. Kiedy nam tę flaszę odebrano, znajdziemy drugą. Proszę z sobą Mci Panowie. Mam ja jeszcze lepszą wódkę.

Łykaczewski. Zgoda. Idźmy.

Ebryacki. Służemy W. M. Panu.

Pijkiewiczowa. Ale pamiągajcie W. M. Panowie na to, że zdrowie dobrowolnie psujecie. Mci Panie Rostropski przynajmniej W. M. Pan nie odstępuj Ich Mościów, bo oni i dziesięć razy będą pili.

Rostropski. Właśnie mnie w tem posłuchają.

Pijkiewiczowa. Jednakże W. M. Pan możesz odradzać. Idź W. M. Pan za nimi.

SCENA X.

Pijakiewiczowa. — Łykaczewska. — Ebryacka. — Magdalena. — Prostakiewiczowa.

Pijakiewiczowa. Dobrze że poszedł. Umyślniem go zład wyprawiła. Napijmy się też i my wódeczki.

Ebryacka. Ale żeby tu nas nie postrzeżono.

Pijakiewiczowa. Magdaleno, pilnuj tam, żeby tu kto nie wszedł (nalewa) do W. M. Pani.

Ebryacka. Czekam z ręki W. M. Pani (odbiera) do W. M. Pani Meia Pani Łykaczewska (pije). Ależ to wyśmienita wódka! jeszcze lepsza od tej, którąśmy dopiero pili w apteczce. Proszę.

Łykaczewska (pije). Prawdziwie wyśmienita!

Pijakiewiczowa. A to mego pędzenia.

Ebryacka. Główna. Jeszcze za gdańską mocniejsza.

Pijakiewiczowa. Zakąśmy pieprzem, żeby nie poznano, żeśmy wódkę pili. (zakęsuja).

Magdalena. Ktoś tam chodzi; żeby tu czasem nie wszedł.

Pijakiewiczowa. Idźmy prędzej do tego pokoiku.

Ebryacka. Służemy W. M. Pani.

—•••—

AKT DRUGI.

SCENA I.

Pijakiewiczowa. — Ebryacka. — Łykaczewska. — Magdalena.

Pijakiewiczowa. Proszę z sobą! Magdalenko pilnuj, żeby tu kto nie wszedł. Nasi mężowie już się poupijali. Wypijmy i my też po kieliszku.

Łykaczewska. Nic sprawiedliwszego.

Ebryacka. Za ich pijaństwo nie możemy się lepiej pomścić jak pijąc wzajemnie.

Pijakiewiczowa. Ichmciom wolno, a my jakbyśmy nie byli tacy ludzie jak oni. Do W. M. Pani (pije duszkiem). Pijmy ściganego, bo może kto nadejść i przeszkodzi nam.

Łykaczewska. Prawda. Do W. M. Pani.

Ebryacka. Czekam z ręki W. M. Pani.

Łykaczewska. Proszę.

Ebryacka. To ja znowu zacznę kolej do W. M. Pani.

Pijakiewiczowa. Nie inaczej, tylko prędziej.

Magdalena. Mcia Dobrodziko.

Pijakiewiczowa. Co tam?

Magdalena. Ktoś tu idzie.

Pijakiewiczowa. Co to za bieda! Schronmy się do tego pokoju. Tam się zamknijemy, żeby nam nie przeszkadzano. (bierze flasze i niesie ze sobą).

SCENA IV ¹⁾.

Sorbecki. — Iwroński. — Łykaczewski. — Ebryacki.

Iwroński. (ucieka: Łykaczewski z Ebryackim dopędzając za rękaw go trzyma i mówi). Nie ucieczesz, upewniam.

Ebryacki. Trzymaj go.

Iwroński. Ale już mówię, że nie będę pił więcej.

Ebryacki. Obaczemy.

Iwroński. Jakem pocziwy, nie będę.

Łykaczewski. Bogdajbyś tego nie doczekał. Hajduk, daj kielich.

Iwroński. Ale pamiętaj W. M. Pan, że ja mam dzisiaj ślub brać. Już się i tak upiłem.

Ebryacki. Żeby i sto ślubów, co nam do tego?

Łykaczewski. (oddaje kielich). Proszę, nie ustąpię.

¹⁾ Scenę drugą i trzecią opuszczamy.

Iwroński. Mniejsza o to, wypiję. — ale proszę już po tym dać mi pokój.

SCENA V.

Ciż sami. — Pijakiewicz. — Luszykiewicz. — Bachusewicz.

Pijakiewicz (pijany śpiewając wychodzi).

Wino ludzi rozwesela;
Wino ludziom sił udziela,
A kto wina nie chce,
Niechaj wodę łechce.
Hej hej! O tak nasi.

Ebryacki. (stroi minę junacką). Uha! Ej żeby się wy-
ciąć w pałasze.

Luszykiewicz. (płacze). Nie ma sprawiedliwości na świecie, nie ma, nie ma.

Łykaczewski. Mei Panie Pijakiewicz. Oto Imć Pan Iwroński mówi, że więcej już pić nie będzie.

Pijakiewicz. Musi (znowu śpiewa). A kto wina nie chce, niechaj wodę łechce. Ej! ho! ha!

Ebryacki. (ręką macha, jak gdyby pojedynkował). Oto tak! czerk, czerk, masz w gębę, wszakem mówił.

Luszykiewicz. niesprawiedliwie ze mną postąpił mój ojciec nieboszczyk (płacze).

Ebryacki. Co? czy znowu chcesz? (znowu pojedynkuje jak pierwej). Ej, oberwiesz znowu. Dalej, dalej, dalej, masz. Znajże mię teraz.

Łykaczewski. Do W. M. Pana Mei Panie Iwroński.

Iwroński. Dajże mi pokój, już nie będę pił więcej. Jużem blisko trzech garcy wypił. Nie trzeba zbyt kować. *Natura paucis contenta*.

Łykaczewski. Jak więcej trzech garcy wypilem, a jeszcze pić mogę.

Pijakiewicz. Ja najwięcej wypilem.

Ebryacki. Przepraszam. Jam wszystkich przepił.

Lusztyskiewicz (płacząc). Nie prawda, nie prawda, ja wszystkich przepilem.

Bachusiewicz (na stronie). Wyliczają swoje zasługi w Ojczyźnie!

Łykuczewski. Mei Panie Sorbecki: a W. M. Pan to u kąt nie będziesz pił z nami?

Sorbecki. Wszakście mię W. M. Panowie już uwolnili od tego.

Lusztyskiewicz. Jegomość nie pije? (płacze). Piekielna krzywda (płacze).

Pijakiewicz (śpiewa). A kto wina nie chce, niechaj wodę lechce.

Łykuczewski. Mei Panie Sorbecki do W. M. Pana? Cóż? W. M. Pan chcesz umykać?

Ebryacki. Nie puszczajmy.

Lusztyskiewicz. Umykać? zły to znak! (płacze).

Ebryacki. Kiedy Imć pić nie chce, niech przynajmniej patrzy jak my dzielnie pijemy. A Imć Pan Iwroński gdzie?

Łykuczewski. Już on się spił, drzymie w kąciku. Ale Imć Pan Sorbecki musi...

SCENA VI.

Ciż sami. — Rostropski.

Sorbecki. Mospanie Rostropski. oto mię Ichmć znowu przymuszają. ratuj mię W. M. Pan.

Rostropski. Moi Panowie! a słowo szlacheckie gdzie? Przrzekliście nie przymuszać...

Ebryacki. Prawda, prawda, honor nam każe słowa dotrzymać.

Pijakiewicz. Dajcie mu pokój, to partacz. Pozał się panie tego rozumu, co on ma. Co po nim, kiedy pić nie umie.

Łykczeński. To prawda, grzeczny kawaler we wszystkim, to tylko go szpeci, że partacz do picia.

Luszykiewicz. Ja partacz? nie prawda, nie prawda (płacze).

Pijakiewicz. A gdzie jest pan młody? Drzymie widzę. Wstań W. M. Pan. Wstydź się spać!

Iwroński. (oczy przeciera). Ale bo...

Pijakiewicz. Daj wina. (śpiewa). A kto wina nie chce, niechaj wodę lechce.

Łykczeński. Zaśpiewajmy też i my.

Ebryacki. Zgoda! Ja pierwszy.

Łykczeński. Nie pozwalam: ja pierwszy zaśpiewam.

Pijakiewicz. Ja zaczę.

Ebryacki. Już W. M. Pan śpiewał: niech też ja.

Luszykiewicz. Nie chcę, nie chcę, ja pierwszy (płacze).

Iwroński. Pozwólcież niech ja pierwej...

Ebryacki. Nie ma zgody, ja zaczynam (śpiewa): Na fra-sunek dobry trunek.

Iwroński (śpiewa). Kiedym bywał młody, nie pijałem, wody.

Pijakiewicz. A kto wina nie chce, niechaj wodę lechce. (Potem razem wszyscy śpiewają).

Rostropski. (do Sorbeckiego). Czy może co bardziej od-rażać człowieka od pijaństwa, jak patrzeć na te ich głupstwa.

Sorbecki. Ci ludzie niepodobni terazcale do siebie.

Rostropski. Podobniejsi do bestyj, niż do ludzi.

Pijakiewicz. Kozak hej, śpiewaj (śpiewa).

Pijakiewicz. Teraz tańcz nam zajaczka!

Pijakiewicz. Kto tam pije? dajcie mi kielich.

Luszykiewicz. Nie ma nieboszczki mojej żony, nie ma! nieszcześliwy jestem (płacze). O jak my się z sobą i kochali i bili (płacze).

Pijakiewicz. Do W. M. Pana Mei Panie Luszykiewicz. Vivant Panowie młodzi.

Ebryacki. Ej, żeby się z kim teraz spotkać.

Luszykiewicz. Vivant państwo młode (pije, oddaje Ebryackiemu). Cóż to? Nie pełny mi kielich dano (płacze).

Iwroński. Proszę o kielich Mci Panie Łykaczewski, do W. M. Pana. Vivant łaska Ichmościów (pije, oddaje).

Pijakiewicz (do Iwrońskiego). Czy pamiętasz jak nasi ojcowie z sobą pijali. Nad mego ojca nie było. Nikt go w całej okolicy przepić nie mógł.

Iwroński. Przepraszam. Mój był w tem lepszy.

Pijakiewicz. Jako żywo: nad mego nie było. Był to wielki uczciiciel gości w swym domu. Pamiętasz W. M. Pan, jak on pana Kuflewicza był spoił: uciekając od jego ochoty Kuflewicz padł na schodach i nogę złamał. Oj, był to wielki uczciiciel gości, mój ojciec.

Iwroński. A mój ojciec jeszcze lepiej gości przyjmował. Pamiętasz W. M. Pan, że on Pana Gorzałkiewicza przyjaciela swego tak spoił, że poszedłszy spać, umarł pijany.

Sorbecki (do Rostropskiego). Wielki dowód przyjaźni.

Ebryacki. Jabyń i tego i tamtego przepił.

Łykaczewski. A ja i ich i W. M. Pana.

Iwroński. Mnie żaden w tem nie dotrzyma.

Rostropski (do Sorbeckiego). Patrz W. M. Pan co za bohaterowie.

Ebryacki. Nie dotrzyma? Oóż dotrzymam. I przepiję. Dajcie mi wina. Uha! czerk, czerk, chlust, chlust... Ej żeby się z kim lepskim spotkać (dobywa szablę, krzesze ogień). Dajcie mi równego kawalera (potem szablą się składa niby pojedynkując). Oto tak. Przysadzisto. Dalej hultaju, dalej! a co? jeszcze nie dosyć? zaraz ja tu ciebie...

SCENA VII.

Ciż sami. — Ebryacka (pijana).

Ebryacka. Cóż ja widzę? mój mąż tak się upił? (Ebryacki na stronie). Czy ją kaci tu przynieśli? (chowa pałasz).

Ebryacka. Ach pijaku! albowiem ci nie mówiła, żebyś nie pił?

Ebryacki. Kto? ja piłem? kiedy?

Ebryacka. Alboż ja nie znam, żeś ty pijany.

Ebryacki. I w gębie nie miałem. jakim pocziwy.

Łąkaczewski. Otóż nasz junak? cha. cha.

Pijakiewicz. Cha. cha. cha.

Ebryacka. Idź spać pijaku.

Ebryacki. Ale mówię, że nie pijany.

Ebryacka (zaczyna go bić). Jeszcze się zapierasz. (Ebryacki ucieka i pada). Dam ja tobie.

Pijakiewicz. Ale daj W. M. Pani pokój.

Łąkaczewski (broni). Uspokój się W. M. Pani.

Ebryacka. On teraz pije, a potem w domu będzie kilka dni chorował.

Ebryacki. Albo ja co piłem?

Iwroński. Ale uspokój się W. M. Pani.

Ebryacka. Co to jest uspokój się? albo ja to pijana?

Iwroński. Ja nie mówię tego.

Ebryacka. Uspokój się! mnie mówić: uspokój się?

Pijakiewicz. Ale cóż to złego?

Ebryacka. Co złego? jeszcze i W. M. Pan?

Iwroński. Ale w samej rzeczy...

Ebryacka. Wstydź się W. M. Pan. wstydź.

Iwroński. Ale...

Ebryacka. Do damy mówić: uspokój się.

Iwroński. Ale...

Ebryacka. Jest to komplement wieśniacki.

Iwroński. Ale...

Ebryacka. Jest to ostatnie grubijaństwo.

Iwroński. Ale...

Ebryacka. Jest to głupstwo niecznośne.

Iwroński. Ale niechże...

Ebryacka. Znać kto między ludźmi nie bywał.

Iwroński. Ale...

Ebryacka. W. M. Pan przywykłeś z swemi chłopami do tych komplementów.

Iwroński. Ale w czemże przecie...

Ebryacka. Damy wszędzie szanują, którzy się znają na polityce.

Iwroński. Już nie będę nic mówił.

Ebryacka. Pewnie lepiej milczeć, kto nie umie dobrze gadać.

Pijakiewicz. Ale dośćże już tego do kata.

Ebryacka. Owóż drugi polityk.

Łykaczewski. Ale W. M. Pani nam psujesz ochotę.

Ebryacka. Otóż nowy grubijanin, psujesz. Co to jest: psujesz? Fe! wstydz się. (Do męża). Idź mi zaraz precz od tych pijaków.

Ebryacki. Ale ja nie Meia Dobrodziko.

Ebryacka. Idź mówię (bierze go za rękę i wyprowadza).

SCENA VIII.

Pijakiewicz. — Łykaczewski. — Iwroński. — Łuszykiewicz. — Rostropski. — Sorbecki.

Iwroński. Opanowana jakaś gęba! sama pijana, a męża o to bije.

Pijakiewicz. Dobrze uczyniła, że poszła. Dajcie mi wina, zapijemy tę sprawę.

Iwroński. Ja nie mogę już pić.

Pijakiewicz. Nie możesz? Widzicie Mei Panowie, zem przepił Imei Pana Iwrońskiego.

Iwroński. Kogo? mnie przepił? jako żywo. Otóż będę pił.

Pijakiewicz. Toś mi grzeczny (całuje go). Do W. M. Pana (wypiwszy oddaje).

Iwroński. Vivat gospodarz ochoczy (pije).

Rostropski. Ale przestańcie już pić W. M. Panowie. Będziecie jutro chorowali.

Pijakiewicz. Jaki mi Pan doktor z Warszawy! Kiedy W. M. Pan chcesz żyć sobie po warszawsku, to żyj, a naim nie psuj ochoty.

Łykczeński. To prawda, że Ichmé teraz zfrancuzieli w Warszawie. Nie widać teraz u Panów tej ludzkości, co przedtem. Przedtem najlepiej się można było napić w Warszawie u stołów Pańskich. Teraz nie widać tam onych flasz i kielichów wielkich. Karafineczki tylko i kieliszeczki nastały. Nie dobry to znak dla Ojczyzny.

Pijakiewicz. Teraz Ichmé w Warszawie wstydzą się wielkich kielichów, a ojcowie nasi tem żyli.

Łykczeński. Owe zdrowia gęste, owe zachęcenia do zwawszego picia, grubiaństwem są teraz w Warszawie. Co za dziw, że teraz i porządku nie ma w Ojczyźnie.

Iwroński. Zginęła już, zginęła enota staro-polska.

Luszykiewicz. Zginęła (płacze).

Pijakiewicz. Przedtem to Mospanie Polacy dobrze się bili, bo dobrze pili. Teraz wszystko ustaje.

Łykczeński. Przynajmniej my utrzymujemy Ojczyznę.

Iwroński. Ja będę utrzymywał do ostatnich sił. Nie chcę być odrodkiem ojca mego. Nie było i nie będzie nad jego.

Pijakiewicz. Nie prawda: nikt lepiej nie pijał mego ojca.

Iwroński. Przepraszam. On nigdy memu nie mógł dotrzymać,

Pijakiewicz. Kto? on? świadczę się wszystkimi, którzy znali mego ojca...

Iwroński. Mam wszystkich za takich, owakich, którzyby inaczej mówili.

Pijakiewicz. Cóż to za takich owakich? Z kim to gadasz? Rozumiesz?

Iwroński. Nie kiwajże mi pod nos, bo do stn katów...

Pijakiewicz. Śmiesz mi grozić? czy znasz kto ja jestem? wiedz o tem, że familia Pijakiewiczów zawsze była w Polsce dystygowańsza niż Iwrońskich.

Iwroński. Łiesz.

Pijakiewicz. A do stu katów! pókiż to? (zaczynają się bić). Nauczę ja ciebie.

Iwroński. Ty mnie, hultaju... (Wywraca Pijakiewicza: drudzy krzyczą: Vivat, vivat. Sorbecki broni Pijakiewicza i Rostropski).

Sorbecki (do Iwrońskiego). Co to za śmiałość porywać się na Jego Mei.

Iwroński. A ty co masz do mnie?

Pijakiewicz. Mospanie Sorbecki, wypędź go z domu mojego.

Sorbecki. Ustąp mi zaraz.

Iwroński. Nie ustąpię.

Sorbecki. Ustąp mówię, bo cię... (wypycha go).

Łykaczewski. Cha, cha, cha.

Luszygiewicz. Wypędzili niegodziwie (płacze).

Pijakiewicz. Zamknij W. M. Pan izbę, żeby nie powrócił. Co za śmiałość! (wybiera włosy z czupryny). Mnie czubić? mnie? zje on kata: nie będzie miał Teresy.

Rostropski. Kiedy on teraz W. M. Pana śmiał czubić, a cóż będzie jak weźmie Teresę?

Pijakiewicz. Nie weźmie, przysięgam, że nie weźmie. Oto oddaję ją za W. M. Pana Mei Panie Sorbecki.

Sorbecki. Ach Mei Dobrodzieju, uszczęśliwiasz mię W. M. Pan. Póki życia mojego będę się starał...

Pijakiewicz (całuje go). Dziękuję za dobre serce, żeś mię obronił. Bierz Teresę. Hej! niech tam przyjdzie zaraz Teresa do mnie. Wiem, że ona W. M. Pana lepiej kocha, niż tego hultaja, który śmiał mnie czubić.

Rostropski. Nie możesz W. M. Pan lepiej wydać Teresy jak za Jegomości, którego i rozum wielki i statek i grzeczność zaleca. Upewniam, że doznasz W. M. Pan jego wdzięczności dla siebie.

Sorbecki. W tem nie zawiodę W. M. Pana Dobrodzieja.

Pijakiewicz. Bądź W. M. Pan już pewien tego, com obiecał. Otóż i Teresa.

SCENA IX.

Ciż sami. — Teresa.

Pijakiewicz. Teresko: oddaję cię za Imci Pana Sorbeckiego.

Teresa. Co ja słyszę?

Pijakiewicz. Iwroński jest głupi i nie godzien spokrewniać się z nami.

Teresa. Co się stało?

Pijakiewicz. Mnie do czupryny porywać się? mnie?

Rostropski. Nie wspominaj W. M. Pan tego.

Łykaczewski. Prawda, że to niepolitycznie zrobił.

Rostropski. Chciej W. M. Pan kończyć, coś mądrze teraz przedsięwziął.

Pijakiewicz. Jużem skończył. Niech Jegomość ją bierze sobie, oddaję.

Sorbecki. Nie potrafię wyrazić tej wdzięczności, którą w sercu mem czuję za tak wielką łaskę W. M. Pana Dobrodzieja (kłania się).

Pijakiewicz. Żyście sobie szczęśliwie. Jam słaby.

Rostropski. Nie mogłeś W. M. Pan rozumniej sobie postąpić, jak teraz. Ale cóż z tego będzie? Ja wiem, że Imć Pan Iwroński W. M. Pana przeprosi, a potem znowu do tejże czupryny...

Pijakiewicz. Co? on? Otóż zaraz pokażę, co ja umiem. Hajduk. hej! Przynieś mi one papiery, które są schowane. Wiesz? tylko prędko.

Łykaczewski. Mnie się spać chce (siada i drzynie).

Pijakiewicz. Nauczę ja Iwrońskiego. Pozna on czy mój czy jego ojciec lepiej pijał. Da się to widzieć.

Rostropski. Więc W. M. Pan nie odmienisz słowa danego Imci Panu Sorbeckiemu.

Pijakiewicz. Nie odmienię: daję rękę.

Rostropski. Nie wierzę. Pan Iwroński znowu swem po-

chlebstwem ujmie W. M. Pana. Trzeba tedy zabiegać. Inny mam sposób.

Pijakiewicz. A jaki?

Rostropski. Niechby lehmé wczas ślub sobie wzięli. Iwroński o tem teraz się nie dowie. Ale potem, jak on będzie tego żałował! Zrobisz mu W. M. Pan figiel okrutny.

Pijakiewicz. Zgoda! ale ja teraz słaby jestem, nie mogę być przy ślubie.

Rostropski. A na co? Ja będę na miejscu W. M. Pana.

Pijakiewicz. Pozwalam.

Rostropski. Daj W. M. Pan na znak tego zezwolenia pierścień swój.

Pijakiewicz. Masz W. M. Pan. Czyń sobie co chcesz. byle zrobić figiel Panu Iwrońskiemu. Otóż i papiery. Są to papiery na wioskę, która się w posagu należy Teresie; weź ją W. M. Pan i z niemi. Prawda, że mi trochę potrzebna; ale weź ją W. M. Pan sobie.

Sorbecki (klaniając się razem z Teresą). Upadamy do nóg W. M. Pana Dobrodzieja.

Pijakiewicz. Idźcie sobie szczęśliwie, bierzcie ślub. Bachusewicz, zaprowadź mię do łóżka.

Rostropski. A my idźmy do ślubu.

SCENA X.

Łykaczewski. — Luszykiewicz. — Hajduk.

Hajduk (budzi). Mei Panowie! Mei Panowie! a wstaniecie W. M. Panowie.

Łykaczewski. Kto tam jest? a gdzież kompania?

Hajduk. Mospanie Luszykiewicz, wstań W. M. Pan.

Luszykiewicz. Daj mi pokój.

Hajduk. Ale w tamtym pokoju możesz W. M. Pan wygodniej spać.

Luszykiewicz. Co ja komu winien? (płacze). Już i spać nie wolno. Nie ma sprawiedliwości na świecie.

Łykaczewski. Idźmy do kompanji. A czy jest tam wino? (odechodzą).

SCENA XI.

Hajduk. — Potem *Bachusewicz* (służący).

Hajduk. Teraz moja pora! Póki Panowie pili, jam drzymał. Teraz ja będę pił, a oni niech sobie drzymią. Mości Panie Grzegorzu do W. M. Pana (odpowiada sam sobie głosem odmiennym). Upadam do nóg W. M. Pana Dobrodzieja (pije). Zalecam: dobre wino (nalewa). Proszę (odpowiada sam). Przyjmuję z godnej ręki W. M. Pana.

Bachusewicz. Panie bracie, panie bracie, cóż to?

Hajduk. Chodź bracie, nie miałem do kogo pić. Adresuję ten kielich w miłe ręce W. M. Pana?

Bachusewicz. Przyjmę z ręki W. M. Pana.

Hajduk. Proszę.

Bachusewicz. Ja wzajemnie do W. M. Pana mam honor pić.

Hajduk. Czekam dla przysługi W. M. Pana.

Bachusewicz. Zdrowie Imię Panny Magdaleny Dobrodziki.

Hajduk. Vivat Jejmość Dobrodzika.

Bachusewicz. Dobre wino, da się pić. Oddaję.

Hajduk. Ja znowu na odwrót do W. M. Pana.

Bachusewicz. Każda mi rzecz miła z godnej ręki W. M. Pana, ale prędzej pij.

Hajduk. Powoli jadąc dalej zajedziemy.

Bachusewicz. Ale kto może nadejść, a mnie się pić chce.

Hajduk. Bardzo jesteś niecierpliwy, mój bracie. Otóż na złość będę pił powoli.

Bachusewicz. Jakiś głupi.

Hajduk. Na kogo to mówisz?

Bachusewicz. Ale pijże do stu katów.

Hajduk. Sam ty głupi, rozumiesz?

Bachusewicz. Ej cicho panie Hajduk.

Hajduk. Cicho tobie panie Masztelarzu.

Bachusewicz. A zasię panie chamie.

Hajduk. Sameś ty cham. Słuchaj.

Bachusewicz. Przystap tu bliżej, obaczysz.

Hajduk. Otóż przystapię. Cóż mi uczynisz.

Bachusewicz. Masz! (uderzywszy go w głowę ucieka).

Hajduk. Mnie w pysk? (goni go).

...

AKT TRZECI.

SCENA I.

Bachusewicz.

Bachusewicz. Hej! ho! ha. Ot tak sobie nasi. Pan śpi,
a jam wesół (śpiewa i skacze pijany).

Na kłopoty człek się rodzi,
Bieda za nim w tropy chodzi.
Lecz tej biedy zapomina,
Skoro flaszę zetnie wina.





VII.

Z KOMEDYI: „PARYŻANIN“.

...

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Starski. — *Leopold* (służący).

Starski. Leopoldzie! hej! Leopoldzie! (wychodzi Leopold)
a pókiż ty u kata spać będziesz? Ja pojąć nie mogę co ci się stało? Przedtem najpierwszy prawie wstawaleś i innych budziłeś; a teraz jak mój syn z Paryża powrócił, tak długo sypiać zacząłeś.

Leopold. Ja długo sypiam? Bodaj pies tak długo sypiał! Ach Mospanie, trzeba też i na nas sług biednych mieć wzgląd jakikolwiek. Jesteśmy ludzie tak jako i W. M. Pan. Bestye nawet snu potrzebują i bez tego obejść się nie mogą.

Starski. Któż ci snu zabrania? Wszak miałeś na to noc całą: mogłeś się wyspać!

Leopold. Noc całą? wszakci to o trzeciej po północy układałem się.

Starski. A to czemu?

Leopold. Musiałem czekać, póki się J. P. Robert, syn W. M. Pana nie układał.

Starski. Za cóż to on tak późno spać poszedł?

Leopold. Toć on teraz, jak z Paryża powrócił, nigdy wcześniej spać nie idzie. U nas każda noc wtenczas się zaczyna, gdy się kończy u W. M. Pana.

Starski. Co za bieda! wiele on mi świec popali!

Leopold. W. M. Pan bardziej świec, niż zdrowia mego żałujesz. Służęwszy więcej jak lat dwadzieścia W. M. Panu, doczekałem się na koniec pięknej wygody.

Starski. Ja to sam znam, że masz słuszną uskarżania się przyczyną. Twoje zdrowie jest mi miłe i potrzebne, ale przytem i świec szkoda.

Leopold. Kiedy tak długo będzie, to ja nie wytrzymam.

Starski. Ale cóż on u kata tak późno w noc robi!

Leopold. Robi *le grand monde*.

Starski. Co? co?

Leopold. *Le grand monde*.

Starski. Cóż to u kata jest ta gra modna?

Leopold. Nie gra modna, ale *grand monde*.

Starski. Ale cóż to jest przecie?

Leopold. *Le grande monde*, jest to świat wielki.

Starski. Ale cóż to jest przecie?

Leopold. *Le grande monde*, jest to świat wielki.

Starski. Więc jak mówisz, on robi świat wielki?

Leopold. Tak jest.

Starski. Albo mu ten świat mały? Powiedz mi co to za robota?

Leopold. Jest to robota, której się pan Robert w Paryżu nauczył. Ja sam nie mogłem tego długo pojąć, na koniec pytałem się *Monsieur de Martinière*...

Starski. *De Martinière*? Któż to taki?

Leopold. Lokaj pana Roberta.

Starski. Lokaj? wszak on Marcin.

Leopold. Ach nie mów W. M. Pan: Marcin.

Starski. Czemu nie mam mówić?

Leopold. Bo się on o to strasznie gniewa. Mnie, żem go po dawnemu nazwał Marcinem, złażał jak psa starego i na pistolety wyzwał.

Starski. Jakże? albo on nie Marcin? wszak wiesz, że jest

mój poddany. wziąłem go z wioski mojej do usług synów i z Robertem wysłałem go potem do cudzych krajów.

Leopold. Wszystko to prawda, że on jest Marcin, że poddany W. M. Pana, ale się w Paryżu nobilitował i został imięm Panem *Monsiurem de Martinière*.

Starcki. Co za bieda! Ja nie wiem co ten Paryż ma w sobie, że tak ludzi naszych odmienia! Cóż czynić? trzeba cierpliwości! ale wróćmy się do syna, chciałbym poznać tę robotę, którą się mój syn bawi.

Leopold. Imię Pan Monsiur de Martinière, który był przedtem Marcinem, mówił mi, iż to słowo *grand monde*, które ustawicznie ma w uściech imię Pan *Graff de Starsensfeld*, ma znaczyć...

Starcki. Jaki to *Graff de Starsensfeld*?

Leopold. Albo go W. M. Pan nie znasz?

Starcki. Pierwszy raz o nim słyszę.

Leopold. A przecież to jest syn W. M. Pana.

Starcki. Syn mój *Graff de Starsensfeld*?

Leopold. Nie inaczej. Jest to Imię Pan Robert.

Starcki. Jak to? nie nazywa się on Starcki?

Leopold. Fe! uchowaj Panie! on mówi, że Starcki jest to słowo grube, nie polityczne, przetoż go cierpieć nie może, i dla tego odmienił je na *Starsensfeld*.

Starcki. To Starsensfeld ma być coś polityczniejszego niż Starcki? co za płochosć! co za głupstwo! cóż robić? Ale miałeś mnie nauczyć, co to jest ten *grande monde*...

Leopold. Imię Pan de Martinière mówił mi, że podług ich, *le grande monde* nazywają się ludzie osobliwszego ekstraktu, ludzie wieley, umiejący żyć uczciwie i politycznie. Tego życia jest wiele reguł, ale kat się ich upamięta. Między innymi i ta jest, że podług *le grand monde*, nie wolno pierwiej wieszczać, aż po północy, a spać nie godzi się przed trzecią z rana...

Starcki. Bodajby kat wziął tę modę, która wywraca

czasu porządek od natury rozłożony. Ale czemu się przecie on bawi w noey...

Leopold. Chodzi po izbie, gwizdże, śpiewa, fektuje ręką sam z sobą, nogi co raz inaczej stawia, w zwierciadle się przegląda, co raz się inaczej uśmiecha. Wczora wieczór sen go ukrutnie morzył: radziłem mu aby się układał, a on mi na to: albo to masz mię za prostaka, żebym tak wcześniej miał iść do łóżka? I nie poszedł póty, aż przyszła godzina trzecia od *le grand monde* jemu przepisana.

Starski. Nie wiem, co się z nim dzieje. Nieszczęśliwy jestem.

Leopold. Wczora dowiedziawszy się, że W. M. Pan o dziesiątej spać poszedłeś, tak się gniewał, jak gdyby go największa jaka zelżywość potkała. „Ach Leopoldzie, rzecze do mnie. Broń Panie, żeby się o tem w Paryżu dowiedziano, że mój ojciec tak wcześniej spać idzie! Panie broń, Panie broń!“.

Starski. Bodajby go... albo to występki jakie? ma być to co złego, żem poszedł spać wtenczas, kiedy się mi chciało?

Leopold. Słuchaj W. M. Pan dalej. „Gdyby rzecze, wiadzano to w Paryżu, powiedzianoby, że ja jestem synem jakiego podłego grubiana. Co za hańba! co za hańba!“

Starski. Grubiana? albo to grubiaństwo, pójść spać o dziesiątej? Jaki mi polityk! Ale powiedz mu, że lubo tak wcześniej wczora układałem się, przecież dla jego postępków całą noc i oka zmrużyć nie mogłem.

Leopold. Albo co?

Starski. Czy znasz Matackiego?

Leopold. Matackiego? owego to kupca młodego, co gada po francusku do każdego i z grymasami...

Starski. Tak jest.

Leopold. Co to z żydami ustawicznie szachruje, a młodych naszych kawalerów oszukiwa.

Starski. Tego samego.

Leopold. Jakże nie znam. Jest to człowiek, który i za grosz nie ma poczeiwości.

Starski. Ten tedy przychodzi do mnie wczoraj i mówi, że synowi memu Robertowi wielką przysługę uczynił, dostarczając mu pieniędzy i różnych towarów, co wszystko wynosi na 300 czerw. zł. i na tę sumę dał mu kartę. Co rozumiesz, jak mię ta nowinka przeraziła?

Leopold. Piękna nowina! ale będzie i więcej takich. Nie oddawaj mu W. M. Pan tych pieniędzy, aż się dowiesz, na co są wydane. Ten człowiek niejednego z panów młodych tak pięknie ogolił, że nie mogą dotąd nieboracy przyjść do siebie.

Starski. Posłuchaj dalej. Po nim przychodzi do mnie Robert. Łzy mi się rzuciły. „Synu mój, rzekę do niego, czemu i swoją młodość hańbisz i moją starość zasmucasz? wiesz, że nasz dom jest podupadły, przecież dałem ci co mogłem pieniędzy. Ty nie kontent z tego, jeszcze długi zaciągasz. Jeżeli chcesz mnie przed czasem w grób wprawić, to przynajmniej takiego szukaj sposobu, któryby tobie samemu mniej szkodził. Gubisz przez to i siebie samego“...

Leopold. Prawdziwie ta mowa i mnie łyzy wyciska. Ale cóż na to Imię Pan Robert?

Starski. Robert na to: *tout cavalierment, mon Père, tout cavalierment.* „Jam — rzecze — nie chciał, żebyś W. M. Pan wiedział o tem długi, ale ponieważ ten kupiec nie umiał trzymać języka za zębami, wiedz W. M. Pan, że te pieniądze są dobrze łożone. Oto i rejestryk rzeczy za nie kupionych. Z niego można poznać, że ich nie przemarnowałem“. To rzekłszy uklonił się i poszedł. Jam całą noc te rejestra przewracał, ale bodajbym tak nie znał choroby, jak nie znam żadnej rzeczy z tych, które on pokupował.

Leopold. Pokaż mi W. M. Pan. Ja poznam, bom je widział.

Starski. Czytajże.

Leopold (czyta). Za *Tonko* czerw. zł. 6.

Starski. Co to za *Tonko* u kata? całą noc nad nim astrologowałem.

Leopold. I W. M. Panże tego nie znasz?

Starski. Ale zkąd mam znać do stu katów?

Leopold. To nie innego nie jest, jako tabaka.

Starski. Tabaka zaś? Za tabakę 6 czerw. zł.? chyba, że on cały sklep zakupił?

Leopold. Przepraszam, nie było jej więcej, jak tylko dwa funty. W. M. Pan rozumiesz, że ta tabaka jest z naszego świata? jako żywo. Jest to tabaka wielkiego świata, *du grand monde*. J. Pan Robert winszuje sobie, że tak tanio jej dostał. On mówi, że ma wielkie szczęście do kupienia i że go żaden nie oszuka.

Starski. Co za bieda! za tabakę tyle! czytaj dalej...

Leopold. *Parfait amour* czerw. zł. 5.

Starski. Cóż to za towar? To mnsi być coś o miłości.

Leopold. To jest, za pozwoleniem W. M. Pana, mówiąc po staropolsku, gorzałka — zaprawna, a po teraźniejszymu likier.

Starski. Za gorzałkę 5 czerw. zł.? musiał on beczkę kupić?

Leopold. Nie ma jej więcej, jak kilka butelek. ale co smaczna to smaczna, dawał mi J. P. Robert kosztować.

Starski. Taka to moja bieda! ale cóż tam dalej.

Leopold (czyta) *Un petit miroir* czerw. zł. 30. Upewniam W. M. Pana, że ten *petit miroir* cale jest piękny.

Starski. Ale mówże mi po polsku, co to jest?

Leopold. Boję się, bo już mię za to połajał serdecznie J. Pan Robert, że go po polsku nazwałem. Jest to małe, ale cale piękne zwierciadelko. Ja go widząc rzekłem: „o jakie to ładne zwierciadelko!“ a Jiné Pan Robert, jak fuknie na mnie: „i stary — rzecz — i głupi jesteś! albobym ja kupował, gdyby to było zwierciadelko? Zwierciadelka dostaniesz za kilka złotych, a to jest *petit miroir*“.

Starski. Te cudze kraje rozum mu pomieszały. Cóż tam dalej?

Leopold (czyta). *Les depenses pour Monsieur le Baron Frauszluchtbraumfelt* czerw. zł. 130.

Starski. Co? co? jeszcze raz. To musi być jakieś słowo tatarskie.

Leopold. *Les depenses pour Monsieur le Baron Frauszluchtbraumfelt.*

Starski. Co to za bestya, mów mi po polsku.

Leopold. Frauszluchtbraumfelt — otóż i po polsku. Cha, cha, cha!

Starski. Ty się śmiejesz — bodajby cię — tu płakać trzeba! Za tak okrutne słowo czerw. zł. 130. Cóż to jest po polsku?

Leopold. Prawdziwie toż samo znaczy i po polsku: bo to jest imię jednego Niemca. Czy pamiętasz W. M. Pan owego barona, który w Paryżu znał się z J. Panem Robertem i który nie dawno ztąd wyjechał. Otóż to jego imię, przezwisko i kat wie co się więcej w tem słowie zawiera: Frauszluchtbraumfelt.

Starski. A za cóż tu 130 czerw. zł.

Leopold. Albo W. M. Pan nie wiesz? Wszak to ten baron siedział tu kosztem J. Pana Roberta, on mu najmował karetę, stancyą i kilka kolacyj sprawował.

Starski. Co za szaleństwo, co za szaleństwo!

Leopold. Tu następują wydatki stołowe na owe kolacye. *Du roti, du cochon, des ecrevisses, des oeufs...*

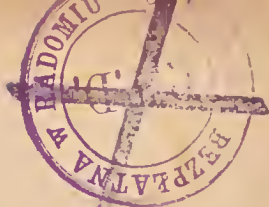
Starski. Stój, stój! co to za potrawy? jabym i jednej ich sylaby nie strawił.

Leopold. Albo to W. M. Pan tych potraw nie jadasz? Wszakci to są zwyczajne pieczenia, szwinina, jajka, raki, tylko że podług mody wielkiego świata nie nazywają ich po polsku, bo nie tak są smaczne w tym języku jak w francuskim. Pewnego razu postawiłem na stole półnisek. J. Pan Robert

spyta, co to za potrawa? Ja mu mówię iż to kokoszka karmna. Jak się rozgniewa o to — „głupiś — rzeczy — nie znasz nawet zwyczajnych potraw, fe! wstydz się“. Ja mu się przysięgam i zaklinam, że to kokoszka, bo w samej rzeczy kokoszka była. A on na to: „co za bieda z tą polakieryą, całe nie mają edukacyi dobrej. Naucz się na drugi raz przynajmniej, że to nie kokoszka, ale puliarda. Jabyś miał kokoszki jadać? co za grubianin!“

Starcki. Nigdy się tego mój Leopoldzie nie spodziewałem, żeby on miał tak dziwaczyć. Wszystkie jego postęпки serce mi przerażają. Czy uważałeś, że on na jednym miejscu nigdy spokojnie nie stoi, ale albo się przechadza gadając, albo coraz inaczej nogi swoje układa, i gada razem i gwizdza i śpiewa i podskakuje, po francusku zaś i do tych mówi, którzy całe tego języka nie umieją. Nieszczęśliwa godzina, której go z Polski wysłałem. Wszak pamiętasz jaki to był miły młodzieniaszek, jaki pokorny, roztropny i grzeczny nim z Polski wyjechał...





VIII.

MONITOR

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE ¹⁾.

...

OSOBY:

Staruszkiewicz.

Starosta Dobromyski.

Dziwakiewicz.

Umizgalska.

Łykaczewski.

Modnicka.

Łakomski.

Wymysłnicka.

Pieniacki.

Jaga, poddanka Umizgalskiej.

Hajdamakiewicz.

Wiernicki, masztelarz Staruszkiewicza.

Ochotnicki.

Wawrek, woźniczka Umizgalskiej.

Bartek, woźniczka Pieniackiego.

Scena w karczmie w miasteczku Pustkowie podczas jarmarku.

....

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Jaga. — Wawrek. (oboje z mazowiecka mówiący).

Jaga. Już ci to na to idzie, że ja z tego jarmarku z nicym do domu powrócę. Przesłego roku, kiedychma tu byli to mi Maciek kupił wstążeczki zieloną, a Wach mydła i śpilek tuzin.

¹⁾ Podajemy w całości tę komedję Bohomolca jest ona bowiem odpowiednią na zarzuty czynione *Monitorowi*, wyjaśnia zatem zapalrywania Bohomolca na satyrę, a jednocześnie przedstawia nam jak chłostę satyry przyjmowało ówczesne społeczeństwo. Wszystkie występujące w komedyi osoby (oprócz służby) są postaciami występującymi w *Monitorze*. Nie jest to zresztą właściwie komedya, a tylko w sceniczną forinę przybrana polemika. Wydał ją Bohomolec w r. 1767.

Wawrek. Dyabeł nam jakiś wszystko pomieszał. Jam rozumiał, że nasi panowie przyjechali tu kupić co na jarmarku, a oni jakowegoś tu biesa sukają.

Jaga. Juz ci oni dla kupna tu przybiegli. Ale pan Staruskiewicz sąmsiad pański posepuął im coś do ucha, że tu miał jakiś filut przyjechać, na którego oni juz dawno zęby ostrzyli. Jak to posłyseli, piorunem ztąd polecieli. Będzie skóra w strachu, jak go zacepią. Ale wy Wawrku moglibyście też dla mnie co kupić.

Wawrek. Za dyabła? Pewnie za to, żeś ongi ze Stachem gadała. Zjerie kata, nie podarunek. Wolę go kupić dla Marysi, niz dla was.

Jaga. Pewnie Marysia lepsa u ciebie, jak ja?

Wawrek. Bo i lepsa.

Jaga. I tak mówis?

Wawrek. Otóż mówię.

Jaga. Dobrze, obacymy.

Wawrek. I cóż?

Jaga. Ale dobrze, niechże będzie i lepsa.

Wawrek. I tyś była dobra, póki cię ten drałgal nie zbałamucił.

Jaga. Niechże i zbałamucił. Marysia lepsa, obacemy. Ja nie nie mówię.

Wawrek. Bo i nie mas co mówić.

Jaga. Niechże i nie mam. Wiem ja co ucynię.

Wawrek. I cóż ucynis?

Jaga. Obacys. Poznas ty, ale zjes kata, nie mnie.

Wawrek. Ale bo to ten Stach... nie chcę mówić.

Jaga. Stach lepsy od ciebie, kiedyś chciał.

Wawrek. On lepsy? kata zjadł! on lepsy?

Jaga. Bo i pewnie ze lepsy.

Wawrek. On odemnie lepsy? i takze to ty ze mną?

Jaga. A ty — jak? albo to dla ciebie nie wolno mi i gadać ze Stachem?

Wawrek. Gadać jak gadać, ale bo to markotno ciekowi, kiedy...

Jaga. Cóż kiedy?

Wawrek. Kiedy z innym gadacie.

Jaga. Tybyś pewnie chciał, żeby ja ni z kim nie gadała.

Wawrek. Nie mówię ja tego... ale ty go bardziej kochas niż mnie.

Jaga. Zkądże to wam? otoz mówię, że to nie prawda. Jam go nigdy nie kochała. Ale kiedy tak ze mną, zacnę go teraz kochać na psotę tobie.

Wawrek. Zgoda, moja Jago.

Jaga. Otóż nie zgoda.

Wawrek. Nie guiewajcie się.

Jaga. Zjecie kata.

Wawrek. Przebac ze moja ślicna. Ja zartuje.

Jaga. Schowajcie te zarty dla Marysi. Ona lepsa jak ja.

Wawrek. Dyabeł mi po niej. To głupie dziewczysko.

Jaga. Ona lepsa jak ja.

Wawrek. Nie lepsa, jam zartował. Zgoda moja ślicna Jago...

Jaga. Jeśli mi kupicie jaki podarunek, to będzie i zgoda.

Wawrek. To i kupię.

Jaga. Kupciez go zaraz: bo ja tobie nie wierzę.

Wawrek. Cóż kiedy nie mam teraz i seląga.

Jaga. A wsakeście mieli wczora pół złotego.

Wawrek. Już go dyabeł wziął.

Jaga. Pewnieście przepili?

Wawrek. Co prawda, to nie grzech. Przepilem go z Fran-
kiem. Ale ow tu idzie Bartek.

SCENA II.

Jaga. — Wawrek. — Bartek.

Wawrek. Co tam słyszać Bartku? gdzie nasi panowie?

Bartek. Carci ich tam wiedzą. Pokręcili się gdzieś sukając jakiegoś dyabła.

Jaga. Dyć to już wiemy. Ale kogo oni u kata tak sukają.

Bartek. Mówią ze niejakiegoś *Banitora*.

Wawrek. *Banitora*? Nie słyhać ci tu nigdzie w nasej okolicy o takim cłeku.

Jaga. Cóż to ten *Banitor*? Ślachcie?

Bartek. Dyabła on ślachcie. Musi być cudzoziemiec, bo Pan powiedział, że się nie dawno w Polsce zjawił.

Wawrek. O gdybyz go zachwycili, a dobre mu katankę wyprali! bo to ci cudzoziemcy bez figła ani stąpią. Musiał on naszym panom kurtę skroić, że tak na niego catują.

Bartek. Powiedają, że plotki robił po Polsce i kazdemu dopiekl. Wszytka ślachta. eo się na jarmark zjechała, pobiegła ku niemu. Owóz i mastalerz pański tu leci.

SCENA III.

Ciż sami. — Wiernicki.

Wiernicki (żywo przychodząc). Hej! panowie! Bądźcie gotowi. Bierzcie, kto co może, kije, dragi, cepy, siekiery. Już przyjechał ten Jegomość, którego nain trzeba, wnet go tu do naszej karczmy przyprowadzą.

Wawrek. A cóż my z nim będziemy robili?

Wiernicki. Potem się dowiecie, tylko bądźcie gotowi.

Bartek. Abo to mało ślachty i bez nas? Na jednego mizeraka taka éma!

Wiernicki. Ale bo to ma być człowieczek z główką! Oni się boją, aby ich nie oszukał.

SCENA IV.

Ciż sami. — Umizgulska. — Modnicka. — Wymyślnicka.

Umizgulska. A cóż? czy złapali już *Monitora*?

Wiernicki. Już on tu przyjechał. Ma popasywać w tamtej karczmie.

Modnicka. Cóż myśłą z nim czynić?

Wiernicki. Panowie nie mogą się zgodzić. J. P. Starnszkiewicz i J. P. Hajdamakiewicz, chcą gwałtem go wziąć i tu przyprowadzić. Ale J. P. Pieniacki nie radzi mu gwałtu czynić. Mówi, że teraz za to mocno karzą. Życzy, żeby go tu raczej dobrym sposobem zaprosić i oddać do sądu.

Wymyślnicka. Już ci on wart tego, żeby go rozumu naczono, ale my dla niego tu czas trawimy.

Modnicka. Bez tego nie mamy co tu robić. Jeszcze nigdy tu jarmark nie był tak mizerny. Bielidła nawet dostać nie mogę dobrego.

Umizgalska. Jam chciała kornety kupić, ale są bardzo drogie.

Modnicka. Ba! i nie modne. Już teraz takich nie używają w Warszawie.

Wymyślnicka. Jam targowała rogówkę, ale nie jest dość obszerna.

Modnicka. I owszem dość jest obszerna: jam ją widziała; takich właśnie teraz w Warszawie zażywają.

Wymyślnicka. W Warszawie, w Warszawie! jakby to w Warszawie tylko dobry gust panował. Ja jeszcze chcę mieć obszerniejszą, niż są w Warszawie.

Modnicka. Mnie się podobał ów pierścień z brylantami, cośmy go widzieli u owego żyda.

Umizgalska. Prawda, że piękny; życzę kupić.

Modnicka. Jabym go kupiła, ale mąż mi nie chce dać pieniędzy.

Umizgalska. Mąż nie chce dać? I W. M. Pani to cierpisz?

Modnicka. On mówi, iż mu pieniądze są potrzebne teraz na woły, na konie.

Umizgalska. To on bardziej dba o woły i konie, niż o W. M. Panią? ach żeby to mój mąż...

Wymyślnicka. Musi być wielki z niego parafianin.

Modnicka. Już ei on temu nie winien. ja sama widzę że mu woły i konie są potrzebne teraz. a pieniędzy nie ma nadto zbywających.

Umizgałska. To niech pożyczycy gdzie dla W. M. Pani.

Wymyślnicka. Mój w podobnej okoliczności. musiał parę wołów sprzedać. a dać mi pieniędzy na kupienie tych zauszniczek.

Wiernicki (do ludzi na stronie mówi). Mocne mieć musi uszy, które parę wołów dźwigają.

Umizgałska. Owóż i Ichmość sąsiedzi. Dowieniy się o *Monitorze*.

SCENA V.

Ciż sami. — Staruszkiewicz. — Pieniacki. — Hajdamakiewicz. — Łukomski.

Wymyślnicka. Witamy W. M. Panów. A cóż. *Monitor* gdzie?

Staruszkiewicz. Jest w tamtej karczmie. Chcieliśmy zaraz uderzyć na niego. ale J. P. Pieniacki szkrupuły nam czyni.

Pieniacki. Życzę mojej rady słuchać: *tatióra sunt eligenda*.

Hajdamakiewicz. Moja rada, rozsiekać jego.

Staruszkiewicz. Z przeproszeniem W. M. Pana Mei Panie Hajdamakiewicz. na to i ja nie pozwalam. To nazbyt wiele. Takowe akeye nie uchodzą na sucho. Dość nam będzie obić go dobrze, żeby z kwartał jaki poleżał.

Hajdamakiewicz. Co to pomoże takiego człowieka obić? on przyszedłszy do zdrowia. będzie nas znowu opisywał. Otóż tak przynajmniej uczynimy. Utnijmy mu palec. żeby więcej już pisać nie mógł.

Staruszkiewicz. Co się zda W. M. Panu Mei Panie Łukomski?

Łukomski. Ja trzymam z J. P. Pieniackim. żeby mu za-

dnego gwałtu nie czynić, bo jak nas zapozwie, to będziemy musieli okrutne grzywny zapłacić.

Staruszkiewicz. I cóż tedy? więc go tak puścimy?

Pieniacki. Moja rada iść z nim *via juris*. I zapozwać *de circumscriptione*.

Hajdamakiewicz. Schowaj się W. M. Pan z tem zapozwaniem. To trzeba będzie lat kilka czekać sprawiedliwości.

Łakomski. Dobrze mówi J. P. Pieniacki. Niech on nam raczej grzywny zapłaci, niż my jemu.

Staruszkiewicz. A ja wolę, żeby on mnie zapożywał, niż ja jego. A do tego: dokąd go zapozwiemy? a jeśli on nie zechce stanąć u naszego sądu?

Pieniacki. To najinniejsza, znajdziemy na to sposób.

Umizgalska. Ale powiedzcie nam W. M. Panowie, co to jest za człowiek ten *Monitor*?

Staruszkiewicz. On się nazywa z domu Ochotnicki.

Umizgalska. Ochotnicki to?

Staruszkiewicz. Tak jest.

Umizgalska. To pewnie ten co jeździ po Polsce i szpieguje, a potem donosi do Warszawy.

Wymysłnicka. A mnie mówiono, że to sam *Monitor*.

Staruszkiewicz. A jużci i on nie co, tylko *Monitor*. Potrzeba wiedzieć, że to jest banda z kilku złotona, którzy z nas żartują... Ale kto to znowu wchodzi. Ach, to nasz pan Łykaczewski. Wiernicki, idź do tamtej karczmy i daj nam znać, jak J. P. Dziwakiewicz będzie tu siedział z Ochotnickim.

SCENA VI.

Ciż sami. — Łykaczewski (napity).

Pieniacki. Witamy J. P. Łykaczewskiego.

Łykaczewski. Kłaniam moim Dobrodziejom.

Pieniacki. Pewnie i W. M. Pan tu na jarmark.

Łykaczewski. Tak jest. Trzeba mi kupić cośkolwiek.

Staruszkiewicz. Gdzież W. M. Pan tu stanął?

Łykaczewski. Dopierom do tej karczmy zajechał. A i damy tu widzę są nasze.

Umizgalska. Witamy W. M. Pana.

Wymyślnicka. Jak się W. M. Pan masz?

Łykaczewski. Dobrze i wesoło.

Modnicka. My też to widzimy, że W. M. Pan wesoły, cha, cha!

Łykaczewski. Prawda. Spotkałem się z panem Bachusowiczem, moim przyjacielem w karczmie o milę ztąd popasującym i napiłem się z nim. Ale co tu słyszeć? czy dobry jarmark?

Staruszkiewicz. Jeszcześmy się tu dobrze nie rozpatrzyli. Mamy inszą teraz zabawkę.

Łykaczewski. Cóż to takiego?

Hajdamakiewicz. A podobno i do W. M. Pana to się ściąga.

Łykaczewski. Ale cóż to?

Hajdamakiewicz. Wszakże i W. M. Pana opisał niegodziwie *Monitor*.

Łykaczewski. Prawda. Oj gdybym go gdzie złapał.

Staruszkiewicz. A jest on tu.

Łykaczewski. Gdzie? zaraz idę do niego.

Staruszkiewicz. Będzie on tu sam nie bawiąc.

Łykaczewski. Zkądże się u kata on tu wziął.

Staruszkiewicz. Opowiem W. M. Pana rzecz całą. Jadąc tu na jarmark, wstąpiłem do karczmy o mil dwie ztąd leżącej. Patrzę, alic tam ktoś popasuje. Widzę człeka, ale go nie znam. Pytam się ludzi, co to za jeden? mówią mi, iż Ochotnicki.

Łykaczewski. Ach pewnie ten to plotka...

Staruszkiewicz. Proszę dalej słuchać. Pytam się zkad jedzie? odpowiadają z Warszawy. Dokąd? do Pustkowa na

jarmark a ztamtąd do Lwowa. Chcąc się lepiej dowiedzieć, pytam się jednego z jego ludzi, czy nie ten to J. P. Ochotnicki, który się naszym uczynił *Monitorem*? Odpowiada mi pod sekretem, iż ten sam. Ja nie pokazując dalej nic po sobie, wyjechałem czemprowadzając ztamtąd, przybiegłem tu i oznajmiłem Ichmciom.

Łykuczewski. Więc on już tu przyjechał?

Staruszkiewicz. Przyjechał i stanął w tamtej karezmie; chcieliśmy zaraz napaść na niego i nauczyć go rozumu, ale J. P. Pieniacki odradził nam.

Łykuczewski. Cóż W. M. Panowie myślicie? Mając w ręku chcecie go puścić ztąd na sucho?

Staruszkiewicz. J. P. Pieniacki mówi, iż napadać na jego stancją, poczytanoby za gwałt i najście.

Pieniacki. Nie inaczej, mamy albowiem prawo: *neminem captivabis nisi jure victum*.

Staruszkiewicz. Wysłaliśmy tedy do niego J. Pana Dziwakiewicza, aby go tu jakim sposobem sprowadził. Wziął to na siebie, czekamy co moment na niego.

Łykuczewski. A jeśli on zwącha i nie zechce tu przyjść?

Pieniacki. Albo to J. P. Dziwakiewicz nie potrafi go podejść? Trzy lata był w Paryżu.

Łykuczewski. Ale cóż W. M. Panowie z nim czynić zamysłacie?

Pieniacki. Spuście się W. M. Panowie na mnie, ja będę wiedział co z tem czynić.

Łukomski. Pewnie tak, spuścimy się na Jegomości, który prawo rozumie, i zawsze nam dobrze radzi.

Pieniacki. Moja rzecz będzie naprzód przekonać go i pokazać niegodziwość postępków jego. A potem *ex re consilium*. Obaczymy, co nam odpowie.

Łykuczewski. Bardzo jestem kontent, że się on dostał w ręce nasze. Odżartuję ja Jegomci.

Hajdamakiewicz. Ja mu tego nigdy darować nie mogę

że on w żart i pośmiewisko to podał, co ja sprawiedliwie uczynilem. Proszę tylko posłuchać. Będąc w drodze przyjechałem do pewnej karczmy. Kazałem dać dla koni siana i obroku. Gdy przyszło wyjeżdżać, wołam gospodarza chcąc mu zapłacić za siano i obrok. Pytam się wiele mu należy. Gospodarz człek bezbożny i bez sumienia zakroił bardzo wiele. Perswaduję mu, iż to nazbyt drogo, on na to nic nie uważa. Ja widząc, że słowa moje nic nie pomagają, chop go w pysk, potem za łeb i o ziemię. Nakoniec opłazowawszy go dobrze wsiadam na konia i pojechałem nie zapłaciwszy. Niech się chłop nauczy, jak ma z ludźmi postępować. Nie podobало się to Panu *Monitorowi*; trzeba mię było zaraz wytknąć i żartować z tak sprawiedliwego postępku mojego.

Modnicka. My sprawiedliwszy mamy żal do niego, że nas parafiankami nazywa. Albo to damy warszawskie lepsze za nas? albo się i my nie znamy na modzie i polityce?

Umizgalska. Mnie on gorzej oszkalował! Zkąd to jemu, że ja od męża nazbyt wyciągam expensu i chcę się nad stan mój stroić? Prawda, że lubię czysto i przystojnie chodzić: ale nie nad mój stan. Jestem w tem domu urodzona, któremu należy zawsze między ludźmi pięknie pokazać się. Familia Umizgalskich od wieków w tem się od innych dystygnowała. Jeszczeby tego nie dostawało, żeby mi mój mąż nie miał dodawać na moje potrzeby?

Łakomski. Jeszczeż to fraszka, ale...

Umizgalska. To fraszka? jak to fraszka?

Łakomski. Ja to chcę mówić, że W. M. Pani masz sprawiedliwą urazę, ale względem tego, co innie on zadał, może się zdawać nie tak rzecz wielka. Czy miał on sumienie przed światem całym to ogłosić, że m łakomy, że m przez łakomstwo i sobie żałował i drugich krzywdził. Prawda, że zbyt niewiele lubię, ale żyję uczciwie podług stanu mojego. Że zaś siebie krzywdzić nie dopuszczam, przez to nikomu krzywdy nie czynię. Wyciągam tego, co mi należy, ale sprawiedliwie. Co

mu to szkodzi. że czasem dwanaście od sta biorę procentu, a czasem też i zgóry? Wszak ja nikogo nie przymuszam do tego.

Wymyślówka. Nikomu on tak nie dopiekl, jak mnie! czy nie jest to złość ostatnia, żartować z tego, że ja często cierpię migrenę, spazmy i wapory? co ja temu winna, że podlegam tym słabościom? co to mu szkodzi, że się ja muchy lękam, albo że pieska mego bonońskiego kocham?

Staruszkiewicz. Ja milczę, choć najsprawiedliwszą mam urazę do niego. Mnie nazywać grubianinem, mnie? Prawda, że nie mieszkam w Warszawie, ale bywam między ludźmi, wiem jak gdzie trzeba postąpić. Zadaje mi Jegomość zabobony i gusłami to nazywa, co jest dawną dziadów i pradziadów naszych obserwacją.

Pieniacki. Prawda, że macie W. M. Panowie żal sprawiedliwy do niego, ale czy godziło się jemu z mojej profesyi żartować, która świętą sprawiedliwość utrzymuje? Nie podobало się to Jegomości, że czasem sprawę przewlekę. A cóż mam czynić kiedy jest zła, kiedy inaczej jej utrzymać nie mogę? a do tego z czego żyłbym, gdybym prędko procesa kończył? Powinienby Jegomość takich ludzi szanować, którzy i złą sprawę unieją na nogach postawić. Zdarzy się czasem samemu w czem wykroczyć: dobrze mieć tak mądrego patrona, który go od świętej sprawiedliwości zasłoni.

Łykaczeński. Ja o swoją krzywdę nie teraz nie mówię, wolę mu w oczy powiedzieć. Co mu to szkodzi, że pijam? Pijam, ale pocziwie i w dobrej kompanii.

SCENA VII.

Ciż sami. — Wiernicki.

Wiernicki. Jmé Pan Dziwakiewicz, razem i z *Monitorem* niebawie tu przyjdzie.

Staruszkiewicz. Łepski nasz Dziwakiewicz! ale jak go on tu wywabił?

Wiernicki. Widział, że Pan *Monitor* kazał tam sobie obiad gotować. Zabrawszy tedy z nim znajomość, mówił mu, iż ma w tej karczmie już obiad gotowy i zaprosił go tu. Pan *Monitor* chętnie na to zezwolił.

Hajdamakiewicz. Dany tu jemu nie szpetny obiad.

Wiernicki. Ale ten pan *Monitor* jest ładny i całę grzeczny młodzian.

Umizgalska. Grzeczny? ach, to trzeba z nim po ludzku obejść się.

Modnicka. Nie inaczej. Z grzecznymi trzeba grzecznie postępować.

Hajdamakiewicz. A on grzecznie z nami postępował? niech mi wybaczy. Będzie on grzeczniejszy, gdy mu te palce obetnę, które przewiniły.

Pieniacki. J. Pan Hajdamakiewicz ma wprawdzie po sobie *regulam juris: per quod quis peccat per idem punitur & ipse*, ale trzeba o tem wiedzieć, że *nulla regula sine exceptione*. Nie życzyłem i nie życzę gwałtownie z nim postępować. Ma on wiele, jakem słyszał, przyjaciół, którzy jego krzywdy zapewne nam nie darują.

Wymyślnicka. Dobrze mówi J. Pan Pieniacki.

Łakomski. I ja się z Jegomością zgadzam.

Staruszkiewicz. Cóż tedy? więc mu darować wszystko?

Pieniacki. Ale proszę mię posłuchać. *Quod jure fit jure fit*. Moja rada zaaresztować tu jego, a potem prawem dochodzić sprawiedliwości. Tymczasem wyrozumiemy z jego, *quis, quid, ubi, quibus auxillis, cur, quomodo, quando*, dla czego z jakich przyczyn i jakim duchem pisał na nas paszkwile.

Łykaczewski. Jakiż tedy koniec będzie?

Pieniacki. Bądź W. M. Pan tylko terpliwy, niech skończę moje zdanie. Przecież ja koło takich rzeczy chodzę, *cuique credendum in sua arte*.

Łakomski. Spuśćmy się całę w tem na Jegomości.

między nami. niech to żadnego nie uraża, jest najuczeńszy, i zna prawo z gruntu.

Staruszkiewicz. Przyznajemy to Jegomości, ale chcielibyśmy wiedzieć, jak mamy tu z nim postąpić.

Pieniacki. Oto tak. Nigdy pierwaj prawa nie zaczynają mądrzy ludzie, aż zrozumieją pierwaj fundamenta strony przeciwnej. Najprzód tedy nie czynimy mu żadnej wiołencyi. I najgorszego winowajcę nie karzą, aż go wysłuchają. *Omne latrocinium habet suum patrociniū.* Zkąd także wynika *dilemma*. Albo się on przyzna do tego, co mu zadajemy, albo nie. Jeśli się nie przyzna, trzebā mu będzie dowodzić. A jeśli przyzna, to mu pokażę gruntownemi dowodami, iż tego nie powinien był czynić.

Staruszkiewicz. Ale któż mu będzie dowodził?

Pieniacki. Ja najprzód uczynię induktę *iuxta formam legis*, jak zwykłem w sądach czynić przeciwko obwinionym. *Ex allegatis & probatis* uformuję *resultatum*.

Łykaczeński. Ja na to pozwalam.

Łukomski. I ja, to tylko waruję, żeby on przez dekret zapłacił nam grzywny za honor ujęty.

Hajdamakiewicz. Ej co po tem prawie! prędsza jest sprawa *de hayda*, niż *de jure*.

Staruszkiewicz. Ale dajmy już temu pokój i słuchajmy w tem J. P. Pieniackiego.

Wiernicki. Mei Panowie! ciekło! Otóż już idzie.

Umizgulska. A prawdziwie grzeczny.

SCENA VIII.

Ciż sami. — Dziwakiewicz. — Ochotnicki.

Dziwakiewicz. Stawię tu W. M. Panom gościa požądanego.

Ochotnicki. Nad spodziewanie moje znajduję tak piękną tu kompanią (do Dziwakiewicza mówi:) Dziękuję wielce W. M. Panu, żeś mi dał sposobność poznania tak godnych osób.

Dziurakiewicz. Jużem ja wykonał, com obiecał. teraz W. M. Panowie czyńcie, coście postanowili.

Staruszkiewicz. Mei Panie Pieniacki, zaczynaj W. M. Pan. *Pieniacki* (chrząka). Zaraz, zaraz.

Ochotnicki. Cóż się to znaczy?

Pieniacki. Proszę o łaskawą audyencyą (chrząka).

Łykarzewski. Uciszcie się Mei Panowie.

Pieniacki. Dawne starych jurystów axioma uczy nas, że *nil est colitum, nisi prius sit cognitum*. Widzimy tu godną osobę Jegomości, ale godność jego nie jest nam zupełnie *cognita*. Na tym fundamencie zasadzam pierwsze moje *interrogatorium*. Chcielibyśmy wiedzieć wszyscy powszechnie i każdy w szczególności, jeśli W. M. Pan jesteś *Monitor*, albo nie?

Ochotnicki. Przyznam się W. M. Panu, że się nie spodziewałem tego komplementu.

Staruszkiewicz. Mniejsza o to, ale W. M. Pan odpowiedz na to, o co się pytają.

Ochotnicki. Jeśli W. M. Panowie chcecie wiedzieć, kto jestem: jestem Ochotnicki do ich usług.

Pieniacki. Wiemy, że W. M. Pan jesteś z domu Ochotnicki, ale też chcielibyśmy wiedzieć, czy to W. M. Pan wydajesz te pisma, które wychodzą pod tytułem *Monitora*. Nie chciej się W. M. Pan wstydzić.

Ochotnicki. Jaby się miał tego wstydzić? Mnie się zda, iż mi to honor czynić powinno, że i moje pisma mieszczą się czasem pod tym tytułem.

Pieniacki. Otóż Mei Panowie, już jedna trudność ułatwiona, *fussus est, & non negavit*. Mamy winowajcę *propria oris confessione* przekonanego.

Ochotnicki. Winowajcę? Radbym wiedział w czymem przewinił u W. M. Panów?

Hajdamakiewicz. W. M. Pan nie przewinił?

Pieniacki. Ale proszę nie przeszkadzać. Niechże ja porządkiem, jakem zaczął, tę sprawę prowadzę.

Staruszkiewicz. Uciszmy się Mei Panowie.

Pieniacki. Zaczynam (chrząka). Przy pierwiastkach cyrkulanej tego świata machiny *in ipsis incubulis mundi*, kiedy ta ziemia w pieluszkach iż tak rzekę zostawała: *rer erat acter-num, tepidique per arca rotabant Zephiri*. — najpierwszy Adam, którego wszysey jesteśmy *Soboles simillima patri*, był wielowładnym i demokratycznym od morza go morza Panem i *per mare per terras per tot discrimina rerum* rozciągnął swoją Monarchię. Nie było pod ten czas kwestyi między ludźmi *inter meum ac tuum*; nie ujmował żaden drugiemu honoru, nie pisał jeden na drugiego paszkwilów. jako dziś *dolendo fato* doznajemy. Zgoda i miłość powszechna między ludźmi panowała: *& salus ex par nireis rerisit oppida bigis*. Po długim czasie, gdy przy wieży babilońskiej budowaniu wiele się urodziło języków, poczęły się między ludźmi kłótnie. plotki i niesnaski. *Lingua malum, quo non deterius ullum*.

Łykaczewski. Ale W. M. Pan nam mów o *Monitorze*, nie o wieży babilońskiej.

Pieniacki. Ale proszę być cierpliwym. Wszakci ja do tego ciągnę.

Staruszkiewicz. To W. M. Pan od tego zacznij.

Pieniacki. Wiem ja moją powinność i reguły retoryki, muszę pierwej *exordium* powiedzieć. Bądźcie W. M. Panowie cierpliwi: *non sapiens, rixi patiens*.

Ochotnicki. Ale W. M. Pan i nademną pacyentem miej politowanie, a nie chciej podróżnego tak długo bawić. Powiedz mi W. M. Pan krótko, o co mnie obwiniasz.

Pieniacki. Obwiniam W. M. Pana o cyrkumskrypeya tyłą prawami zakazaną.

Ochotnicki. To mi W. M. Pan jej dowódź.

Pieniacki. Do tego też i ja ściągam. proszę tylko o cierpliwość. Wnet ja i do cyrkumskrypeyi zjadę.

Łykaczewski. Jeszcze W. M. Pan z wieży babilońskiej nie wyjechał.

Łakomski. Ale dajiny pokój. Niech Jegomość mówi. Tylko pamiętaj W. M. Pan Mei Panie Pieniacki o grzywnach.

Pieniacki. Będzie to wszystko. Tylko trzeba słuchać.

Staruszkiewicz. Uciszy się Mei Panowie. Słuchamy.

Pieniacki. Mówię tedy dalej, że po języków pomieszanu, poczęli się ludzie kłócić między sobą, poczęli się dzielić ziemią, która do tych czas niedzielną była, poczęli *granicies facere, scupulos sipanc*, zabierając każdy sobie pewną ziemi porcyą *cum boris, lassis, gais & graniciebus*. Z tego podziału ziemi, urósł *lites ex litibus litis pendentiac*; a z nich wyniknęły prawa, między któremi i prawo zakazujące cyrkumskrypcyi ma *locum standi*. Przeciwno temu prawu wykroczył J. Pan Ochotnicki, mój wielce Mościwy Pan, tykając każdego z nas honoru uszczypliwiemi pismami, podając nas w pośmiewisko i niezdolne potwarzły wkładając.

Ochotnicki. Radbym wiedział, kto to jest z W. M. Panów, na którego ja potwarz włożyłem?

Staruszkiewicz. Co? pewnie W. M. Pan chcesz się zaprzeć tego.

Hajdamakiewicz (razem z nim mówi). Mnie W. M. Pan wytknąłeś niegodziwie swem piórem.

Dziwakiewicz (razem z drugimi mówi). W. M. Pan chcesz się tego zapierać. *Pardonnecz moi.*

Umizgalska (razem mówi). Ja pierwsza mam krzywdę niezdolną od W. M. Pana.

Ochotnicki. Ale proszę pojedynczo mówić, co ja komu winienem?

Łakomski. Wszystkich W. M. Pan nas oszkalował.

Łykarzewski (mówi razem). Mnie czynię pijakiem?

Modnicka (mówi razem z drugimi). W. M. Pan śmiałeś nas nazywać parafiankami.

Hajdamakiewicz (razem mówi). Żartować z mojej dzielności? ja tego nigdy nie daruję.

Wymyślnicka (razem mówi). Co ja winna W. M. Panu, żeś mnie niegodziwie opisał.

Staruszkiewicz. Upewniam, że tego nie darujemy W. M. Panu.

Ochotnicki. Ale Mei Panowie, proszę pojedynczo swoje do mnie przekładać urazy. Powiadają, iż śpiewających kilku razem można słuchać, ale gadających nie można.

Staruszkiewicz. Prawda: mówmy pojedynczo.

Łykaczewski. Ja pierwszy jestem, z którego W. M. Pan niegodziwie przed światem żarty czyniłeś.

Ochotnicki. Ja nie mam honoru nawet znać W. M. Pana.

Łykaczewski. Tem gorzej. W. M. Pan pisał na tych, którzy dobrze piją.

Ochotnicki. Przepraszam, chyba na tych którzy źle piją. Bo kto dobrze pije, ten pije tyle ile potrzeba. Źle zaś piją ci, którzy nad potrzebę i przystojność piją, a ci są pijacy. Na tych pisałem i rozumiem, że W. M. Pan do ich liczby nie należysz.

Łykaczewski. Pewnie, że nie należę. Pijam wprawdzie, ale nie jestem pijakiem.

Ochotnicki. Więc to, com pisał, nie należy do W. M. Pana. I żaden się o to na mnie urażać nie może, chyba pijak.

Łukomski. Na pijaków sprawiedliwie W. M. Pan pisał, o to się nie można gniewać, pijaństwo jest rzecz brzydka i godna wyśmiania: ale za co W. M. Pan mnie wytknąłeś, zadając mi łakomstwo. Zkąd to W. M. Panu, że ja zbieram chciwie i z krzywdą bliźniego pieniądze?

Ochotnicki. Ja i W. M. Pana nie miałem honoru znać dotąd, jakże tedy mogłem pisać to o W. M. Panu. Wyznaję, że pisałem przeciwko łakomców, którzy cali są zanurzeni w zbieraniu pieniędzy, mają ich dosyć, a przez skąpstwo sami nędznie i mizernie żyją.

Łukomski. To się do mnie nie ściąga, bo wiadomo wszystkim, że uczciwie żyję.

Ochotnicki. Pisałem na tych, którzy krzywdzą bliźniego. *Łakomski*. Ja nie mam zwyczaju drugich krzywdzić.

Ochotnicki. Więc W. M. Pan o to na mnie nie możesz się gniewać.

Umizgalska. Ze W. M. Pan Łakomców wyśmiewasz, pocziwie to czynisz, za to powinniśmy dziękować W. M. Panu. Ale zkąd te nowiny masz W. M. Pan, że lubiemy nad stan i substancją naszą drożej stroić się? że mężów na zbyteczny koszt i niesprawiedliwy pociągamy.

Ochotnicki. Mcia Dobrodziko, nie wątpię, iż sama W. M. Pani jako przezorna dama wyznasz to, że się znajdują takie żony, które chcąc się między ludźmi pokazać, wymagają u mężów więcej, niż substancya wystarczyć może. Mąż nieszczęśliwy dla uniknienia kłótni, musi czasem i wioskę zakartować, żeby próżności swej żony zadość uczynił.

Umizgalska. To co innego. Komu nie staje, niech się nie stroi. Bo pewnie, że to brzydka rzecz jest, kiedy która szlachcianeczka, chce się pięknie między ludźmi pokazać, niż jej substancya pozwala.

Ochotnicki. Ja też o tych pisałem.

Umizgalska. Sprawiedliwie W. M. Pan uczyniłeś.

Hajdamakiewicz. To i ja chwale. Ale czy godziło się W. M. Panu z tego żartować, żem karczmarza będąc w drodze obil.

Ochotnicki. Przyznam się W. M. Panu, że o tem pierwszy raz słyszę, iż W. M. Pan to uczyniłeś. Pisałem ja na tych, którzy burdy, hałasy niegodziwe czynią w karczmach, którzy tam nie płacą, co sprawiedliwie należy. Rozumiem, iż samemu W. M. Panu nie byłoby to miło, żeby kto w jego karczmie miał to uczynić.

Hajdamakiewicz. Pewnie, że tego nie darowałbym.

Staruszkiewicz. To prawda, że są u nas tacy-lchmoście którzy to czynią. Mnie samemu niesprawiedliwie karczmarza obili jacyś podróżni. Dla tego nie możemy i porządku w kar-

czmach utrzymać. Pisz W. M. Pan na tych, wszyscy będziemy obligowani. Ale o to mam sprawiedliwy żal do W. M. Pana, że W. M. Pan mi grubiaństwo zadajesz i wmawiasz, że się ja bawię zabobonami.

Ochotnicki. Tego się nie zapieram, iż ganię zabobony i wytykam niektóre grubiańskie obyczaje, które się znajdują u wielu nie mających dobrego wychowania, ale W. M. Panu tego nigdy zadawać nie mogłem, ponieważ nie miałem dotąd honoru znać W. M. Pana. Nie wątpię że i sam W. M. Pan nie chwaliśz grubiaństwa i zabobonów.

Staruszkiewicz. Pewnie, że nie chwale.

Dziwakiewicz. To jest pewna, że tu więcej nadspodziewanie znajduję tych przywar. U nas w Paryżu nawet słowa tego zabobony nie znają. We Francyi chłop prosty więcej ma dobrej manieri i gustu, niż tu drugi nawet dobrze wychowany. Trzeba na to pisać i mocno. Ale tego W. M. Panu darować nie mogę, że W. M. Pan nawet na mnie targnąłeś swe pióro. To jest nie dobrze, *ma foi*.

Ochotnicki. Równie W. M. Pana, jako i innych Ichmościów pierwszy raz dzisiaj miałem honor poznać.

Dziwakiewicz. Mniejsza o to, ale na co się zdało to W. M. Panu pisać, że niektórzy w cudzych krajach i fortunę stracili i nie się nie nauczyli, prócz dziwactwa.

Ochotnicki. Alboż W. M. Pan chwaliśz takich Ichmościów?

Dziwakiewicz. Tego żaden chwalić nie może, tym bardziej ja, który trzy lata byłem w Paryżu.

Ochotnicki. Więc nie masz W. M. Pan przyczyny o to się gniewać.

Dziwakiewicz. Ale bo to... *cela fait pitié*. Dlaczego to pisać?

Wymysłnicka. Dobrze W. M. Pan czynisz, że takich wyśmiewasz. Mam za to wielką obligację W. M. Panu. Ale czy się godziło żartować z migreny, ze spazmów?

Ochotnicki. Z migreny, ze spazmów żartować nie mogę.

Owszem ubolewam nad temi, którzy tym słabościom są podlegli. Ale tych chwalić nie mogę, które czy to dla zjednania liłości nad sobą, czy też z wymyślnego jakiegoś zwyczaju, uskarżają się nawet wtenczas na pomienione słabości, kiedy ich cale nie czują.

Wymyślnicka. Co tego, to ja sama chwalić nie mogę.

Ochotnicki. Któż więcej ma co do mnie? (do Modnickiej). Podobno jeszcze W. M. Pani.

Modnicka. Miałam ja wprawdzie... ale tak dalece już jestem uspokojona.

Pieniacki. Co się tyczy mojej osoby, nie mam urazy do W. M. Pana, ale się nie godziło tykać mojej profesyi, która jest podporą sprawiedliwości. Niebezpieczna rzecz jest Patronów urażać.

Ochotnicki. Profesją W. M. Pana szanuję i uznaję za potrzebną dla obrony niewinnych i powściągnięcia złych ludzi. Wyznaję i to, że i najwięksi ludzie tem się bawili i wielu jest takich, którzy na nieśmiertelną pamięć sobie zarobili. Ale też i W. M. Pan wyznać musisz, że też nie mało jest i takich, którzy albo nie doskonali są w tej umiejętności, albo na złe używają swych talentów, kiedy winowajców ochraniając, niewinnych gnębią.

SCENA IX.

Ciż sami. — Wiernicki.

Wiernicki. Mci Panowie! J. Pan Starosta nasz tu zajechał. Wysiada z karety.

Staruszkiewicz. Ach to Dobrodziej nasz

Łykaczewski. To prawdziwy nasz ojciec, żeby takich ludzi więcej na świecie!

Łakomski. Ale idźmy, spotkajmy jego.

Pieniacki. Oto już wchodzi.

SCENA X.

Ciż sami. — Starosta.

Starosta. Witam moich kochanych przyjaciół.

Umiągulska. Upadamy do nóg W. M. Pana Dobrodzieja.

Staruszkiewicz. Całujemy stopy pańskie (kłaniają się i witają wszyscy).

Starosta. Jakże się macie moi kochani sąsiedzi. A to kto? co ja widzę? Imć Pan Ochotnicki.

Ochotnicki. Niespodziewanie mam honor witać tu W. M. Pana.

Starosta. O jak się cieszę, że tu kochanego mego przyjaciela znajduję. Mci Panowie, mamy wielkiego gościa w naszym kraju. Jest to godny, zacny, rozumny i od wszystkich estymowany kawaler.

Ochotnicki. Proszę mię nie zawstydząć, ja jestem winowajca przyprowadzony tu na sąd Ichmościów.

Starosta. Co? W. M. Pan? żartujesz?

Ochotnicki. Nie inaczej. Ichmość mię tu sądzili.

Starosta. O co?

Pieniucki. Ale już to pogodzona rzecz.

Ochotnicki. O to, jakbym ja Ichmościom honor miał ująć przez niektóre moje pisma, wychodzące pod tytułem *Monitora*.

Starosta. Ach Mci Panowie! Nie znacie tego kawalera, powinniście go na rękę nosić. Przepraszam W. M. Pana, jeśli w czem przeciwko godności jego moi kochani sąsiedzi wykroczyli. Upewniam, iż to przez niewiedomość uczynili.

Hajdamakiewicz. Myśmy nie złego Jegomości nie uczynili. Wiemy jak kogo szanować.

Staruszkiewicz. Jeśliśmy w czem urazili, gotowiśmy przeprosić.

Ochotnicki. Ja się bynajmniej nie gniewam. I upewniam

W. M. Panów, że się tego mocno wystrzegam, żebym nikogo nie uraził. Ganię występki, ale osób nie tykam.

Starosta. To rzecz pewna, że *Monitor* jest rzecz u nas nowa, może się tym nie podobać, którzy żadnej nowości, nawet pożytecznej cierpieć nie mogą, ale kto w jego naturę okiem rozsądnem wejrzy, musi przyznać, iż on jest niemniej nam potrzebny, jako pożyteczny. Ma albowiem wiele nauk politycznych, zdalnych dla każdego w rady Rzeczypospolitej wchodzącego. Ma nie mało uwag ekonomicznych, które kochającymi się w porządnem gospodarstwie, mogą być użyteczne. Ma dosyć zdań krytycznych, które niejednemu gust dobry zalecić mogą. Ma na koniec wiele nauk moralnych, które występków brzydkość, a cnoty piękność pokazując, ku pierwszym obrzydliwość, a ku drugim chęć i miłość w sercach naszych wzniesają. Podobnym piśmom Anglia swój pól i potęgę po części jest winna. Dziękować tedy raczej Jegomości powinniśmy, iż dla przysługi Ojczyzny tej się pracy nie wzbrania, przez którą nie swego, ale naszego szuka pożytku.

Staruszkiewicz. Otworzyłeś nam oczy W. M. Pan Dobrodziej. Nie słusznie nam drudzy serce rozjątrali przeciwko Jegomości. Przepraszamy tedy W. M. Pana i prosimy, aby przedsięwziętej dla dobra naszego pracy nie porzucił (kłaniają się wszyscy Ochotnickiemu).



ŻARTY KAWALERÓW AKADEMII SZLACHECKIEJ¹⁾.

O tych, które sobie dla piękności twarz farbami malują.

Anna w leciech zgrzybiałych młodą się być zdała,
Lecz młódź dworna o wieku jej się dowiedziała.
Jednakże wielkiej rzeczy dopięła ta dama,
Twarz jej zda się trzydziestką lat młodsza, niż sama.

Jan Tarnowski.

Serce Kloryndy ciężko mój Józefie ranisz.
Gdy udatność jej twarzy malowanej ganisz.
Ja mówię, że jej piękność tak poszła już w górę,
Że na jej twarzy sztuka przewyższa naturę.

Marcin Grocholski.

Wczora w wieczór młodziuchnąś była, dziś zgrzybiała
Tak dziwną rzecz noc jedna w tobie dokazała!
Ten cud Jadwigo w mojej głowie się nie mieści,
Chyba, że ta noc trwała najmniej lat czterdzieści.

Jan Tarnowski.

Którzy tylko znajomość jaką z tobą mają
Że twa twarz lat trzydzieści żyła powiadają.
Lecz o jak często płonne zwodzą nas nowiny!
Ta twarz ledwie co więcej ma nad trzy godziny.

Ignacy Mogiłański.

¹⁾ „Zabawki poetyckie niektórych kawalerów Akademii szlacheckiej warszawskiej Soc. Jesu w krasinowskiej sztuce ćwiczących się zebrane przez Fr. Bohomolca“. Warszawa 1758. „Żarty“ stanowią osobny dział „Zabawek“. Bohomolec zaznacza, że są między niemi „niektóre z obcych języków na polski wiersz przełożone“.

Skarżysz, się, że Antoni twój jest bardzo hardy
Że ci zamiast czci winnej, częste czyni wzgardy.
Wiedz, że on jest heretyk: z tem się zawsze chlubi.
Że żadnych malowanych obrazów nie lubi.

Jan Tarnowski.

Bardzo mię urażają twoje Pawle żarty
Gdy mówisz, że piękności nie ma nic u Marty.
Wiedz o tym, że jej tyle ma w szafie u siebie
Że i drugim mogłaby jej sprzedać w potrzebie.

Leon Międzyński.

Mniemasz, że długo rosną. i długo też trwają
Te róże, które lice Anny zalecają.
Patrz jak wiele tej biegłość ogrodniczki może:
Intro inne na tymże gruncie ujrzysz róże.

Jędrzej Leski.

Zkąd rodem Anna. jesteś w tym Piotrze ciekawy.
Słuchaj: twarz jej jest ze Włoch. a ona z Warszawy.

Jędrzej Leski.

Do łyszego.

Jak pamiętam pięć tylko włosów na łbie miałeś.
Trzy w jednej, a dwa w drugiej zwadzie postradałeś.
Już teraz wadź się śmiało Pietrze, moja rada.
Trzecia żadnego włoska nie wydrze ci zwada.

Józef Dulski.

**Na chorego, nie wystrzegającego się rzeczy zdrowiu
przeciwnych.**

Dziwujesz się, czemu to tyle dni i nocy
Trzyma febra natrętna ciebie w swojej mocy:

W miękkiej z tobą pościeli lega, smaczno jada,
Przy dobrem winie z tobą u stołu zasiada:
Taką mając wygodę i rozkosz dla siebie,
Chcesz, by poszła do kata twa febra od ciebie.

Kazimierz Ossoliński.

Na męża, któremu wiele żon umarło.

Siódmą już na twojej roli żonę pochowałeś
Z żadnej roli większego pożytku nie miałeś!

O zlej żonie.

Spytano, czemu nie miał psów, pewnego czleka,
Na co mi psy, odpowie, mam żonę, ta szczeka.

Józef Grąbczewski.

Na nie wymawiającego litery R.

Ilekroć Jan chciał mówić dary, mówił *dały*
I stary podług niego nazywał się *staty*.
Wyjechał Jan do Rusi, myśmy rozumieli,
Że już tych słów piskliwych nie będziem słyszeli.
Alć wieść niespodziana z Rusi przyleciała.
Że gdy Jan przybył na Ruś, Ruś *Łusią* się stała.

Jan Zieliński.



WYJĄTKI

Z „ZABAW PRZYJEMNYCH I POŻYTECZNYCH“¹⁾.

Suplika poetów do Apollina,

który wraz jest Febem czyli słońcem, i bożkiem pobożnym nad wierszami.

Bożku niesprawiedliwy! ojciec nader srogi!
Twoja moc tworzy w górach złota kruszec drogi,
Za cóż my twoje dzieci zawsze żyjąc w nędzy —
Ani nawet miedzianych nie mamy pieniędzy?

Naucz nas dla czego to? ojciec nielitośny.
Kiedy ty poganiając cug swój światłonośny
Karocą się po niebie sam przewozisz złotą —
Za co my twoje dzieci chodzimy piechotą?

Próżnym tylko twych synów nazwiskiem bogaci.
Kiedy ty w pośród swoich stół obsiadłszy braci
Niebieskiego wypijasz pełne czary miodu. —
Za co my twoje dzieci umieramy z głodu?

Twoja moc piękną cały świat barwą okrywa.
Ziemia nowej corocznie ozdoby nabywa.
Kiedy jej płodno - czynną hojnie zeslesz rosę, —
Za cóż my twoje dzieci i nagie i bose?

¹⁾ Pismo pod powyższym tytułem wychodziło w Warszawie przez lat 8 (1770—1777) pod redakcją Naruszewicza i Albertrandiego. Treść jego składała się przeważnie z przekładów. Naruszewicz umieszczał w niem prawie wszystkie plody swojej muzy.

Ej bądź przecie na dzieci twe bardziej łaskawym,
Spraw to, niechaj cię znamy naszym Ojcem prawym,
Ażeby zaś nie wiele to cię kosztowało,
Dobrych tylko ubogać, a wyjdzie ci mało.

Modlitwa do Złotka.

Feliksa Gaudzińskiego.

Złotko! moja ty pieszczoto
Przybywaj do mnie co żywo,
Przyjmę cię w dom mój z ochotą,
Z chęcią uściskam prawdziwą.

Już dno widać w mej szkatule.
Już nie masz żadnej nadziei,
Tylko albo połknąć kulę,
Lub się utopić w kolei.

Jak się tu pokazać Kasi?
Bez złotka śmiałości nie ma!
Złotko w Kasi niechęć gasi.
Przy złotku Kasię się trzyma.

Ledwie com zadzwonił złotkiem.
Tysiąc do mnie hurmem żonek,
Póty u nich byłem słodkiem
Póki głos nie stracił dzwonek.

Teraz mężem każda składa,
Że jest okrutny, że dziki,
Że nie może, choćby rada...
Takie to są dobrodziki.

Bądź człek figla zbroił czasem,
Kiedy dobrym brząknął trzosem;

Wszystko mu poszło nawiasem
Choć kozę widział przed nosem.

Teraz w pysk ciężko dać komu,
Trza choć twardy kąsek strawić.
Co splatawszy umknąć z domu;
Jeśli nie grzbietu nadstawić.

O złotko, złotko, me złotko!
O jak z tobą mile bycie!
Jak z tobą żyć można słodko,
Z tobą szczęsne pędzić życie.

Ciebie mając, będę panem
Od wszystkich czczony ogółem:
Od mojej Kasi kochanem
Będę sobie żył wesołem.

Auro Conciliatur Amor.

Krzysztofa Urbanowskiego.

I.

Darmo się pniemy do kraju Cytery
Jeśli nie trząśniemy złotkiem i talery.

Pełen zazdrości,
Mąż, żona złości,
Okrutni z nami
Jako z wilkami
Stawiają kraty,
Podwoją czaty.
I kundel lada
Na nas ujada

I samże nawet czas w takowej chwili
Nie nie wysili.

Lecz kiedy Plutus do roboty wchodzi,
A złotkiem ręce i oczko osłodzi.

Stał się pokruszy,
Zapor się wzruszy.
Mąż według mody
Wyńdzie z gospody,
I warta chrapie.
I kundel sapie.
Pani nie sprzeczna
I dziewczka grzeczna.

Takie to złoto; kto z nim rozpoczyna
W dniu rzecz dopina.

II.

Już też to kilka dni i nocy prawie
Jako nie nie śpię, będę się i trawie.
Jeśli z miłości biedy tej przyczyna,
Niech dyabli biorą pana Kupidyna.
I jego siostry i braci i matkę.
A jeśli mało, i moją Agatkę.

III.

Wszysey liczą Amorka pomiędzy bogami:
I jam nabity kiedyś był temi baśniami,
Ale mi pani lrys dziś go poznać dała.
Znam z gruntu dobrodzieja! to bestya cała.

IV.

Dałem już wstążkę dziś mojej Lizetce,
By ją przy swojej nosiła buletce.
Teraz zaniosę jej ten to bukietek:
Ma już odemnie multankę i flecik:

Ma, co już każdy pozna, moja duszka
I mego nawet połowę serduszka.
O jakbymci rad, Amorku, dziękował,
Gdybyś kochankę do mnie nakierował;
By memi kiedyś podarki ujęta,
Rzekła: milsze mi Sylwandra prezenta
Tysiąc są razy, niż owe kamienie.
Niż drogie skarby i pyszne odzienie,
Bo to los, komu chce, ślepo udziela:
To zaś od mego trzymam przyjaciela.

V.

Mały pismarku, ty co w butnej minie
Mniemasz, że cały Parnas w twej czuprynie,
Więc, jakbyś głodny był końca twej sławy,
Pragniesz koniecznie cielecej oprawy,
Poczekaj, aż ci śmierć przetnie życia porę.
Wtenczas cię w własną twą oprawim skórę.
Wszystkoć to jedno, bracie, mało więcej,
Być ci czy w twojej skórze, czy w cielecej.

Chory pisze o śpiewaniu.

J. Haraburdy.

Nie źle pośpiewać czasem sobie gwoli
W pracy, w uścisku, lub kiedy co boli.
Toć jest, dla czego brząkając kajdany
Śpiewa niewolnik by nie czuł swej rany:
Toć jest, dla czego śpiewa, co wywraca
Rydlęm warstw ziemi, tak mu lżejsza praca.
Toć jest dla czego śpiewa flis na łodzi,
Silnie prac wiośłem i w tym czas mu schodzi;
Toć jest, dla czego śpiewa sobie chory
Wierząc, że smutne rozpędza humory.

Toć jest, dla czego huczą w polu żeńce.
Nie pomnąc krwawych potów plotą wieńce;
I ów co wygnał trzodę na obszary
Cały dzień śpiewa albo dmie w fujary;
I ten któremu zła żona dogrzewa,
Wyszedszy za drzwi zanuci, zaśpiewa;
I ów podróżny gdy piosnki wywodzi
Ile ich umie, przykrą podróż słodzi;
Ja też gdy sobie w łóżku leżąc nuce
Mniemam, że bólów i tęsknoty skrócę.
Takie wierszydła gdy gorączką spiekły
Klecę, niech Zoil nie szarpie mię wściekły.
A jeśli okiem czytasz kto nie krzywym?
Ufam, iż w tę myśl będziesz mi życzliwym:
Ten człek i chory żyje pracowicie,
Daj mu Bóg zdrowie i przedłuż mu życie.

Bajka: Chłop z barankiem.

Pewny kmiotek ubogi, zatargi i zwady
Mając o grunt i łąkę z swojemi sąsiady,
Wielką z przyjaźni Patrona
Przy którym i zła wygrywała strona.
Miał nadzieje wygranej; bo Patron strudzony
Pracą sądową, bywał umieszczony
W domu jego laskawie; a podług zwyczaju
Chłopków, miał odeń drevka na kominiek z gaju,
To latem masła, to z kilka krajanek
Sera, albo też inny kubanek.
Pełen tedy nadziei podchlebował sobie,
Że mu w nieszczęśliwej dobie
Oświecenie dać raczy, lub dobrą poradę,
I uspokoi zwadę.



WYJĄTEK ZE SATYRY

„ŚWIERZBIĄCZKA PISANIA, NIEBEZPIECZNA CHOROBA“.

...Żądza wślawienia się wydanemi księgami świat cały zaraziła, a najwięcej młodych ludzi widzieć można, których niebezpiecznie nader i szkodliwie zaprzątnęła. Ledwie którego przypomnieć sobie mogę z współuczniów moich w szkołach wyższych, któryby znakomitą nader obrawszy sobie materję, nie postanowił pracą jaką swoją przysłużyć się światu naszemu. Ale z wielkim nauk pożytkiem stało się, iż jedni roztargnieniem życia dalszego, drudzy życiem rozpustnem i swywolą od przedsięwzięcia swego odwiedzeni byli. niektórzy zaś przy pierwszym do wykonania zamysłów swoich wstępie, tyle trudności doznali, iż z większą jeszcze skwapliwością, niż je zaczęli, opuścili.

Nie mogę wstrzymać się, abym tu nie przytoczył pewnego w tej mierze przypadku, który pewnie czytelnikom moim będzie się zdawał być godnym ich ciekawości. W pewnej sławnej Akademii znajdował się jeden, tem u wszystkich współuczniów swoich wślawiony, iż dla niezmierniej tępości rozumu nigdy do jakiegokolwiek znajomości języka łacińskiego przyjsć nie mógł: ten jednak tak mizerny człowiek przedsięwziął lekarską księgę łacińskim językiem pisać. Cóż więc uczynił? Kazał całą ryżę papieru oprawić, a sklepuwszy z niezmierną pracą tytuł, przecie materją pierwszego rozdziału na początku pierwszej po tytule karty napisał: o głowie i jej chorobach. Wtem tak wiele podobno chorób w własnej głowie swojej znalazł, iż mnogością onych przestraszony przedsięwziętego dzieła zaniechał: przynajmniej ani jednej litery, oprócz tytułów rzeczonych, nie znalazłem.

Jeśli ta chęć zbyteczna wydania ksiąg, którą sprawiedli-

wie chorobą nazwać mogę, tak jest szkodliwa naukom w powszechności przez zarzucanie świata księganii pomierności nawet niedosięgającemi, daleko jeszcze szkodliwsza jest tymże samym, którzy onej podlegają. Nie jestże to albowiem rzecz politowania godna, że młodzieniec do tego kresu nierozumu przychodzi, iż księgi pisać przedsięwzięje, kiedyby daleko pożyteczniej użyć mógł czasu na to potrzebnego do nabycia doskonalszej tych nauk wiadomości, bez których obejść się nie może, kiedy chce ucziwie tak pomiędzy współziomkami swymi, jako i między uczonymi pokazać się? Kto się nad nim nie użali widząc, że tym sposobem, przez utratę czasu najlepszego, na całe życie staje się nieszczęśliwym i ludzkiemu towarzystwu nieużytecznym? Jakoż pospolicie takowi zbyt ranni autorowie nigdy potem uczyć się nie chcą, a nabiwszy sobie głowę tem, iż tyle nauki mają, że księgi pisać mogą, pewnie niczyjej już nauce poddać się nie zechcą, mniając, że jeśli nie przewyższyli, przynajmniej wszystkich nauczycieliw doszli. Żal, którym mię los ich nieszczęśliwy przenika, pobudką mi jest do tego pisania, w którem, ile tylko będę mógł, o ich się uleczenie pokuszę. Zatem jako prawy lekarz naprzód znaki tej tak ciężkiej choroby, a potem najskuteczniejsze uleczenia jej sposoby położę.

Nieszczęśliwi ci pacyentowie doznawają przez czas długi wielką w szyi ociężałość. Szczęki ich i gęba w nadzwyczajnem poruszeniu do konwulsyj podobnem zostają. W gardle chrąpliwość nie ustaje. Pospolicie tym paroksyzmem nagabani są, gdy w zgromadzeniu jakim lub kompanii znajdują się. Skoro się kto odezwie, wyrrywają się z tem: przepraszam W. M. Pana, mylisz się W. Pan i wtedy nieszczęśliwa choroba bardzo jest bliska. Bywają czasem tak ciężko nią udręczeni, że wszyscy przytomni litować się muszą; rzadko kiedy prędzej ich opuści, jak po ostatniem szczęk zmordowaniu i gardła nieznośnym bólu. Kto tak smutnemi nagabywany jest przypadkami, pewnym być może, iż zupełnie wkrótce, a to najmocniej-

szą udręczony będzie chorobą. Przynajmniej niewątpliwie będzie o materii myślał, o której uczonemu światu podać ze-ehce myśli. Więc jeśli mile mu jest ściągać się do nauk zdrowie, niechaj wcześniej namysli się i używać pocznie zbaw-
niemych środków, które wnet odemnie będą przepisane.

Jeśli takowym początkom należy nie będzie zabieżono, nastąpią wnet inne skutki okropne, a oraz daleko niebezpie-
czniejsze. Chorujący doznawają pospolicie niecznołą ociężałość
głowy. To samo jużby można za chorobę poczytać. Jakoż
wielkie ma podobieństwo do hypokondryi, albo śledzionowej
choroby. Ale że w głowie śledziony nie masz, przeto mogłoby
takie nazwisko od wielu być naganione. Przeto wolę ją uczoną
mózgu nazwać chorobą. Rozumieją wprawdzie tej słabości
podlegający, iż takowa ociężałość z wielkiej nauki pochodzi,
ale to samo nowym jest i znakiem i dowodem choroby. Za-
tem doznają nadzwyczajnych mądrych zawrotów. Często bywa,
że pół godziny upłynie, nim do siebie przyjdą i postrzegają
miejsce, na którem są zabawy, któremi się zaprzątają. Mądre
zawroty od zwyczajnych tem się różnią, iż przy tych ostatnich
myśleć można. Z tem wszystkiem myśli te nie innego nie są,
jak wyobrażenia wielkiej nauki, wzgarda wszystkich innych
ludzi uczonych i widok sławy nieśmiertelnej, którą u świata
nabyć spodziewają się.

Po tych poprzedzających znakach, rzadko kiedy później
się sama najcięższa zwykła choroba. Ta choroba zawisła po
większej części na mocnych nader i częstych konwulsjach
ręki i palców. Uważałem, iż pacjentom papier biały nader
zwykły bywać szkodliwym. Widzieć bez politowania nie można,
z jaką gwałtownością ciężkość naderchodzącego bólu wzruszać
rękę i palce zwykła. Ponieważ wszystkich w powszechności
ludzi dobro, mianowicie zaś tych, co się do nauk przykładają
poczynają, celem jest wszelkiej usilności mojej, przeto też jak
najskuteczniejsze im przepiszę środki na uśmierzenie i ulecze-
nie tej tak oplakanej choroby.

Najprzód nie od rzezy byłoby to moje pisanie przeczytać, któreby jeśli nie przez się, tedyby przynajmniej dla niejkiej z chorującymi sympatyi, mogło poratować. Najwięcej zaś skutku mieć może, kiedy przed ociężałością jeszcze głowy z pilnością będzie roztrząśnione. Potem julepek siebieznajski w takowych przygodach całę jest przedziwny. Nie zawadzi też trochę, ile na koniec noża zmieścić się może, zażyé Refleksyi, uważając rozległość rozmaitych nauk, ścisły związek z tą mających, którą za cel pracy swojej zamierzają; niechaj przy tem pomyślą o tem, że człowiek młody w nich się należyie ćwiczyć i ugruntować mający, tyle w doścignieniu onych ma zaprzątnienia, iż pewnie tak rychło o pisaniu ksiąg myśleć nie może. Kiedy zaś sam najtęższy paroksyzm ich napadnie, dobrzeby uczynili, gdyby ze dwie przynajmniej godziny zaprzątnęli się czytaniem pism autorów, w tych, którym się poświęcili, naukach najślawniejszych. Poznają podobno na ów czas, iż to wszystko, eo umieją, szeserą jest fraszką, że wiadomość, którą świat obdarzyć pragną, jest płochem bez związku, bez porządku gadaniem, a zatem to lekarstwo najpomysłniejszy skutek otrzyma....



Ks. GRACYAN PIOTROWSKI

(ur. 1735 † 1785).

ZE „SATYRA“



Satyra XXIII: Na Gazeciarszów, fałszywe baśnie piszących.

Już ten niechaj ostatni raz odbieram listy
Romansisto, bo widzę żart twój oczywisty.
Pleciesz twoje niewidy i łudzisz mię darmo,
Raz rzucając fatalne i nagle alarmo,
To znowu torbę pociech gromadząc do uszu
Mych, bym tylko dobrego nabrał animuszu.
Nakoniec, gdy chcę skleić w jedno twe androny.
Miotły widzę rozsiane i las rozrzucony,
Chwasty, głogi, kąkole, bez zdrowego ziarna,
Sama tylko obłuda i plotek garść marna.

¹⁾ Ks. Gracyan Piotrowski, głośny kaznodzieja, był współpracownikiem *Monitora*. W r. 1773 wydał swoje satyry p. t.: „Satyr przeciwko zdaniom y zgorzseniom wieku naszego tom I za powodem Satyr Jana Kochanowskiego Xiążęcia naszych Poetów, który się na końcu Satyr kładzie, wydany“. Autor miał widocznie zamiar wydać z czasem tom II, ale czy tom I nie był dobrze przyjęty, czy też sam autor uznał, że Naruszewiczowi, a zwłaszcza Krasickiemu trudno będzie dorównać, dość, że poprzestał na wydaniu tomu I. A szkoda, bo lubo satyry jego są dość ciężkie i niewiele w nich humoru, obejmują przecież szersze widnokreśli niż satyry Naruszewicza i Krasickiego i stanowią poważne źródło do historii obyczajów. Ks. Piotrowski karci zbytki, polowania, rozpustę, niewłaściwe małżeństwa, dworaków, złych opiekunów, zacofanych naukowo, występuje przeciw obcym guwernerom, junakom,

Historji nie można zbierać z twoich wieści,
W których się tysiąc bajek i przeciwnieństw mieści.
Co gdzie w której ulicy słyszeć ci się przyda:
Czy od baby, żołnierza, od chłopca, od żyda,
Co żywo w pugilares wypujesz na czwartek,
By koniecznie napęlić czem było dwie ćwiartki.
Ciężko to są godni ludzie, te znaczne osoby.
Te usta wiary godne, ci dowodnej próby
Świadkowie, którym dajesz wspaniałe tytuły
Kiedy swoje wyrażasz śmiało artykuły.
W rzeczy samej, lada bies naszczeka, napiecie,
Ty bez braku krytyki, chwytasz się jak dziecię,
Siejesz pudłami różnych romansów wybory
Co ci czasem frant przez śmiech nadyktuje który.
Pisałeś mi niedawno: że Ister spalony,
Że ta wieść wyszła z Wiednia już na wszystkie strony,
Że Pekin odebrany przez żwawe ataki,
Że Dardanelle pożar poniosły czworaki; —
Jam to przed ludźmi prawil jako pewne dzieje,
Aż niejednen uczony natrzęsa się, śmieje,
Mówiąc w oczy, że prawie dziwnactwa, androny.
Właśnie jakby w malignie, lub wcale szalony.
Prima Aprilis ze mną wyrabiasz i stroisz
Zabijasz, ranisz pułki, znowu wskrzeszasz, goisz,

grymaśnikom, niechlujom, żartuje z „ekonomistów“, z polityków i gazeciarzy, gani pijaństwo, łakomstwo, daje rady młodemu idącemu do wojska, pisze o edukacji, o urzędach, poselstwie itd. Satyr tych jest 25 — a ponieważ przypuszczać należy, że tom II został w rękopisie — razem z nim spuścizna satyryczna ks. Piotrowskiego objętością swoją przenosiłaby dwa razy spuściznę satyryczną Naruszewicza razem z Krasickim. Nawiasem dodamy, że p. Stanisław Tarnowski w recenzji „Szkieł“ prof. Tretiaka znalazł „ciekawą szczegół“, to jest „wiadomość o satyryku Piotrowskim“ — odkrywać go jednak nie było potrzeba, bo do wyjątków zapewne należy bibliograf lub badacz literatury, któryby go nie znalazł.

Jako bożek delficki w obojętne słowa
Rzecz obwijasz; ta tylko wymówka gotowa.
Że każdy ma swe zdanie i różne projekta
A ciebie lada wietrak, gaduła nabekta
I zaćmi dosyć ciemne twe w pojęciu wnioski,
Iż to będzie największem kłamstwem, co jak Boski
Promyczek objawienia rzucasz w nasze cienie.
Już za te piękne roje, kłaniam uniżenie.
Fertur, mówią, donoszą, słyhać to, tak głoszą,
„Iż Islandya ma się wstawić swą rokoszą.
Odzyskać wolność dawną, że Anglia, lubo
Obojętnie się trzyma, przecież ze swą zgubą
Nie nie zechce, — a przeto w Europie należy
Wielkiej rewolucyi jako gradu z wieży
Wyglądać. Będzie wszystko dobrze po tej burzy...
Niech się jak chce na Polskę Północ cała żurzy.
Jeśli ten dwór do broni weźmie się, zapędzą
Sto mil za świat rozgonią z kłeską, szkodą, nędzą“.
Proroctwa mi posyłasz jeszcze za Kaźmierza,
Bolesława Śmiałego wydane. Rozszerza
W tych się dzikość granicach, więcej jak w nauce
Gruntownej, albo jakiej wyzwolonej sztuce.
Cierpię długo, odbieram te udatne cuda...
Ale teraz przestaję. Już ci się nie uda,
Nie zwiedziesz już Mikity: i Mikita człkiem
Od rozeznania prawdy przecież nie dalekiem.

Przy oddaniu umownej, jak wiesz dobrze, płacy
Dowodzę, że to i my, choć prości wieśniacy,
Także gazetki mamy i nowinki miłe.
Donoszę więc Wać Panu: że „głaby pogniłe
Pokazują wilgotną i niepewną dalej
Zimę; a jeśli ujmie mróz gruntowniej, trwalej
Tedy sanna *speratur*, dobre drzewa spusty
Taniość zbóż dosyć drogich wśród zimy w zapusty.

♦ *Item* mówią powszechnie, że jeśli pod śniegiem
Wyśpi się ziarko dobrze, głębiej, nie nad brzegiem,
Pewny w lecie urodzaj, byle Marzec suchy
Nastąpił, a Maj mokry... *Item* te rozruchy
Wiatrów i nagle mrozu z wilgocią przemiany.
Bóg-li wie, czy na wiosnę mór już zagrzebany
I zarazy nie wróca. — To więc i ja biegły
Już mogę być gazeciarz. Choćby te zaległy
Wiadomości, jeszczebym zdobył się na drugie.
Lecz i te dosyć widzę zdałyby się długie,
Gdyby się Retoryki nie słuchało, dłużej:
A tak obiemą tytuł i nazwisko służy.
Żeśmy szalenie całe do zmyślenia w głowie
Nowych rzeczy; niech będzie obiemą na zdrowie!
Adieu śliczny bracie, ściągam pióro chyże
Tak właśnie biegące jak gdy obuje łyże
Prędką noga i zdrowa: za podobne dzieje
Niejeden się sekretu dowie i naśmiej.
Otóż abyśmy odtąd nie zgorszyli kogo
Nie będziemy tych baśni kupowali drogo...
Śmiałeś się z wiejskich moich pobieranych rojem
Powieści, plotek, wróżby zebranych ze znojem?
Że też swoje związałem domowe nowinki.
W jeden snopek, mijając tysiączne ucinki.
Bardzo smaczne, z obory, z gromady, od stada.
Którymi wieśniak pluje, kiedy się rozgada.
Kwita z tego za tamto. I my do rozpuku
Śmieliśmy się z twych wojen, gonitew i huku.
Z twych traktatów, werbunków, mariażów, co mię
Nie cieszyło, o chlebie myślącego w domie.
Nie lżyjmyż odtąd oba: zazdrość bowiem piekła
Mnie daremnie i ledwo dusza nie uciekła
Od złości, żeś ty kłamstwa przedawał, a moje
Nie szły nigdy na handel, ani na pokoje.

Więc teraz nauczony z twej długiej przestrogi
Wolę i ja uczynić handel choć nie drogi
Na szalbierstwa i bajki, dobrze nie próżnować,
A tak łatwem rzemiosłem grosz pewny zharować.
Lepiej sprzedać, jak kupić, kiedy czego zbędzie,
Proszę mię tedy liczyć w gazeciarzów rzędzie.
I sam Wać Pan pozwolisz powetować teraz,
Com stracił, gdy przypadło kwartał płacić nieraz.
Kwita z gazet, lecz z milej przyjaźni nie kwita
Jak była, tak i będzie przyjaźni infinita.

Ze satyry: „Na młodego sęzkiej (sędziowskiej) lub deputackiej funkcji napierającego się, bez oświecenia przyzwoitego“.

...Bez mądrości tak jest sąd, jak ciało bez duszy,
Bolać częstokroć słuchać uczeiwego uszy:
Co mówią o dekretach nieforemnych, kędy
Flaszka, złoto i głupstwo, straszne piszą błędy.
Wieluńska niegdyś rada dekret tak pisała:
„Ażeś ty Katarzyno sama się przyznała
„Do grzechu, chociaż opak wyznają świadkowie
„Żeś niewinna, utracić za to musisz zdrowie,
„I dać życie katowi. Bo każdy człek lepi
„Wie o sobie“. O sądy! o sędziowie ślepi!
Drugi dekret w Wąsowcu: „Ażeś ty zineczony.
„Żyć nie możesz Tomaszu, choć ustają strony
„W dokumentach, i nie masz na ciebie przysięgi,
„Byśmy próżnej w ratuszu nie mieli mitręgi,
„Dla folgi skazujem cię tylko na miecz kata“.
O wyroki! O straszna dusz niewinnych strąta!
Lecz nietylko prostaków zebranych w ratuszu
Gmin tak błądzi w sądzeniu. Tam kto animuszu
Zuchwalszego, kto lepiej pociągnął ze dzbana,
Tego też więcej waży głos i kreska dana.

Ale to gorsza jeszcze, że szlachetne dusze
Izb sądowych, podobne przerobią ratusze,
Kiedy w głowie, jak w pustej stodole się roi.
Kto co rzeknie bez braku, obcy czyli swoi
Idzie się za innemi. Nie zna się nic prawa;
Sąd, dekret, jak kukiołka za grosz się być zdawa.
A przecież to jest urząd Boga namiestniczy
Któż jego chwwały oraz i kary wyliczy.

**Ze satyry: „Na grubiaństwo pochodzące z domowej
złej edukacji“.**

Jadąc raz do Warszawy, w lesie niedalekiem
Zjechałem się z Francuzem, arcymądrym człkiem,
Który tu guberniera w znacznym bardzo domu
Urząd sprawował; słowem najmniejszym nikomu
Nie śmiał się sprzeciwić, człowiek dziwnie słodki
Szczery w zdaniach rozsądnych bez żadnej ogródki.
Ten po różnych pytaniach i dyskursach ze mną,
Gdy polubił mą szczerość i ludzkość przyjemną,
Wkroczył w przyjaźń. Aże nam tak przypadła droga;
Pomieściła nas karezma na nocleg uboga.
Gdzie on przy kolacyi pierwszy mię zagadnie:
„O jakżeby w tym polskim kraju było ładnie!
Lud mężny, ziemia żyzna, prawo piękne, wody.
Lasy, łąki i inne rzeczy do wygody.
Miejscu do fortec dane od natury wcale.
Cóż mówić o dowcipach? te ja na nader chwale.
Zdrowie w ludziach, sposobność do wszelakiej pracy
Zgoła, przodować w świecie mogliby Polacy;
Ale dwie tylko rzeczy, że się prawda rzecze.
Naród ten śliczny gubią, gorzej niżli miecze,
Niżli nieprzyjacielskie ognie i najazdy,
Co że prawda, przyzna mi sprawiedliwie każdy“.

Co takiego? pytam go i nadstawiam ucha.
Odpowie: „wychowanie! Gdy tylko pielucha
Dzieci rozwiąże w samem grubiaństwie dzikiem
Rozkoszą i pieszczotą, zaraz jak wabikiem
Przywyknie dziecko z młodu (bo ten wiek się skłania
Jak gałązka) do uciech i do próżnowania.
Tę maksymę uroi sobie za prawo,
Że sami gminni ludzie, którzy są jak bydło, ,
Pracować mają, do nich kunszt, wolne sztuki
Należą. Szlachta mogą być szczerze nieuki;
Honor i sława onych w herbowym klejnocie,
W genealogii dawnej, lecz nie w czoła pocie.
A tak rzemieślnik, kupiec, malarz, zawołany
Złotnik, przedni architekt, choć pomiędzy pany
Więszymi uczczon będzie, którzy znają rzeczy
Potrzebne i przystojne krajom — wnet skaleczy.
Znieważy imię jego domator, z pogardą
Iglę, pędzel wyśmiej, łokieć, skórę twardą,
Jakoby to rzemiosł znaki i postaci
Były cechą, dla której człowiek honor traci.
Z drugiej strony i sam król, senator acz letni,
Minister, sędzia będzie spotwarzon najszeptni.
Czemu? bo równość na tem, wolności żrenica,
Zda się być w grubiaństwie prostego szlachcica.
By każdego znieważył, zelżył gdy się zdarzy.
Samą tylko zuchwałą minę nosząc w twarzy.

.

Mdląła jedna sąsiadka, gdy jej Jasia brano
Do szkół raz pierwszy, a już jemu rachowano
Piętnasty rok. Co tydzień czaczka, bagatelki
Prowiant wysyłała. Pewnie tam niewielki
W Jasiu był z nauk profit. Chłopiec byle za co
Płakał, kwilił się, kłamał, kłął, całe ładaco.
Choć pannę dworską zelżył, uderzył co siły

Miał godnego po gębie mój Jasieńko miły.
Pogrożono po nosie i już ci po karze.
Strzelał bąki, a potem z kupidyńkiem w parze
Już naciągał cięciwko, co raz żywiej z boku
Gębusię krzywił, starym podrzeźniał, mars w oku;
Dobry żołnierz Jaś będzie, ma rezon po temu,
A tak bohaterowi, Jasiowi małemu
Było wolno wojować. Trafił się raz pewny
Młody zakonnik gościem, domu tego krewny,
Uczciwy i rozumny. Więc matka Jasiowi,
Szacując tego księdza, szeptem w ucho powi:
Będzieszże takim księdzem? On się wnet posunie
I odpowie z rezonem: „Wolę żyć w fortunie
Mojej panem. Niech ten pies, bo też równie bury,
Do zakonnej prosi się, kiedy chce, klauzury,
Będzie mu bardzo pięknie w tym księżym habicie“.
Na to ociec: Idźżeż mi precz z oczu złe dziecię!
Kto to tego nauczył? A matka przeprasza
Za śmiałość: „Wybacz księże, to jedyna nasza
Pociecha, żal go skarać, tak chłopiec dość słaby
Chociaż ma wolność w domu i słodkie powaby.
Cóż dopiero, gdy się jemu naprzykrzono.
Prędzejbyśmy go trupem zobaczyli pono“.
Tak tedy w niezbożności i w głupstwie szkaradnym
Rośnie mój Jaś, staje się byczkiem wcale ładnym
Aż przyjdzie czas i pora, że się stanie wołem,
Lecz bez sierci i mięsa, łysym albo gołem.

.
Byłem ja, lat ośm temu, na jednym sejmiku
W Wielkiej Polsce, gdzie oprócz szkaradnego krzyku
Nie zgola nie słyszałem. A co mi sprawiło
Podziwienie i o czem wspominać niemiło,
Pijanych wielu przyszło do Boskiej świątnicy.
Tak postępując, jakby na Koziej ulicy.

Co który z urzędników, z rozuimniejszych panów
Co wyrzekł: „Ejże, stul pysk, ozór swój zastanów!
Widzisz, jaki mi mędrek!“ krzyczał szlachcie z kąta,
A insi, którym gorycz żydowska zaprzęta
Głowy słabe, do szabel zaraz się rzucali
Na wszystko po pianu odważni, zuchwali...
Co większa gdy stawiano Marszałka przy stole
Młodego, lecz grzecznego. — jeden: „nie pozwolę!“
Krzyczał szlachcie... A gdy ten za honor marszałka
Dzięki czyni, ów pijak, co go już gorzałka
Na pół spaliła, coraz skradając się blisko
Utnie go z tyłu w głębę. Piękne widowisko!
„A masz tu sprawę (mówiąc) smarkaczu, hultaju.
Otóż masz“; ów kawaler już to z obyczaju.
Już z rozumu, imienia i kształtnej wymowy
Arcygodny i zaenry... Otóż marszałkowy
Honor w Polsce wspaniały... Zdumiały młodzieniec
Nie wiedział sam, co począć; zajął się rumieniec
W niewinnej, w godnej jego poważania twarzy,
Ogień się tylko w oczach słusznej pomsty żarzy.
Tymczasem ztąd i owąd obskoczyły bronie,
Procesya za kościół, sejmik pełźnie, płonie.
To lustr edukacyi, to równość nabita
W głowę z młodu! To Jasia dzielność znakomita,
W którą się wprawiał z dziecka w oczach ojca, matki.
Obojga głupich, takie wydaje niestatkki.
Truchlałem i na inne Sarmatyzmu dziwa,
Które gruba, domowa, w szlachcie nieszczęśliwa
Czyni edukacya! o, jakież junaki,
Bohaterzy szalone! rwie się jaki taki
Do fordymentu. O cóż? że do tańca w rzędzie
Pierwszym stanął ten a ten, że pierwszy usiedzie
Przy boku Nimfy jakiej, że nie spełnił szklanki
Ofiarując drugiemu; że imię kochanki

Z romansu przytaczając, przyciał mojej damie.
Na weselu, na uczcie, ładunków jak w kramie;
Obsyłają się niemi szaleni rycerze.
W pyski, za lby doją się i mordują szczerze:
Właśnie jak psy na siebie wspólnie są zażarci
Przy każdej propozycji do zęba uparci:
Wrzask, hałas, wzgarda, łoskot, ale bez dowodu.
Bez fundamentu. Ten, że zaczął mowę z przodu
Gardzi nami: ów znowu, że mileżał u stołu
Znać bojąc się napaści, gdy inni pospołu
Wadzili się i żarli, i to modest hardy
Pełen dla kompanii pocziwych pogardy,
Trzeba go przez kij dobrze przesadzić, nauczyć.
Że powinien bawić się zarówno i huczyć
Gdy inni razem huczą. Ten, że mrugnął okiem.
Gdy drugi się rozwodził z rejestrem szerokiem
Antenatów, pradziadów, wujów i stryjenek.
Wart kuli. Inny śmiał się: że z łowów jelenek
Wysunął się galopem: żem trzy razy sarny
Wziąwszy pod włos, jak wróble, w jeden postrzał marny
Zdmuchnął z dymem, i Jezus nie rzekłszy niebogi, —
Rzekł na stronie, żem pływacz i gaduła srogi;
Inny tyłem się zwrócił ku mnie, gdy swe susy.
Czynił i kopereczaki... Ten choć szczupły, kusy.
Sadzi się i nadyma, podnosi na palce.
Ci tedy wszyscy od nas odrodni zuchwalce
Godni potwarzy szpetnej, godni w łeb postrzału.
Lub paragrafu przez pysk.

Satyra VI: „Na Importuna, gadułę niezbytęgo“.

Szedłem raz z Ujazdowa, kto świadom Warszawy,
A że me napasł oczy gust wielce ciekawy

W nowym króla pałacu, przeto rozbierałem,
Myślą, cokolwiek oko w tem domie wspaniałem
Widziało, idąc zwolna. Już dzień się do schyłu
Zabierał, wtem mię schwyci Gargas jakiś z tyłu,
I w te mię właśnie słowa zagadnie: „o miły
Przyjaciełu, przecież nas planety skupiły
Przyjazne i spędziły razem w jedne strony“.
„Sługa (rzekę) W. M. Pana jestem uniżony“.
A gdy chwalić bez miary, łąć, drwić zapoczyna...
„Pewnie interes do mnie, lub słuszną przyczyna
Tego witania? proszę rzecz uczynić jawną“.
„Mośpanie nie znasz się Wać na ludziach: z niestrawną
Taką mową potykać urodzonych godnie,
Odprawiać tak jest hardość“. Jakby mi pochodnie-
Kat do boku przysunął, zmartwiałem, lecz znowu
Myśl zebrawszy odpowiem: „Panie, wybacz słowu.
Jeśliśm którym uraził, lecz ta myśl nie była.
Znam się do czei powinnej. Na cóż mówić siła?
Interes pilny woła, padam do nóg Pana“.
„Jak widzę nie wiem (rzecze) zkaąd taka odmiana
Łaski W. M. Pana ku mnie, wydzierasz się gwałtem,
Pragnąc jawne niechęci pokryć słówek kształtem.
Lecz darmo, me usługi i szczerze honory
Należą się W. M. Panu... Zatem bez opory
Proszę rozkazać dokąd, mam honor przysługi
W konwoju“. Odpowiadam: czas już nie jest długi,
Noc nadchodzi, a mam iść aż pod koszary
Gwardyi. Tam zostaje mój przyjaciel stary
Nieznajomy W. M. Panu, z którym do mówienia,
Mam wiele, więc grzeszyłbym, przyczynę trudzenia
I fatygi tak wielkiej, kładąc nadaremnie,
Na mego Dobrodzieja“... „Bynajmniej, co ze mnie
Nie mam się czem zabawić, próżnować nie mogę,
Ciężkim nie jest, chętnie się w tęż zabieram drogę.

Zdumiałem się, spuściłem na to obie uszy
Tak właśnie jako osieł, niżeli się ruszy
Gdy nań zwałą z ciężarem ładowne tłumoki.
Westchnę tylko i z piersi żal wydam głęboki!
Zacząłem potem we cwał pędzić, już stanowiąc
Kroki, już z chłopcem niby coś do ucha mówić!
Pot od szyi aż do stóp oblał mię, — straszliwa
Rzecz na człeka importun!... On mi wielkie dziwa
Plótl, prawil, jak paprzyca, od potopu świata.
Już o dworze, senacie, panach ten, ten, ta, ta,
Taki, taka, — biskupi, i święte zakony,
Nie uszły gdy się rozgrzał język rozpędzony.
Sekreta mi wyjawiał, wstrząsał gabinety,
Deklaracye pisał... Gdy milczę: „niestety!
Widzę jawnie, żeś W. M. Pan na mnie nie łaskawy,
Nie chcesz ze mną cieszyć się“... „Gdybyć nie sprawy
(Odpowiadam) nad karkiem wiszące, to nasza
Byłaby uciecha dziś; jako Mesyasa
Żądanego, prosiłbym W. M. Pana do domu.
Bieda że nie mam zlecić W. M. Pana nikomu,
Któryby asystował W. M. Panu do żony.
Zabawił go tymczasem aż póki skończony
Interes mój nie będzie; orlemi skrzydłami
Pospieszylbym nie długo, tak dopiero sami
Wolni od interesu, czas byśmy milutki
Pędzili“... „Są to jawne, twej niechęci skutki
Odpowie on. Mylisz się, czy z Piarów, czyli
Z Jezuitów, czy z świeckich, którzy dawniej żyli,
I teraz żyją, nad mnie, więcej ważąc kogo,
Warszawa ma równego pewnie jako błogo.
Jest ludzi kilkanastu w tem mieście tysięcy,
Lecz lepiej różnych wierszów nie złoży i więcej.
A jeszcze jak wybornych, jak gładkich? pochwały
Nie chcę; lecz Muzy same ze mnąby nie śmiały

Upierać się... Dopieroż do tańca? z Paryża
Tanemistrz fraszka, tak płynę; śpiewając do czyża
Podobnie, głos wycieńczę, wylamię, wywiode,
Wszyscyuteńcy Artysze paśby mogli trzode
Nierogatą, względem mnie... A że nieszczęśliwy
Mądry człowiek, ztąd zazdrość, wielkie na mnie gnięwy“.

Czas tu już był przerwania, więc spytam: czy żyją,
Rodzice, krewni, którym on konsolacya
Mógłby czynić wyborem tych licznych przedmiotów?
„Wszystkim oczy zamknąłem, samem umrzeć gotów,
(Odpowie on) bez mała w wojnę nie uderzę,
Prędką śmierć lub fortuna, mocno temu wierzę,
W rycerskim trybie bywa, są tu regimenta“
Odpowiem: prędko stanie, w skutku rzecz poczęta.
„Bardzo dobrze, któż lepiej (rzecze) umrzeć może
Jak żołnierz za Ojczyznę, za Ołtarze Boże ¹⁾,
Za swobody. Alboż ten ucziwiej umiera,
Którego gubi miłość, ludzkość w pićiu szczerą,
(Już ma ośnowę mowy) niż ten, co w szwadronie
Stojąc, gdy kulę polknie, wnet duszę wyzionie.
Przyczyny śmierci mojej mnie zrobią wspaniałem,
Tamtemu wiecznym będą wstydem i zakąłem:
A do tego nie pewna, co jest napisano
Na Niebie, mamli wygrać, czy zginąć z przegraną?
Któż wie jak kostka padnie, czy lichem? czy cętne?
Różny los wojen ma być, zawsze obojętnem.
To zaś pewna, że kiedy namiot się bogaty
Łupem weźmie, gdy zniszczą fortecę armaty,
Gdy obfita na wszystkich zdobycz się wydzieli,
Któż opowie, jak wtenczas żołnierze weseli.

¹⁾ *Pro Aris & focis*. Za Ołtarze i Kuminy jest to wyrażenie Poetów, znaczy za wiarę i Ojczyznę. *Przyp. autora.*

Możeż się która znaleźć radość tej podobna?
Nadto któżby wyliczył szczególne z osobna
Pożytki wojny; dosyć wziąć to do uwagi.
Że cokolwiek honorów, przydomków, powagi
Tytułów, starostw, tenut, lennych praw — żołnierze,
Dawni nasi dziadowie, przyznać trzeba szczerze.
Z szlacheństwem dla nas dzieci, to krwawo zjednali.
My zaś będziemy odrodni, lękliwi, ospali?“

„Piękne serce (tu chwalić poczynam zamysł
Jego, radzę co prędej, by się nie rozprysły
Te projekta) szczęść Boże nauką i siłą
Spiesz coprędej, wślawiaj się, uczynisz rzecz miłą
Dobrodzieju nam wszystkim, kiedy cię z buławą
Ujrzymy, miej szczęśliwość, opatrność łaskawą“.
On się skłoniwszy rzecze: „pragnąłbym z W. M. Panem
Rycerską służyć razem“. „Nie mam ja z tym stanem
Znajomości, odpowiem. Prócz tego przyrzekła
To mi matka nieboszczka, że nie wojna wściekła
Mnie zgubić ma, nie febra, nie kaszel, nie nogi
Podagrą otrętwiałe mnie zgubią, lecz srogi
Nieprzyjaciół wpędzi mnie, gaduła; do trumny.
Zkąd mi często mawiała, abym był rozumny
W dalszym wieku, i ludzi takiego języka,
Mijał zdala“... Tymczasem i noc się przymyka.
Przychodzim pod Sapielów pałac: tam przypadkiem
Potkał się właśnie z swoim w pilnej sprawie świadkiem,
Który go do sędziego zapraszał na słowa
Zawile, gdzie jeśliby nie stanął, więc owa
W *non sunt* by sprawa poszła. Tu on ku mnie skinie,
A przy ludzkiej pokornie mnie zaklina minie
Bym i ja świadkiem inoś być... Na pocziwość, duszę
Przeklinam się, że prawa nie znam, spieszyć muszę
W mym także interesie... „Wątpliwość mię bierze,
Rzecz on, co mam czynić w teraźniejszej mierze

Przyjacielu, czy ciebie odstąpić czy sprawy“...
Ja skłoniwszy się, radzę, aby ten łaskawy
Respekt jego nie był mu stratą na fortunie.
By mnie raczej odstąpił. On się raptem sunie
I pocznie się zaklinać, że tego nie może
Uczynić, że mi służy i kończy podróżę.
Nawet niedowierzając, uprzedzał mię jeszcze.
„Zatem u wojewody N. (jako sobie wieszczę).
Masz W. M. Pan kredyt? (mówi) zwróciwszy się do mnie;
Ja odpowiadam: „tak jest, zażywam go skromnie.
Pańska łaska, powiadam, na pstrym jeździ zawdy
Koniku: wszak wiesz W. M. Pan o gruncie tej prawdy!“...
Kiedyż pocznie dopiero rozwodzić ogniwa.
Że wojewody krewny, że jemu szczęśliwa
Fortuna zaświeciła, obróciwszy koła,
Że „ku nam krewnym nie chce wypogodzić czoła
Jakby nas nie znał. mija, tak teraz na świecie,
Swoją swojego nie lubi“. Ja milczę, on plecie.
Na koniec odważam się, mówię: „to Pan godny,
Żle go ktoś odmalował, sam będąc odrodny
Od cnoty, pocziwości: komu sprzyja, sprzyja
Szczerze i słowa jego jak Ewangelia“.
„Kiedy tak, wierz mi W. M. Pan że Patrona ze mnie
Miałbyś W. M. Pan dobrego, jeśli mnie wzajemnie
Mógłbyś jemu zalecić; czy w sprawach, czyli to
Do honorów dopięcia, ja bym był sekwito.
Przecież to krew nie woda, poznałby się na my
Osobie wojewoda; a my się trzymamy
I suniemy tymczasem jako chmiel wysoko“.
Najniższe składam dzięki, z pokorą głęboką,
Za dobre serce, ale w tym dworze sposoby
Te są obmierzłe. Każdy według swej osoby
Ma chleb, zapłatę pewną, bogatszy, uczony,
Obrotny, udatniejszy, każdy z swojej strony

Jest kontent, nie szarpie się. Co mnie, co zdoła.
To czyni. „Chwała Bogu, nowina wesola!
(Rzecz on:) Muszę znaleźć względy przy tym dworze“.
Drwię z niego: „A czemuż nie? przy ślicznym humorze,
Przy rozumie, obrotach, przepiszesz dwór cały!
Komużby się przymioty te nie spodobały?“
„Dobrze mi właśnie radzisz, choć by mię wypchnięto.
Kończyć muszę koniecznie imprezę pocztą.
Zabiegę drogę, gdy on będzie przez ulice
Przejeżdżać, wsiedę na koń i w każdej publice
Prezentować się będę, w konwoju, w zawoju.
Jak sługa... Tak Mospanie, bez wielkiego znoju
Nie dała nic nikomu natura od siebie,
Pieczone nie polecą do gęby gołąbie“.

Jużem też zdesperował, już mię głowa boli,
Jużem nie tuszył, bym miał z jego wyjść niewoli;
A tymczasem z gwardyi oficer ubrany
Pięknie, człowiek rozumny, tam gdzie są fontany
Królewskie. zachodzi nam drogę: „A ty taki.
Owaki! pókiż będę od ciebie niesmaki
Te znosił? z ludzi wszystkich ostatni niecnoto,
Pókiż mię szydzić będziesz... Bierzcie go“... Z ochotą
Czterech skoczy dragonów, za kark biorą, duszą.
Prowadzą, zgiełk i hałas zewsząd. Z mą katuszą
Koniec stał się; przecież Bóg wejrzał raz ostatni,
Wyzwolił mię z tych siideł, z niespodzianej matni.
„Adieu“ rzekłem... Właśnie tego było trzeba
Jegomości, gdyż żądał żołnierskiego chleba.





ADAM NARUSZEWICZ

(ur. 1733 † 1796).

I.

Z BAJEK.

Kanarki.

Pewny gospodarz, pan licznych folwarków.
Miał w swym pokoju dwóch białych kanarków;
Oba z nich mieli dziane paciorkami klatki.
Maku, cukru, konopi niezmierne dostatki.
Wodę zawsze, z krynicy, jako kryształ czystą;
Słowem: wszystkiego rzesisto.
Z tym tylko obowiązkiem, aby się uczyli.
Co im piszczałka zakwili:

A pana swego, jak z pola przyjedzie,
Czy przy śniadaniu. czy to przy obiedzie,
Gdy zacznie pić smaczne piwko.
Słodką bawili rozrywka.
Ledwo kilka miesięcy upłynęło. alić
Nie mógł się z nich jednego, kto słyszał, odchwalić,
Tak wszystko ślicznie pojął, co zagrał organek,
Czy to menwecik, czy to skoczny tanek,
Czy mazurka, czy kozaczka,
Nie nie było trudnego dla cudnego ptaczka.
Mało na tem, że śpiewał: kiedy mu na linie
Kazano w orzechowej do góry łupinie
Ciągnąć wodę, lub obrok makowy ze złobem,
Póty się silił to nóżką. to dziobem,
Aż do klatki zawindował.
Pan też go zawsze na rękę piastował.
Pozwalał mu z dłoni jadać,
I czasem na wąsach siadać.
Nie tak się drugi udał: choć równą wygodę
Miał jak kolega, mak. cukier i wodę,
I z kilką drążkami klatkę,
I świeżą zawsze sałatkę.
Nie chciało mu się uczyć, biegał w kątek z kątką,
Każdego ostrym pyszczkiem dotykając prątką,
Aby mógł tylko przez jakową dziurę
Przykrą pożegnać klauzurę.
Darmo chłopiec nadymał organkowe miechy:
Lepiej wróbel świergotał. siedząc koło strzechy,
Niżeli on nieuk śpiewał.
Skakał tylko, psuł klatkę, albo brzuch nadziewał.
Aż też pan rozgniewany, nie widząc poprawy,
Cisnął go kotu buremu do strawy;
Mówiąc: kiedyś niewdzięczny za me łaski ptaku,
Znajdziesz lepsze mieszkanie u matusa w saku

Niechaj ten raczej na świecie nie żyje,
Kto tylko na nim je darmo i pije.

Mości panowie studenci.

Życzę większej do nauk wam przykładać chęci.
Nie traćcie marnie czasu: często się to przyda.
Że szlachcie głupi umrze za piecem u żyda.

Celestyn Kapucyn ¹⁾.

Lata się mienią, lecz nie natura w człowieku.
Póki był w kwitnącym wieku,
I krew we mnie igrała chyża.

Sprowadzałem wyborne fuzyjki z Paryża,
Strzelałem w rybie oko: aż kiedy wiek stary
Począł na tępe oczy wdziewać okulary,
Broń się popsuła: darmo goniąc stada ptasze,
Zrzuciłem frak zielony, odpiąłem kamasze.

Chęć jednak do łowów trwała

Z pierwszego mi nałogu dotąd nie ustała,
Z tą tylko odmianą.

Że co pierwiej myśliwiec wieczorkiem i rano
Biegałem wolnie z rozjazdem lub siatką.
Chwytając to rybki, to skowronki gładko,
Dziś lekkie w gruby habit odmieniwszy sieci,
Czyham, póki tam błędna dusza nie przyleci.
Wyznaję, że ta zmiana bardzo dla mnie słodka.
Oto i ongi przyszła dewotka!

Nic jej: lecz poznałem zaraz z miny

Tej pokutującej dziewczyny,

Że to była złodziejka: — „darmo moje dziecko!
Świętego rozgrzeszenia dotąd nie weźmiecie,

¹⁾ Tę bajkę król Imć wraz z zegarkiem ofiarował JW. Ogińskiego hetmanowej W. Litt. z okazji zdarzonej w jej pałacu kradzieży.

Póki coście bliźniemu wzięli pokryjomu,

Nie odniesiecie w całości do domu*. —

Ona w płacz, w prośby, białe ku mnie rączki składa.

„Ah mój kochany ojcze! powiada,

Wyznaję winę moję, i z tego się smucę;

Ale jakimże sposobem powrócę?

Gdy ukrzywdzony nie chce przyjąć tej kradzieży:

Owszem ustawnie wdycha, i u nóg mi leży,

Prosząc u mnie wzajemnie,

Bym zatrzymała serce, wzięte mu tajemnie*. —

Ja na to: alieć przecie moje dziecko śliczne,

Wiedzieć powinien kapłan rzeczy okoliczne.

O grzechu i o złodzieju —

„Miły mój dobrodzieju!

\ Bardzoście, widzę, ciekawi.

Wszakże gdy ta wiadomość spowiedź mą naprawi.

Opowiem ci dokładnie, coście zapytali.

Zrazu myślny na siebie tylko poglądali

Częściej niżli na drugich, czy on kichnął, czyli

Kichnąć mi się zdarzyło, sobieśmy życzyli

Tylko zdrowia: drugiemu nigdy zgoła, a że

Pan doktor na katary tabaczkę brać każe,

Brałam ją u matuli mojej pokryjomu,

I prócz niego jej zażyć nie dałam nikomu.

On też za to był wdzięczny, dawał mi chusteczki,

I kwiatki, i wstążki, i inne rzeczki.

Potem dalej i dalej*. — Cóż tam dalej przecie? —

„O dobrodzieju! waszeć dobrze wiecie,

Jak to tam bywa, kiedy... dość, że co dzień prawie

Byliśmy sami z sobą na milej zabawie.

Czasem też, choć ja spała, on się gwałtem wdzierał.

I coraz nowym darem drzwi sobie otwierał*. —

„Ale, panienko! czy te miłości ofiary,

Było to tylko jego własne dary?

Czy nie cudza to zdobycz? chciałbym się dowiedzieć. —
„Jam się pytała, lecz on nie chciał odpowiedzieć;
Tylko mi zostawował, i bym wzięła, prosił.
Jeszcze mi coś onegdaj jak nosił, tak nosił.

Były tam złote fafalki.

Aniołeczki mosiężne, jedwabne koszalki,
Żółte firanki, jakieś czerwone obitko,

Któż tam wyliczy wszystko.

Co on tam z sobą włóczył? ażem brać nie chciała.
Dał mi tylko zegarek, jakiego bez mała
Trudno dostać, tak ładny“. — Pokaż, pokaż mi to:
Ach panno! to nie może być dobrze nabyto.
Właśnie też tu gruchnęło o pewnej kradzieży
W pałacu, co tu blisko od klasztoru leży.
Mieszka tam jedna pani, lecz takiej dobroci.

Która nie żałuje i kroci.

Bogdajby wiek pędziła złoty,

Dla sierot, dla ubogich, dla cichej gołoty!
Dobrze nam samym przy niej, wszakże nie nas jednych.
Wszystkich ona strapionych wspomaga i biednych.
Owszem, i tym, co od niej nie pragną jałmużny.

Co wiek trosków pędzą próżny,
Ciężkiemi sobie głowy nie mordując sprawy.

Jak słodkie w jej domu zabawy!

A gdzieżby się oni podzieli.

Gdyby tej pani długo nie widzieli?

Wszak, choć się ona kiedy o pół mili

Na czas krótki z miasta wychyli.

Chodzą jak błędni, smutni jak nocna poczwara.

A wszystko pytają się u bramy janczara.

Że ich jej odjazd często i głodzi i smuci;

Jejmość czy rychło powróci?

Oj taka to pani! równej jej nie mamy.

Wielbimy ją wszyscy i kochamy.

Ponieważ więc twój miły winien tej kradzieży,
Oddać ją, miła panno, czem prędzej należy.

Daj go sam!“ — owoż tu nowy poswarek:

Ja sobie, ona sobie za zegarek.

Ona w nogi, ja za nią: za rękę ją wiodę;

Ona innie cap za brodę.

Aleń wolał i włosy w garści jej zostawić.

I tej się mojej ozdoby pozbawić,

Niżli cię długo, pani, tą utratą sinucić,

I własności twej nie powrócić.

Odebrałem twój zegarek gwałtem:

A kiedyś się nad jego zastanowił kształtem.

Wnosiłem, że ten złodziej umykając z gmachu.

Pelen przestachu,

Gdzieś się w kącie tak otarł biegiem nie ostrożnym,

Że co było okrągłem, stało się podłużnym.

Bądź co bądź, choć może nie stoisz o to.

Jednak to przecie złoto:

A co większa, jest twoje: bierz je, pani. w ręce:

Daruj winę biednej panience,

A na mnie bądź łaskawa, żem się dobrze sprawił:

Wszak dla twojej przysługi brodym się pozbawił.

Ale mi nie żal; dalbym i więcej:

Teraz się będę modlił za ciebie goręcej.

Towarzysz.

Jeden towarzysz pancernego znaka.

(Nazywano go Błażej Sołopiaka)

Cheąc się dać poznać kędyś na popisie.

Zrobił kiereję, i nakrył nią rysie.

Nie każdemu to przystoi.

Co sobie we łbie uroi.

Bo, że był dudkiem i z ciała i z ducha,
Wyszło mu na złe sukno i opucha.
Co go kto spotkał; czy żartem, czy szczyrze,
Mówił: „dzielny bohaterze!
Piękneć to sukno, ale nie tym kształtem.
Musiałeś krawca przynaglać gwałtem,
Że ci nie ładnie uszył kołnierz i rękawy.
Właśnieś teraz z uszyna, jako pies legawy.
Wreszcie, nie taki w modę kierej zwyczaj wzięty.

Powinien być stanik wzięty,
Dłuża nie tak obwisła: niech trochę w okole
Podetnie jej krawiec w dole;
Niech uszczupli rękawów, nadtoczy kołnierza“.

Usłuchał miły Błażej, ale niedoperza
Stworzył z kierei: bo z długą szyją.
Krótkim ogonem, ni to delią,
Ni oponezą, ni płaszcz zrobił,
Śmiechu tylko przysposobil.

Więc rozgniewany, za poradą drugą
Kazał sobie bekieszkę wykroić niedługą.
Lecz, że i w tej nie uszedł śmiechu i cenzury.
Znowu na innej formę przerobił natury
Ów dołoman cudacki; a za każdą miarą
Coraz to wyżej kusy świecił panią starą.
Nakoniec z częstej mody, za ledwo nożyce
Wylatać mu z kierei mogły rękawice.

Tak przez ustawne rządu odmiany
I nasz Polaczek kochany,

Goniąc już prawie ostatkiem,
Świecić będzie... *jo dyn ładkiem*

II.

ZE SATYR.

Głupstwo.

Stultorum plena sunt omnia.

Miedzy głupimi żyjem, głupich znajdziem wszędzie:

Kto z cudzych głupstw nie mędrszy, głupim większym będzie.

Zacny mój przyjacielu, nie wiem, czem się dzieje.
Że człek mędrkiem się czyni, im bardziej szaleje:
Że lubo sam po stokroć godniejszym jest, aby
Klekał w szpitalu między swarliwemi baby,
Rad potrzasa sąsiadem, i żali się na to.
Że jeszcze z szalonymi nie siedzi za kratą.
Patrzno na tego mędrka, na ten łeb misterny.
Co owąchał kawiarnie Paryża i Berny,
Co głowę wymelbował modnemi nauki.
Umie robić pomadę, nastrzępiać peruki;
Zna się na wszystkich zgoła księgach, w jaką które
Czy w cielecą oprawne, czy w baranią skórę;
Dziwnemi się projekty czupryna mu jeży,
Marga jak z Babilońskiej językami wieży.
Chociaż w owym niesfornej gadaniny tłumie,
Gładko się wytłumaczyć i jednym nie umie.
I po to tylko jeździł pocztą za granicę,
Aby przywiózł do Polski modne rękawice?
Czyliż taki latawiec upornie nie trzyma.
Że kto nie był w Paryżu, ten rozumu nie ma?
Lub kto nie trafi obcym szpaczkować językiem.
Siać mu grykę gdzieś na wsi, nie być politykiem.
Jakby to na romansach i na bredniach lada.
Dzielna cnota zawisła, i gruntowna rada:

A kto nie zna Katezby, albo Lancellota,
W rozum i obyczaje prawdziwy gołota?

Owoż za nim i Fircyk utrefiony cudnie.
Legać mu tylko w betach, nim minie południe;
Albo latać, czy błoto, czy kurz na ulicy,
Jeśli który nie mignie kornet z kamienicy;
Aby tam, bies wie jakie, mowy rozpościerał.
A słuchającym gęby tęskliwe rozdierał.
A przecie tak bezwstydną dumą upojony,
Że choć mu się w mózgowni lęgną ślepowrony.
Choć ledwie trafi biedny sens z głowy wyłatać.
Choć mu kozom ogony, nie rymom zaplatać,
Choć mu wierzgać u fary na pniu między żaki, —
Bierze pracownych piórek dzieła na przetaki.
I tonem prawodawczym swoje głupstwo zdobi,
Ganiąc w drugim, czego sam nie zna i nie robi.

A ówże gryzipacierz, wilk w baraniej skórze,
Co kościanemi gałki pobija na sznurze:
Już na wszystkich obrazach polizał pokosty,
Podziurawił łysiną cerkiewne pomosty:
Co się boi przestąpić krzyżyka ze słomy,
A on sam łgarz, i pieniacz, i zdzierca łakomy,
Niewdzięczny dobrodziejom, którzy go z barłogu
Dźwignąwszy na honorów postawili progu,
Pyszna sowa na orlim gnieździe, pęcherz żywy,
Co mu chude wyrównał boki wiatr życzliwy:
Czyliż się za świętego nie udaje czleka.
Że każdego oczerni, każdego oszczeka?
Że, jakby go powszechnym kto zrobił cenzorem,
Na wszystkie stany płytkim targa się ozorem?
Na wszystkich przez skopcone patrzy okulary;
Tnie, czy mu pod kiel młody, czy się namknie stary.
A nabożną opończę kryjąc własne zbrodnie,
Ostrzy miecze na bliźnich, zażęga pochodnie.

Z drugiej strony paneczek bez wiary, bez duszy.
Zabrnąwszy w dzikie błędy ledwo nie po uszy.
Odbiera władzę Bogu występnych karania.
Piekło burzy walecznie, dyabły precz rozgania;
Wdziera się gruby nieuk do pańskiej świątnicy.
A nie wie, co się marzy w jego własnej łbicy,
Więc brzydkiego za model wzięwszy Epikura,
Żyje jak rozbestwiona każe mu natura;
I tak inniema, że po to na świat się urodził.
Aby tylko brzuch tuczył a niecnoty płodził.
Bo u niego na świecie równa wszystkich dola:
Ni człek, ni pies nie idzie w Elizejskie pola.
Powiedzże mu by słówko, że ten twórca nowy,
Ten zuchwały rozwalacz przedwiecznej budowy,
Wznieca chęć do występków, a gasi do cnoty;
Wnet cię on między chytre postrzyże dewoty,
Lub zbywając błyskotnym z kogoś tam wierszykiem,
Nazwie głową szczerbatą, albo fanatykiem.

Jednem słowem, kto by chciał opisać dokładnie
Wszystkich takowych mędrków, — rychłej pewnie zgadnie,
Wiele ruchawy żydek na jeden miesiącek
Nakosztuje zębami u złota obrączek.
Wiele się do szpitala podrzutków przysporzy.
Wiele chorych niebiegły cyrulik umorzy.
Wiele z pańskiego boru chłop ukradnie drągów,
Wiele zdzierca ekonom nachwyta szelągów,
Wiele razy na kozle stangret naklnie pana.
Tłukąc się z nim po nocy od samego rana.
Wiele głodny literat nowin nawytrzęsa.
Nim się zjawi na stole tłusta sztuka mięsa:
Albo (bo któż to zgadnie, i kto to wyliczy?)
Wiele chłopców na kwartał bakałarz oćwieczy.

Lecz po co, jako wróbel na nici napiętej.
Skacząc, odbiegłszy płocho rzeczy przedsięwziętej?

Wybaczenie mi, co powiem. Grecy sapienci,
Że się i wam, jak drugim ludziom, we łbie kręci.
Nie masz nigdzie prawdziwej mądrości na świecie,
Wszystko się po staremu na nim zawsze plecie;
Wszystcy ludzie bez braku chorują na głowę,
Choć jeden wziął funt głupstwa, a drugi połowę.
A jako w głuchej puszczy, którą między krzaki
Różnoprzechodnie zewsząd pokreśliły szlaki,
Błądzą ślepi wędrowcy; i choć w jednym lesie.
Każdego błąd przeciwny w inną drogę niesie, —
Tak się biedny człek kręci, tak obraca młyniec,
Gdzie go wilczyń zawodna myśl wiedzie gościńcem,
I choć się często widział z Paryżem i Rzymem.
Częściej jeszcze w swej głowie zostaje pielgrzymem.
To gorsza, że lubo mu kto chce dobrze radzić,
I na bity tor z krętych manowców prowadzić,
Ani chce błędu poznać, ani prawdy słucha.
Pełen o swym rozumie wysokiego ducha.
I tylko się zdał mylnych kierując ślepotą.
Nie ma wstydu istotnych wad nazywać cnotą.
Więc niechaj z mej nauki ten tylko korzysta,
Komu jeszcze na przestrzał wiatr w głowie nie śwista.
Który jeszcze rozumu do szczętu nie gubi,
I chociaż sam źle czyni, prawdy słuchać lubi.

Te są mem zdaniem mędrca prawdziwego znaki:
Kto jest mądrym, a nie chce mówić, że jest taki;
Który na swym nie zawsze polega rozsądku,
Bo się i najiniedrższemu czasem urwie wątku;
Kto sam na się surowy, jeśli w czym wykracza,
A bliźniego omyłki łaskawie przebacza;
Kto ma oko na siebie, ani się zawiśnie
Nawet z urzędu w obce postęпки nie ciśnie,
Ale jeśli wyciąga potrzeba, upomni.
Pamiętając, że wszyscy ludzie są ułomni.

Lecz złośliwa natura do tego nas wiedzie,
Cudze piszem na głazie, a swoje na ledzie.
I pan i hajduk broi, pan i hajduk pije,
Pan i hajduk niewinnie człowieka pobije;
Równe obu występki: pana nikt nie sfuka.
A pacholecy przy kozie opiorą hajduka.

Każdy sobie pochlebia, każdy mądrym sobie.
Spytałem raz łakomey: „miły panie Jobie.
Jakiż to, proszę, sposób życia u waszeci?
Nigdy się w domu jego kuchnia nie oświeci;
Trzeniaś chatę przed gościem obwarował płoty!
Czy piątek, czy niedziela, na stole suchoty.
Chleb jadasz za pieczyste, rzodkiew za selery.
A pod pomostem dyszą krzyżowe talery.
Gdyby się każdy człowiek z tą naturą rodził.
Jużby dawno świat z torbą między dziady chodził.
Dyabeł to po twej śmierci pewnie powyciąga,
A zły synal na pogrzeb nie da i szeląga“.
„Milcz, odpowie mi, głupcze! niechaj z głodu więdnę.
Wołę prowadzić życie mądre i oszczędne.
U mnie wszystko w pieniądzach: ja gdy patrzę na nie,
I za dobrą mi suknią i za obiad stanie“.

Mówilem raz drugiemu: „mój paneczku młody.
Żal mi, że tak ojcowskie marnujesz dochody.
Całyś dwór pochlebcami i błazny osadził.
Aby z nich każdy tylko o swem dobru radził:
A okleśnwszy pańską z pieniędzy kozieć,
Uszedł bez ópowiedzi zdrajca za granicę.
Do czego się przydadzą te złote karytki,
Te w strojach i napojach niesłychane zbytki?
Na które obarczony ciężkim kmiotek pługiem.
Gmerze w roli do znoju pod groźnymi kańczugiem,
Aby co on w ostatnim przysporzy ucisku,
Zjadał niktzemny próżniak na jednym półmisku“.

Chciałem mu coś przytoczyć o jego pradziadu.
Lecz mię on „głupcem“ chlusnął przez łeb bez układu.
Więc z takową od kilku odszedłszy odprawą,
Że ja sam, com to mówił, main głowę dziurawą:
Będęz łajał wzajemnie: a czytelnik baczny
Niech osądzi, jeżeliin w zdaniu mym opaczny.

Głupi, kto się bez serca i bez sił junaczy,
Kto języka nie umie, a książki tłómaczy,
Kto dobiera nie podług stanu swego żony,
Bo albo sam gryźć musi, albo być gryziony;
Kto z kości zysku szuka, z kart fortunę kleci,
Bo co mu z wiatrem przyszło, to z wiatrem uleci;
Głupi, kto chce mieć kredyt przez same wykręty,
Komu huczno w czuprynie, chociaż zimno w pięty.
Głupi, kto z wydatkami przychodu nie mierzy,
Kto się łąda czem trwoży, łąda czemu wierzy.
Kto kupuje na kredyt; a podobno i ty
Kupcze, co gołyszowi dajesz na kredyty.
Głupi, który po szkodzie żałuje utraty,
Który wyśmiardle babsko bierze dla intraty.
Głupi, kto się bez głowy w sprawy główne wtrąci,
Bo je miasto porady bardziej jeszcze zmaci,
Kto się na kredytora swojego komosi,
Że go albo o procent, lub o sumę prosi.
Kto formuje projekty tylko na papierze,
Kto nie kończy roboty, gdy ją przedsiębierze,
Kto ścisłą poufałość zabiera z nierównym,
Kto z księgi gospodarzem, ze szkoły wymownym,
Kto się nie tem, do czego urodził, rad bawi,
Kto wtenczas prawdę mówi, kiedy nie poprawi.
Kto na gminu prostego gadania uważa,
Kto się o łąda słówko i żarcik uraża,
Kto... lecz mi już i karty do pisma nie staje:
A podobno z poboczy słyszę, że ktoś łaje.

Wybaczenie mi, panowie! jeśli dalej trochę
Uniosły mię do rymów chęci wiatropłochę.
Zwyczajna to poetom i muzykom wada:
Jeden czasem gra nadto, drugi nadto gada.

Chudy literat.

*Któż się nad tem zadziwi, że wiek jeszcze głupi?
Rzadko kto czyta książki, rzadko je kto kupi.*

A cóż to mój uczonochudy mości panie?
Już to temu dwa roki, jak w jednym żupanie
I w jednej kurcie widzę literackie boki!
Sława twoja okryła ziemię i obłoki,
Że cię miały w kolebce Muzy mlekiem poić,
A z niej, widzę, że trudno i sukni wykroić.
Nie pytam, jak tam twój stół i mieszkanie ma się?
Podobno przy gnojowym blisko gdzieś Parnasie,
Apollo ci swym duchem czezy żołądek puszy,
Szelağa nie masz w wacku, a długów po uszy.
Z tem wszystkim, pod pismami twemi prasy jęczą,
Ledwo cię pochwaluni ludzie nie zamęczą,
Żeś ozdoba narodu, pszczołka pełna plonu
Cukrowego, pieszczota, oczko Helikonu,
Kwiatek, perła, kanarek, słońce Polskiej ziemi. —
„Przestań mię, miły bracie, szarpać żarty swemi.
Mam dosyć ukarania; wszystkom stracił marnie,
Żem się na mecenasy spuścił i drukarnie.
Te ostatni grosz za druk z kalety wygonią,
Tamci dość nagrodzili, kiedy się pokłonią.
Nie pokupny dziś rozum; trzeba wszystko strawić.
Kto go chce na papierze przed światem objawić.
Pełno skarg, że się gnuśny Polak pisać leni,
A niemasz ktoby ściągnął rękę do kieszeni.

Nie masz owych skutecznych ze złota pobudek:
Więcej szalbierz zyskuje, albo lada dudek.
Co pankom nadszakiwa, lub co śmiesznie powie,
Bo on za swe rzemiosło podarunki łowi.
A ty biedny swe pisma, opłaciwszy druki,
Albo spal, albo rozdaj gdzie między nieuki;
Żeby z nich mogła imość, gdy przyjedzie Jacek
Ze szkoły, czem podłożyć z rodzenkami placek.

Wolałbym się był lepiej bawić maryaszem.
Chodziłbym, jak pan Pamfil z oprawnym pałaszem:
Kołpak by mi łysinę soboli nakrywał,
A rys z pod brandenbury bujny połykiwał.
To mi to kunszt zyskowny: często w jednej chwili
Człowiek się pod pieniędzmi ledwo nie uchyli;
A czego ni wypisze przez rok, ni wyczyta,
Jedna mu da fortunę w kartach faworyta.
Mój zaś bożek Apollo za usługi krwawe,
Dał mi w nagrodę szkapsko, Pegaza, włogawe;
Który nie z jednym pono, jak się często zdarza,
Na popas do świętego zabłądził Łazarza.
Ostatnie to rzemiosło, co prócz sławy kęsa,
Nie nie daje autorom: ni chleba, ni mięsa,
I żyć każe sposobem prawdziwie uczonem:
Wodę łykać, a wiatrem żyć z Chamaleonem.

Gdybyć to kupowano księgi, toby przecie
Człowiek jaką łachmanę zawiesił na grzbiecie.
Każdy chce darmo zyskać; jużbym mu ustąpił
Rozumu, byle tylko za papier nie skąpił.
Lecz w naszym kraju jeszcze ten dzień nie zawitał,
Żeby kto w domu pisma pożyteczne czytał.
Jeden drugiego gani, że czas darmo trawi.
Mówi szlachcic: „czemu ksiądz księgą się nie bawi?
Jemu każe powinność na to się wysilać,
By nauką i pismem zdrowem lud zasilać:

Jemu za chleb w Ojczyźnie prędszy i obfity,
Tą posługą zawdzięczać rzeczypospolitej.
Alboż mu to o żonce z dziećmi myśleć trzeba?“...
A ksiądz: „toć szlachciec sobie sam nie robi chleba.
Sto pługów na jednego pasibrzucha ryje:
Pewnie się on za dobro pospolite bije?
Nie uziębnie na mrozie, na deszczu nie zmoknie:
Siedzi w zimie przy ogniu, a w lecie przy oknie,
Gadając z panem żydem, kto w karczmie nocował.
Wiele śledzi wyprzedzał, wódki wyszynkował.
Mógłby też co przeczytać, a z odętym pyskiem
Nie być tylko szlachcicem herbem i nazwiskiem.
Osobliwie, że mu się nie chce panem bratem
Być prostym, ale posłem albo deputatem.
Nie pięknie to, że sędzia nie zna prawa wcale.
Chociaż jaśnie wielmożnym bywa w trybunale:
Ani ów poseł z wielką przyjeżdża zaletą.
Co tylko na podatki głośne ryknie *Veto*.
Nie straszny też to u mnie taki podkomorzy.
Co na hipotenużę wielki pysk otworzy:
A co ma sprzeczne z sobą rozmierzać granice,
Ledwie zna nieboraczek cerkiel i tablice“.

Tak się oni spierają; po staremu przecie.
I ten i ów nie wiedzą nic o bożym świecie.
Każdy mówi, iż nie ma czasu do czytania,
Każdy się swą zabawą od książki zasłania:
Chłop ma co robić w polu, a rzemieślnik w mieście,
Mnich zabawny swym chórem, lub chodzi po kweście.
Ksiądz: „lecz ja nie chcę z takim państwem mieć poswarki“.
Kupiec łokcia pilnuje, lub zwiedza jarmarki;
Palestrant ginerze w kartach, co je strzygą mole:
Szlachciec pali tabakę, lub łyka przy stole;
Dworaczek piętą wierci; żołnierz myśli, kędy
Karmnik z wieprzem, sér w koszu, a z kurami grzędy.

Pan suszy mózg nad tuzem, i wymyśla mody;
Kobieta u zwierciadła, póki służy młody
Wiek, siedzi; a gdy starsze przywędrują lata,
Cudzą sławę nabożnym językiem umiata.
Stary duma jak mu grosz jeden sto urodzi;
Młokos wiatry ugania, i białą pleć zwodzi.
A z tej liczby zabawnych, można mówić śmieie.
Chłopi tylko a kupcy są obywatela.

Słyszałem ja, gdy pewny szlachciec do Warszawy
Przybył, dla pewnej ze swym proboszczem rozprawy,
Który go za wytyczne wyklął z kazalnicy.
Ujrzał sklepik z księgami na farskiej ulicy.
Dziad je jakiś przedawał. Spytał na przechodzie:
„A nie wyszło też jakie dzieło w nowej modzie,
Bym je zawiózł dla dzieci? Dobrze to nawiasem
I samemu przy piwku co przeczytać czasem.
Teraz jest świat uczony: daj Boże! pocziwy
Żeby był, a poprzestał już wyrabiać dziwy“.
„Mam, odpowie starszek, i różnych i wiele.
Są kazania na święta i wszystkie niedziele“. —
„Zachowajcie dla księży, mój bracie. boć lepi
Z karty dobrze powiedzieć, niż co drugi klepi
Dyabeł wie co, z pamięci na święconem drzewie;
A tego co powiada, sam, i słuchacz nie wie“. —
„Mam wydane go teraz niedawno Tacyta“ —
„Niech go sobie sam miły pan autor przeczyta.
Nie masz tam nic śmiesznego: to pisarz pogański“. —
„Więc wacpan racz dla śmiechu kupić „Sejm szatański“. —
„To pewnie po Radomskiej co nastąpił radzie?“ —
„Ej nie; tu w czarnej siedząc Lucyper gromadzie,
Słucha biesów, aby mu rachunek oddali,
Wiele ludzi po świecie pooszukiwali,
Wiele niewierny patron spraw wygra niesłusznych.
Wiele ktoś nawyłudza złotych zadusznych.

Wiele łez pan wycisnie z poddanych okrutny,
Wiele biesów naliczy szuler bałamutny,
Wiele plotek po mniszkach, próżności po damach,
Obietnicy u panów. a łgarstwa po kramach“. —
„To coś bardzo strasznego! — „Owoż arcy śliczna
Książka, co tytuł *przyjaźń* ma *patryotyczna*“. —
„Musí to być szalbierstwo: teraz patryotę
Ten tylko, co do siebie zewsząd garnie złoto.
Miłość dobra Ojczyzny w księgach tylko stoi:
Každy się w sobie kocha i o siebie boi,
Żeby mu kordon jakiej nie zagarnął wioski,
Waląc wreszcie na króla i winy i troski“. —
„Są wiersze“. — To błazeństwo“. — Są też Polskie dzieje“ —
„Bodajbyście wisieli na haku, złodzieje,
Żeście w wieczne swój naród podając pośmiechy,
Powyrzucali z kronik i Wendy i Lechy“. —
„A o gospodarstwie też będzie wziąć co wola?“ —
„I bez książek pszenicę rodzi moja rola“. —
„To o rządzie Europy? — A mnie bies co po tem.
Jakim się cudze sprawy wiją kołowrotem.
Ja wiem, że u nas sejmik będzie na gromnicę.
A jarmark na Łucyą świętą męczennicę.
Nie baj miły staruszk: trzeba dla mej pani
Dryakwi, co od złotej noszą Węgrzy *Bani*.
Dwa razy tylko była mi w Warszawie, alic
Nie może biedna spazmów od siebie oddalić“. —
„Takie rzeczy w aptekach“. — „Więc przecie, mój bracie,
Drukowane jej w sklepie opisanie inacie. —
„Cóż więcej?“ — Kalendarza: — „jakiego?“ — coby
Uczył, czy będą u nas. i jakie choroby
W tym roku: jeżeli pokój, czy będziemy mieć wojnę;
Czy głód. czy urodzaje obaczymy hojne? —
„Jest mały kalendarzyk“. — „Ten to zdrajca. który
Poodzierał szlacheckie nazwiska ze skóry:

Co nigdy nie napisał, aż mię serce boli!
Lubom za przywilejem Wendeński podstoli.
Będę się, chyba że mię śmierć ze świata zdejmie,
Publicznie protestował za wzgardę na sejmie:
By mi go zerwać przyszło"... Tak po targu sprzecznym
Dawszy tyńfa rudego z mieczem obosiecznym.
Poniósł bibliotekę na ładunek głowy:
Receptę do dryakwi, i kalendarz nowy.

Owóz masz literata! Niejeden to taki.
Co woli w domu czytać szpargał ładajaki.
Lub zbijać tylko grosze, by je pan syn stracił:
Niż gdyby rozum pięknem czytaniem z bogacił.
Więc jako też kto czyta, tak potem i prawi:
Pali Euksyn, na piaskach papierowe stawia
Okręty; bohaterów na powietrzne sadowi
Wozy, i przez obłoki gryfami prowadzi;
Zamienia ludzi w wilecze przyodziawszy skóry.
Nosi baby na łyse przez kominy góry:
Widzi Abła z Kainem na miesięcznej zorze.
I solone syreny prowadzi przez morze.

Mądrego nic nie pytaj, lecz to gorzej szkodzi.
Że co czynim, o srogie szwanki nas przywodzi.
Jednym gnuśne stępiło umysł próżnowanie.
Drugi rozum i serce utopił we dzbanie.
Ów się tylko pieniactwem szarga, a z sąsiady
Ustawicznie o łada zagon wszeczyna zwady.
Ten pańskiej pacholkując dumie i zawiści,
Zwodzi, kłamie, namawia, a nuż co skorzyści?
Istny płód Proteusza: gotów dla mamony.
Temu, co go wprzód zdradził, niskie bić pokłony.
Tamten całe swe szczęście na kartach zakłada,
Lub lata po wizytach i obiady zjada.
Pełno ludzi zabawnych: zdaje się coś robi
Każdy, i do usług się Ojczyzny sposobi.

Lecz kiedy jedno ciało zrobisz z tej gromady,
Ni serca do czynności, ni mózgu do rady.
Drugi gadać nie umie: ba i cóż on powie?
Nic nie czytał, nie myślił: same wiatry w głowie,
Albo pycha szalona, że swe antenaty
Od Trojańskiego jeszcze zasięga Achaty;
I siedząc nad herbarzem z nosem osiodłanem,
Pochycha, że pan przodek jego był hetmanem.

Dziękując, myśli zacna, z czyjej to pobudki,
Berła muzolubnego dobroczynne skutki
Kalendarz tegoroczny przy końcu objawił:
Jakim który swój dowcip pisinem autor wślawił.
A nuż w tych litaniach i moje ramoty
Obaczywszy, kto rzuci z ciekawości złoty.
Tak się przynajmniej człowiek na zimę ogarnie;
Przestaną go ze skóry odzierać drukarnie.
Przestanie kiedyż tedyż być uczonym golcem,
Wkroczywszy w ścisłą przyjaźń z księdzem Bohomolcem.

Reduty.

Minął stary mięsopust, minęły ostatki,
Pozamykać kazali księża mięsne jatki:
Śledzie tylko a stokfisz wzywa do pokuty.
Cóż to? czy się i w poście nie kończą reduty!
Groza, zemsta, zgorszenie, grzechi nieodpuszczony:
Wołaj, ojcze Pafnucy, co gardła, z ambony!
Pełno masek po mieście, że zaledwo prawie
Trzecia część w bałamutnej nie chodzi Warszawie.
Gdzie stąpisz, to twarz obca: rzadki człowiek. coby
Rodowitej maszkara nie ukrywał doby;
A w czem stan, przyrodzenie i wiek jego płaci.
Wyrytej twórczą ręką trzymał się postaci.

Chudoba się w przepysznych złotogłowach pisze,
Głupcom się filozofskie z brody bielą wisze.
Białki siedzą na koniach; a co chłop, to baba:
Serca pasz, statku mało, myśl i ręka słaba.
Starcy się przedzierzgnęli w dzikie Pantalony,
Z młokosów arlekini z lisiemi ogony.
Na księżach Bachusowe porosły jagody,
Nosy jak winograpy. brzuchy gdyby kłody.
Płochosć, duma. interes. bal tu wieczny dają;
Skacze Polak na jednej nodze, obcy grają.
Owo świat się przewrócił. czy też ludzie na niem:
Jak widzę, wkrótce innem stworzeniem się staniem.
Nie trzeba szukać Cyrcy w bajecznym Homerze.
Co twarz rozumną w nieme zamieniała zwierze.
Chcesz widzieć pełne zwierza różnego obory,
Przebież nasze ratusze, pobożne klasztory.
Odwiedź izby sądowe, przedniejsze urzędy:
Pod czapki sobolemi, i pod rewerendy
Ujrzysz dziwy; a wołaj. padłszy na kolana:
„Woły, osły i wszystko bydło. chwalcie Pana!“
Śmiejesz się, miły Walku, i słysząc te mowy,
Myślisz pono, że mi się kręci pośród głowy
Mózg zagrzybny konewką, lub żem filut stary.
Ciarlatańskie wdział sobie na nos okulary?
Tak ci to prawdę łają za ostre zaczepki:
Upił się, czy mu w głowie nie dostaje klepki!
Zdrowym jest, dzięki niebu! na duszy i ciele:
Przyznał to mój jurysta w *Oculi* niedzielę,
Gdym fałszował dokument: że rękę od drżączki
Mam wolną do skrobania, a łeb od gorączki.
Ba owszem i na dowód oczywisty, że cię
Nie łudzę, staniem oto na blizkim tu terenie,
Gdzie się różne ulice krzyżując prowadzą
Do zamku i do fary: bo tu się gromadzą

Najlichniej ređutnicy, aby w kařdej chwili
Boga, króla, przyjaciół obludą zwodzili.
Obaczyć tam najwięcej w barwianym pozorze.
Hypokrytów w kościele, a zdrajców na dworze.

Owoż masz! jedzie w modnej jegomość karocy:
Ma parę takich na dzień, a jedną do nocy.
Co za przepych na koniach! co za szór i siatki!
Móglby za nie wyżywić i żonę i dziatki
Nie jeden biedny rolnik, co się długo pocił.
By pan gnuśny z łez jego grzbiet szkapi ozłocił.
Wygląda, by święta kość z kryształowej skrzynie:
Po sukniach, ekwipażu, i po hojnej minie
Powiedziałbyś, że to pan: istnać to gołota
Kryje się wśród jedwabiu i jasnego złota.
Zostawił ci mu ojciec, smażywiecheć szczery.
Jedząc chleb za pieczone, rzodkiew za selerę.
Kilka włości obszernych, jak testament pisze:
Teraz się przy nim tylko został klucz *Hołysze*,
Wioseczka *Pożyczanka* z karczmą *Nieoddaję*;
Reszta poszła, chwalebnyin świstaków zwyczajem.
Na oferty miłosne, na smaczne obiady.
Na fabryki rozkoszne z pochlebców porady.
Na dwor z łuszczybochenków nikezemnych złożony.
Jeździł nie wiedzieć po co raz do Barcellony.
Dwukroć do Włoch; dwa razy i Londyn i Bernę
Odwiedził, z kął nam jedną przywiózł ficygernę
Z kilką modnych wachlarzów: wionęły pieniądze:
Pycha tylko została i niesforne żądze,
Jakby dawną utrzymać choć w nędzy figurę.
Zaledwo mu dłużnicy nie obedrą skórę.
Nie masz kupca, patrona, i klauzury mniszej.
Lub kędy utajony kapitalik dyszy.
Żeby go nie wymodlił, wypłakał, wymęczył:
Czy mu kto łada łajdę i błazna nastreczył.

Że mu sumkę z szachrajstwa długiego nabytą.
Czy piwkiem robi sobie zysk i akwawitą.
Wnet doń posły wyprawia o jej pożyczanie.
Zawinąwszy w papierek honor i sumienie.
Teraz u kominiarza stu talarów szuka.
U stróża wziął dwanaście, dziesięć u hajduka.
Dziesięć z płaczem wycisnął, co pod świętym Janem
Przedaje baba krupy, siedząc pod straganem.
Ten, co był wczoraj u nas czy ongi, zda mi się.
Jego to z pod delii żyd przetrząsał rysie:
Lokaj nosił komodę z angielskim stolikiem,
Rajfura jakiś tacę i kubek z imbrykiem;
Murzyn pierścień machlował, a w galony modnie
Szachowane wisały na ulicy spodnie.
Szedł krawiec, a nie wiedząc zażalony, co rzec.
Westchnął nabożnie: „tenże to wisi proporzec,
Com go uszył niedawno hrabi jegomości“:
Chciał go drągiem do dyabła poszarpać ze złości.
By respekt nie oddalił zuchwalstwo niezbożne.
Że to przecie powłoki są jaśnie wielmożne.
Czem jeździ, w co się stroi, gdzie mieszka, czem płaci:
Cudze to są nabytki, jak owa w postaci
Nadolnych się piór kawka próżna chluba jeży.
Ano gdyby tu każdy do swojej łupieży
Rękę ściągnął: szewc zerwał niepłatne trzewiki.
Kupiec porwał za suknie, szmuklerz za guziki.
Włoch czuprynę z nienacka nabawił napaści.
Że mu z pudrem pachnącej nie zapłacił maści,
Więc i drudzy dłużnicy poczęli się srożyć,
Możnaby go, jak świątka, na ołtarzu złożyć;
Że światowych marności nie chcąc dalej zażyć,
Dał się z pana odartus zupełnie obnażyć.
Jeden sposób ratować nikczemne bankruty,
(Wszak w jednej chłodzą sforze chciwość i rozrzuty)

Mać prawa, zniżaj lichwy, zdzieraj wszystko gwałtem:
Przyjdąc z cudzej chudoby pieniądze ryczałem.
Najlepiej kielby chwycić pomąciwszy wody.
Łotr złotem, wilk połyska siercią z cudzej szkody.
Znowu się nadmiesz pierzem, gołoto obrzydła,
Wyrwawszy Polskim ptakom i ogon i skrzydła.
Najpewniejszy to sposób do wszystkiego mienia:
Chciwość, przemoc bez kary, rozum bez sumienia.

Czy widzisz, jako za nim huczny junak chesze,
Mars z oczu jak ze skałki skry wojenne krzesze.
Strach mu po lewej ręce, a rozbój po prawej;
Pewnie się do walecznej zabiera rozprawy.
Dał parol pod Marymont: ni ustąpi kęsa.
Póki się przeciwnego nie narąbie mięsa.
Sierdzisty to bohater, i niezwyciężony!
Widziałem, kiedy błotem z dachu gonił wrony:
Żyd mu z drogi ustąpił; a jak ciał bulatem.
Sto głów spadło pokrzywnych pod jego palcatem.
Jedną kryse od koni nosi znak pijaczy,
Drugą wziął, gdy włosienie rwał z ogona klaczy.
Kawaler też nie lada; gdy koń pod nim stąpie,
Łydki mu się kołacą, jak na żerdzi kąpie:
Siedzi na nim, by ów ptak wronopopielaty,
Co szczeciste w korycie ujeżdża bachmaty.
Mina gęsta, a serce, chyba przyjdzie kiedy
Bezbronne na sejmiku uganiać czeredy.
Albo krzesać szabelką na ulicy, póki
Z runtem kozozaciężnym nie nadejdą kruki.
Przy kuflu za Ojczyznę łba nadstawia chutnie;
Gotów umrzeć, a czemu? że mu nikt nie utnie.
Słyszysz, Marsie maskowy, jakie czynią trwogi
Huczne kotły na koło, i miedziane rogi?
Już Tatarzyn w granicę puścił swe zagony,
Wsie pali, zdziera domy, młode gwałci żony?

Czas ruszać, siodłaj konie, bierz się do szyszaka!
Lecz ty pono z pozoru tylko hajdamaka.
Zachorzałeś; ledwo cię widać pod drylichy,
Albo dyszysz ukryty między bure minichy.
Przyszło ci się w karmniku zgniłym życiem bawić,
Gdy za kraj i monarchę trzeba pierś nadstawić.
Zrzuć tę larwę, nieboże! lepiej się umieści
Kaptur na twojej głowie, lub kornet niewieści.
Oddaj dzikim Sarmatom kirys i przyłbicę;
Były pod ich szabliskiem nietknięte granice.
Kiedy zgodni, porządni, twardo wychowani
Miłośnicy swych królów, i wierni poddani,
Bez ślifów i oliwek, choć w prostym pakłaku,
Panowali od źródeł Dniepru do Krępaku.

A to co za parada wali niezliczona?
Jest to pierwszy minister króla Faraona.
Idzie z pocieszną wieścią do pana, iż więcej
Pobił dusiów w Warszawie, niżli sto tysięcy.
Tu wiecznej plac potyczki, jak Chocim i Żwaniec,
Gdzie się zawsze z Polaki ucierał pohaniec.
Ma nasza młódź waleczna, ciągnąc z każdej strony,
Moc kruszcowych rekrutów na karciane gony.
Już się też ich przebrało: za grenadyery
Dukaty wprzód stawaly i mężne talery;
Teraz tylko złotówki: przecież się zaciąga.
Wkrótce nie będzie widać na placu szeląga.
Kmiecie, żydy, przekupnie, kupce, miast mieszkańce
Wszystkicheśmy złupili na takie wybrańce.
Choć srodze marnotrawiąc krajowe dostatki.
Wrzeszczymy, kiedy przyjdzie mowa o podatki.
Nie widziałeś takiego, jako żyw, widoku;
Ten, co kijem uprzęta ciekawego tłoku.
Piorąc zawadne chłopcy ze drwami i słomą,
Jest to dworu ministra Pamfil *major-domo*.

Za nim po Amazońsku wysmukłe jak lalki,
Piątki, szóstki, dziewiątki, ósemki i kralki:
Toż tryszaki, kwindecze, karczmy, pancerole,
I lombry, i trysety walą w różnym kole:
Niżniki za lokajów, sążeniste asy
Z długiem za karetą stoją szabeltasy.
Kinal siedzi na koźle, a od złota rzędne
Ciagną zwycięzki rydwan dwa tuzy żołędne.
Pozad pełno halsztry nadwornego znaku,
Nędza bosa, bez czapki, w odartym kubraku;
Brudne przekleństwo, rozpacz z czołem w ziemię wrytem.
Zwada z bindą na głowie, a okiem podbitem:
W jedwabnych rękawiczkach złodzieje i zdrajce.
Podłość w burce, a kłamstwo w mienionej kitajce.
Nakoniec strata czasu, kredytu i ławy,
Gotowa od dłużników uskrobać z Warszawy.

Owoż się na ulicy słodko z mnichem wita,
I w szkaplerz go całuje. Jest to hypokryta,
Jaki mógł być na świecie: że księdza Dryganta
Często winkiem podsycił, obil predykanta,
Utopił dwie czarownice, a wierzy w upiory.
Gnuń mu za życia świętych wyrządza honory.
Bodaj tymże, co postać, myśl chodziła tokiem,
Oczy nie szły za niebem, ręce za tłumokiem!
Słyszałem, jako sypie na klasztor jałmużny.
A drzwi każe zamykać, będąc kupcom dłużny.
Na jednych liczy galkach procent i paciérze,
Dziesięć *zdrowych*; a od summ po piętnaście bierze.
Szarga sławę bliźniego zaraz po koronce;
Gorszy się, a sam w cudzej kwerenduje żonce.
Piątek suszył o grzankach, pił jak byk w niedzielę;
W wieczór był na nalewkach, a rano w kościele.

I to mem zdaniem idzie pan maska nielada,
Co się być przyjacielem każdemu powiada.

Ogon węgorzy w ręku. wietrznik na stodole,
Bocian lata miłośnik, słodki kwas w rosole.
Ni ciepły, ani zimny; na dzień kilka razy
Odmienia się, jak owe u Włochów obrazy.
Co mu głowę wywrócisz, to twarz zawsze ina,
Gdzie była pierwaj broda, tam leży czupryna.
Chwalca enoty, u kogo tuczne sosy zjada;
Jutro nań u innego stołu opak gada.
Rękę ściska, gazetne w ucho baśni kładnie;
Maca, aż co z języka biednemu wypadnie.
A z tem lecąc pędziwiatr od kąta do kąta,
Mniemanem przyjaciółstwem serca ludzkie pląta.
Potrząsa charakterem, jak żyd starym fantem;
Wezoraj był rojalistą, dziś republikantem.
Słowa mu na dwór ciekły, jako z pełnej beczki;
Dziś chwali: jezuickiej chce mu się wioseczki.
Napisał panegiryk; a gdy się zawiedzie,
Krzyknie: „nie masz tu zasług!“ i do Włoch pojedzie.
Miły Chamaleonie! coć do jednej skóry
Lgnie kolor czarny z białym, z granatowym bury;
Bądź mi nieprzyjacielem oczewistym raczej,
Nie będę patrzył na cię, ni trzymał inaczej.
Nie podlewaj mi cukrem mąki na pół plewniej;
Lepszy nad słodką zdradę nieprzyjaciół pewny.
Lepsze nad obustronny ołów stalne harty:
Wpadłem w dom słoną kryty, minąłem otwarty.
Idź z Bogiem zwodna masko, a daj miejsce drugiej.

Owoż jedzie madama Romelskiemi cugi;
L'abbé siedzi na przedzie, na bał musi spieszyć:
Właśnie w szczęśliwym kraju jest się z czego cieszyć!
Dzięki tobie, płci słodka! że nie czuję przecie,
Jako nas z każdej strony los przeciwny gniecie.
Śmiech serca opanował Sardoński: przy zgonie
Cieszym się; brzęczy mucha, kiedy w miodzie tonie.

Zdjąwszy z berła strach kary i cnoty obronę.
Bierzem z niego płochości z nieczulstwem zasłonę:
Jakby promień słoneczny mógł blaskiem połudnym
Strzelać dzielnie, zakryty chmur płaszczykiem brudnym.
Z łaski waszej na nowo mamy świat stworzony:
Gdy w pierwszej niewinności wspólne były żony.
Żaden się nie obawiał, że wilk kozy dusi,
W cieniu z duszkami swemi leżeli pastusi.
Wstyd jest karą sumienia; u nas go nie wiele:
Nałóg z występków cnoty porobił modele.
Wy nas mądrym bawicie często świegotaniem.
Gładząc umysł Sarmacki różnych znajdywaniem
Rozrywek i mód przednich; jak piskliwie śpiewać.
Kształtne dobrać guziki, różne szaty wdziawać.
Udawać na teatrach; i zwykać powoli,
Że nas zdrajcą, szalbierzem, gnuśnym być nie boli.
I tyle czucia mamy na ojczyście zgony,
Jak ten, co z teatralnej wychodzi zasłony:
Udawszy bajkę obcą, więcej łyzy nie kanie;
W równych względach u niego Polska i Trojanie.
Już dziś nie słyhać kotłów i chrapliwej miedzi:
My tańczym, biją w bębny ogromni sąsiedzi.
Tam Mars, u nas Wenera, rzadko widzieć, aby
Który z młodzi szlachetnej końskie cisnął schaby.
Rozpieszczone ciałeczko utłacza karety;
Fartuch u niej chorągwią, proporcem kornety.
Lecz widzę, że przeczekać tej parady trudno:
Napasłeś wzrok i umysł procesyą nudną.
Miły Walku! czas siodłać konie. a do domu
Spieszyć dla siania hreczki, choć dyabeł wie, komu.

III.

Z LIRYKÓW.



Nic nadto.

Miłość się ludzka na nadziei wspiera.
Ochota rośnie, kiedy zysk odbiera.
Powagę panów utrzymuje władza.
Miałość dowcipu roztropność nagradza.
Kredyt od cnoty zawisł, a ufności
Żaden nie zjedna sobie bez wierności.
Chceszli mieć zdrowie, żyj z pomiarkowaniem.
Dowcip się krzepi ukontentowaniem.
Dowcipu sama łatwość jest początkiem;
Chcesz ją otrzymać, czyni wszystko porządkiem.

Więcej płeć białą zdaniem mem zaszczyca
Wdzięk przyrodzony, niżli piękność lica;
Większe pisarzów o wybór staranie
Słów niżli rzeczy, podlega naganie.
Kto chce zupełnie być uszczęśliwionym,
Więcej pocziwym ma być, niż uczonym.
Więcej przyjaciół, niżli miłośników;
Więcej niech ma cnót, niż umie języków.
Więcej niech będzie zdrow, niżli bogaty.
Więcej o pokój dba, niż o intraty.

Mały folwarczek nie dłużny nikomu;
Mały ogródek, mały stolik w domu,
Mały a rzeźki chłopiec do posługi.
Mały koniczek i jeden i drugi;
Mały sąsiadów poczet, a pocziwy.
Gdy to mam wszystko, prawdziwie szczęśliwy!

Lubię się ogrzać, nim zima przeminie,
W małej izdebce, przy małym kominie.
Lubię też bywać na takim obiedzie,
Kiedy nas kilku przyjaciół się zjedzie;
Gdy jemy smaczno z małego półmiska;
Gdy stare wino z małych flaszek wytryska.

Z takowej mowy to się więc dowodzi,
Że wszystko, co jest *nadto*, człeku szkodzi.
Małeć to słówko, lecz każdy obaczy,
Jakoć jest mądre i jak wiele znaczy.
Nadto spoczynku moc osłabia duszy;
Nadto hałasów, często ją ogłuszy.
Nadto obrotów, cudze drze szkatuły;
Nadto spokojny, gnuśny i nieczuły.
Nadto kochania często rozum miesza;
Nadto lekarskich proszków śmierć przyspiesza.
Nadto subtelny dowiecip oszukiwa;
Nadto surowy pan tyranem bywa.
Nadto skrzętności łakomstwem się zowie;
Nadto odważni często zuchwalcowie.
Nadto dóbr, ciężar wielki; a kto liczy
Nadto honorów, ma stan niewolniczy.
Nadto rozkoszy łacno w grób wprowaduje;
Nadto rozumu często rozum psuje.
Nadto ufności w zgubę nas wprowadza;
Nadto otwarte serce siebie zdradza.
Nadto obietnic rzadko się uści.
Nadto kto zbiera, nigdy nie zkorzyści.
Nadto mówiący zawsze się wygada.
Nadto żartować z kogo, pewna zwada.
Nadto powagi, hardości jest znakiem;
Nadto gdyś dobry, nazwą cię prostakiem.

Nadto ulegać komu, poniżenie;
Nadto wykwentów czynić, obrzydzenie.

Ale to *Nadto* jeśli się okryśli
Prawem rozumu, pójdą rzeczy k'myśli;
Wszystko się dzieje źle z użycia złego,
Wszystko zawisło czasem od *niczego*.
Nie gardź tem niczem; często bowiem bywa,
Że wiele dzikich rzeczy stąd wypływa.
Sprawa u sądu, wojna i kochanie,
Często z *nie* naglej podlega odmianie.
Jednem *nie*, pierwszym u dworu kredytem
Zaszczycon będziesz, i dam faworytem.
Jedno *nie* skryte objawi przymioty.
Jedno *nie* w mózgu zrobi kołowroty.
Jednem *nie* czasem dostaniesz pieniędzy,
Jednem *nie* z pana będziesz w ciężkiej nędzy.
Jedno *nie* żądze przywodzi do skutku;
Jedno *nie* gdy się lękasz, przyda smutku.
I twój, Amorku, ogień trwać nie umie!
Jedno go wznieci, jedno *nie* zatłumie.

Pieśń ciarlatańska. Na jarmarku.

O cuda, cuda! o śliczne cuda!
Kto ma pieniądze, niechaj je tu da.
W tej maluśkiej skrzyneczce, eo ma świat obszerny
Najciekawszego, zawarł rzemieślnik misterny.
Tu wszystkie rzeczy nowe, a kto spojrzysz na nie,
Z podziwieniem zawoła: cuda mości panie!

O cuda, cuda! o śliczne cuda!
Kto ma pieniądze, niechaj je tu da.
Tyś pierwszy dał pieniądze w zielonym kontuszu,
Niewiem, czy panie Pietrze, czyli Mateuszu:

Ja nie dbam na godności, nie dbam na klejnoty
Herbowne; to pan u mnie, co położył złoty.

O cuda, cuda! o śliczne cuda!

Kto ma pieniądze, niechaj je tu da.
Przystąp... oto pan siedzi w złotogłowie strojny.
Pan nie dziwak, nie hardy, miły i spokojny:
Obok przy nim dworzanin, lecz nie wiercipięta.
Nie zna co to pochlebstwo, co zazdrość przekłeta.

O cuda, cuda! o śliczne cuda!

Kto ma pieniądze, niechaj je tu da.
Widzisz ten dwór wspaniały; czyliż to nie cudna,
Że w nim nigdy nie gości fortuna obłudna?
Nie ma tu miejsca echiwość, ni utrata marna.
Słudzy płatni, czeladka pocziwa i karna.

O cuda, cuda! o śliczne cuda!

Kto ma pieniądze, niechaj je tu da.
Ten zaś, co mu sobole wiszą u kołnierza,
Pan to wielki, a długu nie ma i halerza;
Wszyscy ekonomowie na rękę mu padli:
Wiernie służą, jeszcze go dotąd nie okradli.

O cuda, cuda! o śliczne cuda!

Kto ma pieniądze, niechaj je tu da.
A toż pewnie nie dziwna, że Krezus bogaty
Nie ciśnie ubogiego, mnożąc swe intraty?
Że w dostatkach, że w sławie, że w szczęśliwej chwili
Pomni, czem też przodkowie jego przedtem byli.

O cuda, cuda! o śliczne cuda!

Kto ma pieniądze, niechaj je tu da.
Jest się czemu zadziwić, gdy kto w jedną sfore
Złączył z wielką nauką skromność i pokorę:

Kiedy ten, co na kartach dni i nocy trawi,
Zawsze jest przy pieniądzach i dzieciom zostawi.

O cuda, cuda! o śliczne cuda!

Kto ma pieniążki, niechaj je tu da.
Gdy ci wierny przyjaciel zawsze równie sprzyja,
Czy fortuna w twych progach, czyli je omija:
I choć cię z swych faworów wyruguje marnie,
Do serca otwartego łaskawie przygarnie.

O cuda, cuda! o śliczne cuda!

Kto ma pieniążki, niechaj je tu da.
I to się rzadko nader trafia w ludzkim rodzie,
Aby żona w statecznej z mężem żyła zgodzie:
By dwa ciała składały jedną tylko duszę:
Prawdziwie, ja sam na te dziwy krzyknąć muszę.

O cuda, cuda! o śliczne cuda!

Kto ma pieniążki, niechaj je tu da.
Pięknie się w domu małe wychowują dziatki,
Nie pieszczą ich ojcowie i niebaczne matki.
Nauczają iść enoty niepomylnym śladem,
A czego uczą, sami stwierdzają przykładem.

O cuda, cuda! o śliczne cuda!

Kto ma pieniążki, niechaj je tu da.
Widziałżeś kiedy mędrka, co sam wszystko umie,
Wszystko zna, wszystko gani, że jest przy rozumie?
Lub takiego patrona, który broniąc sprawę,
Popiera tylko rzeczy, a nie szarpie sławy?

O cuda, cuda! o śliczne cuda!

Kto ma pieniążki, niechaj je tu da.
Chlubny junak, co w kacie szablą wiatry kroi,
Gdy go wyzwą, nie stchórzy i placu dostoi;

Krytyk spraw cudzych, a sam w niczem niezganiony;
Sędzia ma czyste ręce od łez i mamony.

O cuda, cuda! o śliczne cuda!

Kto ma pieniądze, niechaj je tu da.
Dama udatna, piękna, jak jutrzienka złota,
A szwanku jej stateczna nie doznaje enota;
Biega młokos samopas, kędy chce, a przecie
Nie złego o nim ludzie nie mówią na świecie.

O cuda, cuda! o śliczne cuda!

Kto ma pieniądze, niechaj je tu da.
Pomyślne ożenienie, bez mądrej uwagi,
Że nie czynią szczęśliwym piękność i posagi;
Zasluga bez zazdrości, cnota bez obłudy.
Czyliż między pierwszymi niema miejsca cudy?

O cuda, cuda! o śliczne cuda!

Kto ma pieniądze, niechaj je tu da.
Polityk a nie szalbierz, bogacz a nie zdzierca;
Wdzięczny za dobrodziejstwa; żołnierz nie bluźnierca;
Szczęśliwy tak, że go nie w życiu nie zasmuci;
Pocziwy tak, że mu nie żaden nie wyrzuci.

O cuda, cuda! o śliczne cuda!

Kto ma pieniądze, niechaj je tu da.
Pieśń moja tak uciechna, tak skromna, tak miła,
By ganiąc obyczaje, osób nie ganiła;
Gdy ją każdy pochwali, ani okiem krzywym
Rzuciwszy na nią, rzeknie tonem urażliwym:
„Kto pisał, wielki musiał być duda“.

O cuda, cuda! o śliczne cuda!

Kto ma pieniądze, niechaj je tu da.

D y a m e n t.

Na zapal oczu, a serca ślepotę
W szkodliwą porę więzień wydobyty.
Leżałem długo, gdzie i kruszce złote,
W skalistych matki wnętrzościach ukryty;
Póki bez zbytków, niewinna potrzeba
Miewała dosyć na szukaniu chleba.

Próżniacki murzyn znalazłszy przypadkiem.
Dał mię swawolnym dzieciom do zabawy.
Nie byłem w owych krajach cudem rzadkiem.
Dziki wędrownik zbójeckimi nawy
Przybywszy do nas, losy me odmienił:
Panów mych wyciął, a perły ocenił.

Ledwom zawitał do białego świata
Pod trzema zamki z wielą innych braci.
Długi męczennik twardego warsztata
Nabyłem lepszej, choć mniejszej postaci.
Kto na mnie spojrzał, każdy się sposobił.
Jeden by ukradł, drugi by zarobił.

Pan mój w nadmorskiem handlujący mieście, —
Gades je nazwał dziejopisca stary. —
Przedał Holendrom za dukatów dwieście;
Ale ci drożej biorąc za towary.
Zdarli Francuza; jak to zawsze bywa:
Jeden drugiego bliźni oszukiwa.

Przemysłny Francuz użył lepszej rady.
Mało na świecie naga waży cnota:
Kształtnie do złotej wprawił mię osady.
Trzykroć mą cenę podniosła robota.
Nie jeden w kramie o mnie się powadził:
Polak mię kupił, bo wszystkich przesadził.

Nie mógł się jednak długo ze mną bawić;
By się za fraszki kupione opłacił,
Musiał mnie z Hagi żydowi zastawić,
Co się szachrajstwem w Paryżu bogacił.
Ciężkiem go prawem dłużnicy gonili:
Jam swą niewolą wyrwał go z Bastyli.

Połowny łcyk (boć to nie nowina
Tracić zastawę, kto z terminu zboczył)
Przedał mnie z zyskiem w ręce Ormianina:
U tegom w górę w sześcioro podskoczył.
Byłem tam owdzie drogo taksowany;
Wszedłem do Lwowa nieoszacowany.

Nie tyle razy faworyt we dworze.
Ni się przyjaciel odmienia kupiony.
Nie tyle gładka kokietka w humorze.
Nie tyle kruszec w Prusach przetopiony,
Wielem na różnych palcach ja polyskał.
Czasem mój dawca stracił, czasem zyskał.

Nie masz na świecie, jak Polska korona,
Gdzieby tak wiele dary mocy miały.
Jam dawał liznać prałatom symona,
Jam zrywał sejmy, burzył trybunały,
A z jednej ręki przechodząc na drugą.
Cudam wyrabiał przedajną usługą.

Blaskiem mym tknięty, mownie patron czekał,
Choć sprawa była w prawdę nie obfita.
Jam w szersze gorsy panienki przewlekał.
I potajemne wydawał sancyta.
Kto mię darował, był pewny wygranej;
Jam Judasz został kanonizowany.

Błądząc po różnych ludziach, jak po lesie,
Trafiłem, wstyd i mówić na ostatek:
Gaszek mię jeden oddał twej metresie
Na długich potem miłości zadatek.
A ta na starość zostawszy dewotką,
Przecież mą dolę uczyniła słodką.

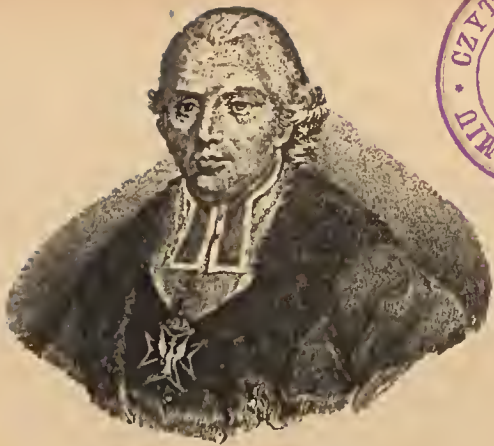
Ojciec Gaudenty, który mądrze radził,
By jej zbawienie otrzymała dusza,
W złoty mię wieniec misternie osadził
Na skroń świętego Dezyderyusza.
Lecz i tu, widzę, niedługie me byty:
Puszczono gołę święte Jezuity.

Fircyk.

Fircyk greczny kawaler, każdy mi powiada.
Znam go: je smacznie, pije dobrze, wiele gada.
A na czemże ta greczność Fircyka zależy?
Czy że mu dziwnym kształtem fryzura się jeży,
Czy że jakiś wygwizdże włoski kancik kusy,
Czy że winnemi pachnie cały spirytusy?
Na piętach się wykręca, lata jak sparzony.
Udając Arlekina z lisiemi ogony:
Czy że się rozwaliwszy grądał na kanapie,
W przytomności zacniejszych jako wielbłąd sapie?
Czy że swą przed zwierciadłem piękność rozpościera,
Cukrowe kartki pisze, i sam je odbiera?
Czy że się w modne suknie coraz stroi ładnie
Gładko gra w maryasza, gładziej karty kradnie;
Bluzga co ślina niesie, nie ma w gębie tamy,
Gorsząc młodzież niewinną i uczciwe damy?
Czy że z wielkim rękawem, z huczną miną chodzi,
Przymawia i przeprasza, łże i ludzi zwodzi;

Bierze wszystko na kredyt, a gdy mu dopiecze
Pan dłużnik, incognito z miasta gdzieś uciecze?
Czy że się sam powozi, lub gdy zima stanie
Trzaska biczem misternie, usiadłszy na sanie?
A kiedy Fircyk grzecznym kawalerem takim,
Któż będzie sowizdrzałem, głupcem i prostakiem?





I Krasicki

IGNACY KRASICKI¹⁾

(ur. 1735 † 1801).

— • • • —

I.
ZE SATYR.

Pijaństwo.

Skąd idziesz? — Ledwo chodzę. — Słabyś? — I jak jeszcze:
Wszak wiesz, że się ja nigdy zbytecznie nie pieszczę:

¹⁾ Przy układaniu „Ksiąg humoru polskiego“ starałem się, o ile możności, dawać utwory mniej znane szerszemu ogółowi. Z tej też przyczyny i utwory Krasickiego nie zajmą w „Księgach“ tyle miejsca, ileby im się należało. Pominąć ich nie można, lecz chcąc w „Księgach“ pomieścić wszystko, co ks. biskup warmiński okraślił swoim niepospolitym humorem, trzeba by

Ale mi zbyt dokucza ból głowy okrutny.

— Pewnieś wczoraj był wesół? dlategoć dziś smutny.

Przejdzie ból. — Powiedźże mi, proszę, jak to było?

Po smacznym, mówią, kąsku. i wodę pić miło.

— Oj nie miło mój bracie! bogdaj z tem przysłowiem

Przepadł, co go wymyślił! Jak było, opowiem.

Upiłem się onegdaj dla imienin żony.

Nie żał mi tego było. Dzień ten obchodzony

Musiał być uroczyscie. Dobrego sąsiada

Nie źle czasem podpoić. Jejmość była rada,

Wina mieliśmy dosyć, a że dobre było.

Cieszyliśmy się pięknie, i nie źle się piło.

Trwała uczta do świtu. W południe się budzę,

Cięży głowa jak ołów, krztuszę się i nudzę;

Jejmość radzi herbatę, lecz to trunek mdłący.

Jakoś koło apteczki przeszedłem niechęący.

Anyżek mnie zaleciał: trochę nie zawadzi...

Napiłem się więc trochę, może mi poradzi.

Nudno przecię, ja znowu; już mi rażniej było.

Wtem dwóch z uczty wczorajszej kompanów przybyło.

Jakże nie poczęstować, gdy kto w dom przychodzi?

Jak częstować, a nie pić? i to się nie godzi.

Więc ja znowu do wódki, wypilem niechęący

Omne trinum perfectum, bo trunek gorący

Dobry jest na żołądek. Jakoż w punkcie zdrowy.

Ustały i nudności, ustał i ból głowy.

Zdrów i wesół wychodzę z moimi kompani,

Wtem obiad zastaliśmy już przygotowany.

na to cały tom „Ksiąg“ poświęcić. Dzieła Krasickiego zaś są tak powszechnie znane, że przedrukowi takiemu zapewne czytelnicy „Ksiąg“ nie byłiby radzi. Po co np. przedrukowywać bajki, które każdy zna, a wielu umie na pamięć? Zresztą łatwość zapoznania się z utworami Krasickiego jest bardzo wielka, bo pięciotomowe krakowskie wydanie dzieł jego kosztuje w handlu księgarskim 1 złr. 50 ct. (1 rs. 50 kop.).

Siadamy. Chwali trzeźwość pan Jędrzej, my za nim.
Bogdaj to wstrzemięźliwość! pijatykę ganim;
A tymczasem butelka nietykana stoi.
Pan Wojciech, co się bardzo niestrawności boi,
Po szynce, cośmy jedli, trochę wina radzi:
Kieliszek jeden, drugi, zdrowiu nie zawadzi,
A zwłaszcza kiedy wino wytrawione, czyste.
Przystajem na takowe prawdy oczywiste.
Idą zatem dyskursa tonem statystycznym.
O miłości Ojczyzny. o dobru publicznym.
O wspaniałych projektach, mężnym animuszu;
Kopiem góry dla srebra i złota w Olkusz,
Odbieramy Inflanty, i państwa Multańskie,
Liczymy owe sumy neapolitańskie,
Reformujemy państwo. wojny nowe zwodzimy,
Tych bijem wstępnym bojem, z tantymi się godzimy:
A butelka nieznacznie jakoś się wysusza.
Przyszła druga; a gdy nas żarliwość porusza,
Pełni pociech, że wszyscy przeciwnicy legli.
Trzeciej, czwartej i piątej aniśmy postrzegli.
Poszła szósta i siódma, za niemi dziesiąta.
Naówczas, gdy nas miłość ojczyzny zaprzęta,
Pan Jędrzej przypomniawszy żorawińskie klęski.
Nuż w płacz nad królem Janem. — Król Jan był zwycięzki.
Krzyczy Wojciech. — Nie prawda! — a pan Jędrzej płacze.
Ja, gdy ich chcę pogodzić, i rzeczy tłumaczę,
Pan Wojciech mi przymówił: — „Słyszysz waść“, mi rzecze.
— Jakto waść? nauczę cię rozumu, człowiecze!
On do mnie. ja do niego: rwiemy się zajadli.
Trzyma Jędrzej, na wrzaski służący przypadli.
Nie wiem, jak tam skończyli zwadę naszą wielką,
Ale to wiem i czuję, że wziął w łeb butelką.
Bogdaj w piekło przepadło obrzydłe pijaństwo!
Cóż w niem? tylko niezdrowie, zwady, grubijaństwo.

Oto profit: nudności, i guzy, i plastry.

— Dobrze mówisz, podlej to zabawa hałastry:
Brzydzi się niem człek prawy, jako rzeczą sprośną;
Z niego zwady, obmowy nieprzystojne rosną;
Pamięć się przez nie traci, rozumu użycie,
Zdrowie się nadwereża i utracą życie.

Patrz na człeka, którego ujęła moc trunku.
Człowiekiem jest z pozoru, lecz w zwierząt gatunku
Godzien się mieścić, kiedy rozsądek zaleje,
I w kontr naturze postać bydlęcą przywdzieje.
Jeżeli niebios zdarzenie wino ludziom dało,
Na to, aby użyciem swoim orzeźwiało,
Użycie darów, bożych powinno być w mierze.
Zawstydza pijanicę nierozumne zwierze;
Potępiają bydlęta niewstrzymalność naszą:
Trunkiem, według potrzeby, gdy pragnienie gaszą,
Nie biorą nad potrzebę. Człek, co niemi gardzi,
Gorszy od nich gdy działa, podlejszy tem bardziej.

Mniejsza guzy i plastry, to zapłata zbrodni.
Większej kary, obelgi, takowi są godni,
Co w dzikim zaślepieniu występni i zdroźni,
Rozum, który człowieka od bydlęcia różni.
Śmia, za łada przyczyną, przytępiać lub tracić,
Jakiż zysk taką szkodę potrafi zapłacić?
Jaka korzyść tak wielką utratę nagrodzi?
Zła to radość, mój bracie! po której żal chodzi.
Ci, co się na takowe nie udają zbytki,
Patrz, jakie swej trzeźwości odnoszą pożytki:
Zdrowie czerstwe, myśl u nich wesola i wolna,
Moc i rażność niezwykła i do pracy zdolna,
Majętność w dobrym stanie, gospodarstwo rządne,
Dostatek na wydatki potrzebne, rozsądne.
Te są wstrzemięźliwości zaszczyty, pobudki —
Te są. Bądź zdrow. — Gdzie idziesz? — Napiję się wódki.

Idzie Piotr, albo raczej wspaniale się toczy,
Do nóg, do nóg, na pana nie podnoście oczy,
To pan jaśnie wielmożny, jaśnie oświecony,
To pan z panów: u niego mitry i korony,
Berła, laski, infuły, klucze i pieczęci,
Inwentarskie narzędzia. Przesławnej pamięci
Dziady jego, pradziady, siedzieli w senacie.
Upadam do nóg pana. — Kłaniam panie bracie.
Pójdźmy ztąd. Lecz ktoś, widzę, do pana przychodzi,
A to co? pada do nóg jegomość dobrodziej,
Pokorny. Któżto sprawił ten cud zbyt widoczny?
Jest to jaśnie wielmożny sędzia tegoroczny.
Pan ma sprawę. Rozumiem. — A w tym gabinecie,
Kto to pisze? — To rachmistrz największy na świecie:
On wszystko skalkulował, gospodarz nie lada,
Nowe planty wymyśla, rachuje, układa.
Więc bogacz? — Więc ubogi. — Jakto? Patrz, co pisze,
Milion. — To skarb. — To dług. On i towarzysze,
Nie chcąc na miernym zysku przestawać dość sytnie,
Nie nie mają. — Dlaczego? — Bo pragną mieć zbytnie.
Ten święty pacierz szepcze, i w dół spuścił oczy.

Położno tylko worek, wnet on tu przyskoczy.
Fundusz zrobił. — To dzieło bliżniemu usługne.
— Ale ukradł trzy części, czwartą dał w jałmużnę.
Zamknijmy go na haczyk, bo i nas okradnie.

Jużci ten siedzi, widzę, spokojnie, przykładnie.
Cóżto jest za jegomość? — To sławny jurysta.
— Czy nie z tych, co to z pewnych wybiegów korzysta?
Co to kradną z Pandektów. — On z nich nie nie kradnie.
— Dlaczego? — Bo ich nie zna: bierze, co napadnie,
Ale bierze po prostu. Krzyczy poza kraty,
Najsławniejszy on w sądzie na prejudykaty.
Na biało sto, na czarno gotów tyle dwoje.
— Schowajże go do klatki, bo ja się go boję,

A tego jeszcze bardziej; cóż to za wspaniałość?
Jest to mędrzec, co posiadał wszystkę doskonałość;
On poprawia, w czem dawne pobiłszy wieki.
Zkądże jemu ta biegłość? — Od gminu daleki.
Nie będzie z nami gadał. — Niechże i nie gada.
Ale któż z niego mądrość tak wielką wybada? —
Nikt. — Pewnie skryty. — Jawny. — Jakże to? — Opowiem:
Naprzód trzeba o mędrkach to wiedzieć, albowiem
Nie tacy oni prości, jacy dawni byli.

Co skarbnice nauki wszystkim otworzyli:
Nasi kryją, a w ścisłym rzecz trzymając karbie,
Nic nie dają. — Dlaczegoż? — Bo nie masz nic w skarbie.

A to kto? — To człek wielki. — Pewnie bitwy zwodził?
— Nie. — Pewnie wielu zawziętych pogodził?
Nie. — Pewnie nędznym w przygodzie usłużył?
Nie. — Pewnie w pismach wiele pracy użył?
Nie. — Pewnie skarby dla kraju wydostał?
— Dał na druk, i w przemowie wielkim człkiem został.

A ten zaś? — To jest autor. — O czem pisał? — O tem,
Jako się trzeba rządzić. — Cóż się stało potem?
— Oto, aby się swemu krajowi przysłużył.
Pisał o gospodarstwie, a sam się zadłużył:
Dobrze mu tak, trzeba tych ichmościów oduczyć.

Ten nic prawa nie umiał, a chciał się go uczyć:
Więc aby skarb nauki dla siebie wydostał,
Znalazł sposób. — A jaki? — Oto sędzią został.

Ten nic nie miał, a dobra za milion kupił.
Pewnie znalazł pieniądze? — Nie znalazł. — Więc złupił?
— Nie łupił. — Pewnie okradł. — Nie okradł. — Zfrymarczył?
I to nie. — Jakże kupnu takiemu wystarczył?
— Ugodził się z dziedzicem, co już prawie żebrał.

— A to jak? — Ten nic nie dał, tamten nie odebrał.

Ten zbyt kochał ojczyznę. — Statuę wystawić
Godzienby, gdyby zbytek w dobreń można słać.

Służył ojczyźnie prawie całym swoim życiem:
A chcąc się plennych darów podsyć użyciem.
Wiedząc, że pani dobra, ale mniej ostrożna.
Kochał ją, a kradł tak dobrze, jak tylko kraść można.
— Alboż kocha, kto kradnie? — Pytaj jegomości;
Insi kradli dla zysku, on ją kradł z miłości.
Brał, bo szacowne dary, gdy kochamy dawcę;
Brał, bo wiedział, że względny ma na prawodawcę;
Brał dlatego, ażeby mniej godni nie brali;
Brał, aby się do usług drudzy zachęcali;
Brał, bo to honor pana, gdy sługa bogaty;
Brał, bo daje. — Wiedziałże, jakie jej intraty?
— Jużci wiedział, kiedy kradł. — Mało klatka za to.

Ci dalsi słuszną teraz cieszą się zapłatą.
Którzyż to? — Słyszysz dalej, jak pełno hałasu?
Bądź zdrów. Kłatek aż nadto, a ja nie mam czasu.

Małżeństwo.

Chcesz się żenić, winszuję, ale nie zazdroszczę,
To więc, co potem poznasz, o co cię dziś troszczę,
Ja opowiem. Ów Adam, ów najpierwszy człowiek,
Zasnął: gdy się obudził, za otwarciem powiek.
Postrzegł... — Co? — Oto Ewę, dobro nieskończone.
Bóg wyjął mu kość z boku, i zrobił z niej żonę.
Gdybyć to tak i teraz: próżne korowodów
Byłyby nasze stadła, a ztąd mniej rozwodów.
Ale się świat zestarzał: Adamowe wnuki,
Porzuciwszy dziadowskie poczeiwe nauki,
Niby to rozumniejsi, źli męże, złe żony.
A nasz wiek ośmnasty, niby oświecony.
A w samej rzeczy głupi, cóż zrobił? — złe stadła:
Jegomość nadto dobry, jejmość zbyt rozjadła.

A kiedy jejmość dobra, jegomość jak jędzar
 Jak ma być dobre pasmo. gdy zepsuta przędza!
 Cóż więc jest stan małżeński? rzecz w opisie trudna.
 Rzecz z jednej strony wdzięczna. z drugiej strony nudna,
 Konieczna jednak: muszą być żony i mężę;
 Jarzmo jest: tych zysk. miłość tamtych kiedy sprzęże.
 Muszą dźwigać. Chcesz i ty? odwaga nielada.
 Ale że dosyć liczna kompanów gromada.
 Idziesz śmiało. Poczekaj: nie będę ja bawił.
 Kto wie, może dla ciebie los się ułaskawił.
 Może za nader szczęsną wyroków spuścizną.
 Będzie tobie lekarstwem. co drugim trucizną.
 Możeś jeden z tysiąca. ale liczbę zmniejsz.
 Choćby też i fałszywe. niech będą grzeczniejsze
 Wyrazy mojej rady: szanujmy płeć piękną.
 Jakaż jest twoja Filis? — Niech wszystkie uklęką.
 — Toś amant: siądź więc na koni. a ujawszy pikę.
 Nowy Roland głoś światu twoję Angielikę.
 Ścinaj karły, olbrzymy. smoki. czarownice.
 Niech zna każdy, nad twoję iż oblubienicę
 Piękniejszej w świecie nie masz. Tak romanse każą.
 Ale nie rozum zdrowy. Ten pod swoją strażą.
 Jeśli chcesz, by cię trzymał. posłuchaj co radzi:
 Uwaga w każdym dziele nigdy nie zawadzi.
 Więc zdatna i w miłości. Namysł się, mój bracie.
 Lepsza przykrość przed stratą. niżli żal po stracie.
 Piękne twojej powaby, lecz to zwierzechne wdzięki:
 To, co wewnątrz, istotne: więc dobrej poręki
 Trzeba na to. co wewnątrz. Wdzięczna. hoża, ładna.
 Ale mylą pozory, a piękna płeć zdradna.
 Przejdzie rozkosz, nastąpi sytość po użyciu.
 Znikną wdzięki. a w dalszem natenczas pożyciu.
 Jeśli węzły wzajemne nie wzmocni szacunek.
 Nastąpi umartwienie, nudność i frasunek.

Dopieroż kiedy jejmość, coé się w serce wkradła,
Stanie się podejrzliwa i przykra i zjadła;
Kiedy się codzień z nowym humorem popisze,
I coraz inne w domu ujrzysz towarzysze;
Kiedy w zwięzłych przymówkach do serca przegryzie.
A to, co ci przyniosła w swojej intercyzie,
Stokroć na dzień wymówi: — odpowiedzieć trudno.
Bieć niegrzecznie, zamilczeć i przykro i nudno.

O święty Sokratesie! tak cię Erazm mienił.
Nie byłbyś nigdy świętym, gdybyś się nie żenił:
Zyskałeś uwielbienie, zyskał świątobliwość:
Któż cię świętym uczynił? małżeńska cierpliwość.
Dajmy jednak, iż twoja nie w Ksantypek rzędzie,
Dobra, cicha, powolna, wstrzemiężliwa będzie:
Pokorna jak dewotka, wstydliva jak inniszka.
Jednem słowem jak owa w teatrach Agnieszka.
A wiesz, co się z Agnieszki oblubieńcem stało?
Wielu się na pozorach płonnych oszukało:
O Arnolfy nie trudno. Aleś ty szczęśliwy.
Wierzę, że twojej pozór szczerzy i prawdziwy.
Dobry towar, a ja go choćbym mógł, nie kupię.
Wiesz dlaczego? Agnieszki kiedy nie złe, głupie.
— Tem lepiej. — Owszem gorzej: długo taki błądzi,
Który głupstwo przymiotem dla żony być sądzi.
Najlepiej środek obrać: dumne animuszem,
Umieją mądre kornet czynić kapeluszem.
Niech będzie oświecona, rozum nie zawadzi.
Ale rozum powolny, co powinność radzi:
Rozum, co zna podległość: może to niegrzecznie.
Przecież żony podległe muszą być koniecznie.
— To się lepiej nie żenić. — Czyż kupiec frymarczyć
Nie powinien dlatego, gdy zysk wydostarczyć
W jednym handlu nie może? W innym zysku szuka.
Złe stadło, nieszczęśliwe, dla drugich nauka.

Zła małżonka: treść nędzy, lecz kiedy pocziwa,
W dwójnasób szczęścia, pociech natenczas przybywa.
Jedno słowo, los życia: nieznośny po stracie,
Najszczęśliwszy gdy z zyskiem. Żeńże się mój bracie.

II. Z LISTÓW.

Podróż pańska.

(Do księcia Stanisława Poniatowskiego).

A naprzód, mości książę! trzeba o tem wiedzieć,
Że jeżeli dobrze jeździć, lepiej w domu siedzieć.
Lepiej z władzy udzielnej korzystać choć w kącie.
Niżli peregrynować w cudzym horyzoncie,
I trudzić się niewczasem, żeby ludzi poznać.
Chcesz, czem są, czem być mogą, rozeznąć i doznąć,
Znajdziesz to i u siebie: wszędzie lud jest ludem.
A jeżeli w tłoku szczęściem, albo razej cudem
Znajdziesz, co wart szukania, znajdziesz bez podróży:
Lepiej hazard częstokroć, niż praca usłuży.
Chcesz odkryć, jak złość w kunszta przemożna i płodna,
Jak cnotliwym dotkliwa, filutom wygodna.
Jak zuchwała otwarcie, zradna pokryjomu:
Na co jeździć daleko? powróć się do domu.
Znajdziesz to, czego szukasz, i w prawą i w lewą.
A jak wieczystem trwaniem wybujałe drzewo.
Ćmi krzaki i zagłusza, coby owoc niosły,
Tak złość enocie zradnemi uwłacza rzemiosły.
Nie szpecimy własne gniazdo: równie złe umysły
Nad brzegami Sekwany, Tamizy i Wisły.

Wszędzie rzadka jest cnota. Gdzie częstsza nieprawość?
Na co szperać, mój książę? zbytnia to ciekawość.

Wróćmy się do podróży. Wyjeżdżasz, rozumiem.

I chociaż wieszczym duchem zgadywać nie umiem,

Pewnie jedziesz, ton dobry kędy jeździć każe:

Zagęściły gościńce polskie ekwipaże.

Pewnieś chory, dla wody; a że Karlsbad blisko,

Zaciągnąłeś takowej słabości nazwisko,

Co do Spa zaprowadza. Kazały doktory.

Raźny, hoży, rnmiany, a z tem wszystkiem chory,

Ażeby zdatną czerstwość sprowadził z zagranic,

Spieszysz pędem niezwykłym do wód kasztelanic.

Już trzykroć się kurował i trzy wioski stracił.

Cóż po wioskach bez zdrowia? choć drogo zapłacił.

Więcej zyskał? — cóż przecię? — nie do wód on spieszył.

Trzy tylko szklanki wypił, ale się ucieszył.

Ale mód nowych nawiózł, z książęty się poznał.

Ale wdzięcznych korzyści i awantur doznał:

Ale księżnom, księżniczkom głowy pozawracał.

Trzy banki złota wygrał, stoły powywracał.

Złoto w zdobycz, Niemiec w płacz, co nad bankiem siedział.

A cały rodzaj ludzki wtenczas się dowiedział.

Co to jest polski rezon. Spazmów i waporów.

Nie uleczyły wody, trzeba do doktorów.

Gdzież doktory? w Paryżu — gdzież indziej być mogą?

Złękla się starościna nad takową drogą.

Musi Paryż odwiedzić. Nie tracąc momentów.

Leci więc, gdzie stolica miłych sentymentów,

Za paszportem miłości Teppera i Blanka ¹⁾.

Leci w źródło rozkoszy strapiona kochanka.

Leci szaleć na widok. Zajaśniał wiek złoty.

Pełzną wsie, pełzną miasta, mnożą się klejnoty.

¹⁾ Tepper i Blank niegdyś sławni bankierowie w Warszawie.

Adoratory jęczą, brzini ogromna chwala:
Wzniosła honor narodu matrona wspaniała.
Trzeba wrócić, powraca heroina nasza:
Zapomniała po polsku, już nie wie co kasza.
Słabną nerwy, sarmackie jednostajne płasy.
W mdłość wprawują żupany, kontusze i wasy.
Widzi, ach! jak to wspomnieć bez rzewnego żalu,
Widzi podłe dworzyszcza po sławnym Wersalu.
Widzi folwark po Luwrze: w dwójnásób wapory;
Niechże sobie choruje. Nie twoje to wzory.
Jedziesz w kraj, rodowita ciekawość cię budzi,
Chcesz zwiedzić Polskę, Litwę, nawet być na Żmudzi.
Stój, co rzecze Warszawa. Tam nie masz foxhalu:
Ale gdy się wydzierasz, nie bez mego żalu.
Pozwól, niech się przynajmniej przysłużę, jak mogę:
Świadom, dam ci niektóre przepisy na drogę.

Aby dziwił sąsiady i kraj okoliczny,
Kiedy pan do dóbr jedzie, musi mieć dwór liczny.
W jednej karecie doktor, felczer i z kuchmistrem,
W drugiej fryzer, pasztetnik, piwniczny z rachmistrem:
Ojciec Majcher kapelan z bibliotekarzem.
Pan marszałek z podskarbin, łowczy z sekretarzem.
Z tych pierwszy najcelniejszy, od spraw pańskich walnych.
Drugi za nim od listów rekomendacyalnych;
On gruntownie posiada „Polaka sensata” ¹⁾.
A gdy pisze do mościom i pana i brata,
Wskróś polszczyznę dziurawiąc łaciną, jak ćwieki,
„Bóg zapłać” i „Bóg daj zdrów” cytuje z Seneki.
Dopieroż pan w karecie z przyjaciółmi swymi,
Przyjaciółni z zagranic nakłady wielkimi

¹⁾ Mowa tu o dziele pod tytułem: „Polak sensat w liście, w komplementem polityk, humanista w dyskursie, w mowach statysta, na przykład dany szkolnej młodzi, od W. J. Wojciecha Bystrzonowskiego *Societatis Jesu*”, drukowanem we Wilnie 1733 roku.

Co ledwo posprowadzał. Opasłej figury
Siedzi Szwajcar filozof. z nim Anglik ponury,
Głębokomyślny mędrzec, wszech skrytości badacz;
Francuz grzeczno uprzejmy. świegotliwy gadacz,
Gdy drzymią filozofy. w dyskursach przyjemnych
Łże o swoich przypadkach i morskich i ziemnych:
A czyli peroruje, czy szepce do ucha.
Drwi i z tych co drzymają, i z tego co słucha.

Przy karecie, ci skaczą, ci jadą, ci idą,
Kozak z spisą, z kołczanem murzyn, Tatar z dzidą.
Wozy zatem i wózki. bryki i kolaski,
Tu kufry, tam tłómoki, i paki. i faski.
Na wozach, wózkach. konno, pieszo, pędzi zgraja,
Ten już okradł, ten kradnie, tamten się przyczaja.
Żyd płacze, pan podskarbi że mu nie zapłacił.
Chłop stęka. czapki pozbył i bydlę utracił,
Wziął przez łeb za zapłatę: klnie, o pomstę woła.
Krzyk. jęk. wrzawa za pańskim dworem dookoła.
Znać wielkość. Już do hrabstwa pan swego zawitał:
Tłum suplik, wziął je hajduk, jegomość nie czytał.
Pan komisarz natychmiast po folwarkach gości.
Wziął sto kijów guznienny. sto plag podstarości:
Ekonom wpadł w rachunki, wzięto go pod wartę.
Dał tysiąc w gotowiźnie, a cztery na kartę;
Więc dobry, więc przykładny, a na znak wdzięczności,
Wziął przywilej na kradzież do pierwszej bytności.

Nowe planty natychmiast z górną swoją radą
Pan wynalazł: chłop płaci: a niżli odjadą,
Ułożone projekta dla zysku. wygody;
Wiatraki po nizinach. młyn w górze bez wody.
Rowy w piasku, gdzie chmielnik tam sadzić winnice,
Krzaki w ścieżki wycinać, a lasy w ulice:
Z łąk na piasek dla trawy pozawozić darnię,
Z pasieki dla wygody zrobić królikarnię.

Gdzie staw. ma być zwierzyniec: a gdzie pasą owce,
Sypać wzgórki, niech bładzą pomiędzy manowce.
Pasterkom, aby grały, pokupować flety.
Niech wójt chłopom w niedzielę tłumaczy gazety:
W poniedziałek dla dzieci kurs architektury.
Botanika we środę: a ciąglemi sznury
Niechaj pierwiej ksiądz pleban uczy dobrze mierzyć,
Potem może napomknąć jak potrzeba wierzyć.

Tak to drudzy. a nie ty: wstydzże się mój książę!
Przyjaźń, co mnie słodkimi węzły z tobą wiąże,
Każe mówić. Ci wszyscy. co cię otaczają.
Wierz mi, na gospodarstwie wcale się nie znają.
Ten najbardziej. co prawi. abys uszczęśliwiał.
Kogo? — chłopów? to bydło! On będzie wydziwiał
Póty. aż twoich kmieciów przerobi w szlachcice:
Nie wierz mu. to pogorszy wszystkie okolice.
On mówi, żeśmy wszyscy synowie Adama.
Ale my od Jafeta. a chlopi od Chama:
Więc nam bić. a im cierpieć: nam drzeć. a im płacić.
Nie powinien pan swoich przywilejów tracić.
A zwłaszcza kiedy dawne. i zysk z nich gotowy.
Jedźże teraz szczęśliwie. a powracaj zdrowy.

III.

Z „WIERSZY RÓŻNYCH”.

Do Jakóba Wojciechowskiego.

Panie Wojciechu! mówcie. jako chcecie.
Przecież to dziwne rzeczy na tym świecie.

Młodzi i starzy za złym poszli wzorkiem:
Tych miłość ślepi, ci lecą za workiem:
Baby się klóca, krewni się nie lubią.
Panowie straszą, a słudzy się czubią.
Panie Wojciechu! mówcie, jako chcecie,
Przecież to dziwne rzeczy na tym świecie.

Do Michała.

Panie Michale,	Ci nadto kręślę,
Wiesz doskonale.	Ci nie nie myślę...
W codziennym trudzie.	Więc źle na świecie?
Co to są ludzie.	Żyjem w nim przecie;
Tych złość zaślepia,	Więc się wynosić?
Tych zysk zasklepia,	Zostać i znosić —
Tych sława ludzi.	Bo któż bez ale
Tych zazdrość budzi:	Panie Michale?

Cierpliwość.

Nagadaliście się do wieczora.
Mój panie Pietrze. aż do sytości:
Całą godzinę trwała perora.
Trwała i drugą. o cierpliwości!
Jeżeli wiedzieć, czym ona, chcecie,
Ja wam to powiem, ale do ucha:
Oto, gdy jeden raz po raz plecie,
A kiedy drugi raz po raz słucha.

Do Doktora.

Panie Doktorze, gdy się rozgadacie,
Rzadko rzecz bywa ku naszej pociesze:
Zawsze w zanadrzu coś złego chowacie,
Ażeby straszyć lekkowierne rzesze.

Dobrze czynicie z tą wymową waszą:
Szczodrzy są tacy, którzy się przestraszą.

Rolnik rżnie pługiem, ogrodnik nożycą.
Furman pracuje i wołem i osłem:
Czem się wzmagają, tem się ludzie szczycą.
Trzeba żyć człeku powziętem rzemiosłem.
Każdy to czyni, co zyskowi sprzyja:
Ksiądz ludzi grzebie, a doktor zabija.

IV.

Z „WIERSZY Z PROZĄ”.

Uczą starych rozumu, to wieku jest cechą,
A z takową dla młodych korzyścią, pociechą,
Łatwo się sława, rozum, wzięcie, sprawność kupi.
Kiedy głupi rozumni, a rozumni głupi.

Z modą się świat obraca, wyszedł rozum z mody,
Co ledwo stary dostał, dziś łatwo ma młody.
Cóż czynić? trudno walczyć z niezliczonym tłumem.
Niech będzie rozum głupstwem, a głupstwo rozumem.

Być księdzem praca, kłopot, i biskup i sądy;
Być młodzianem czeka pora, złe chwile, złe rządy;
Być żonatym, staranie o dzieciach i żonie;
Być wdowcem, żal lat przeszłych, tęskność w każdej stronie.
Być dworakiem, niewola w powabnej postaci;
Być żołnierzem, zysk trudny i życie się traci;

Być w domu gospodarzem, i tam złe znajdziemy.
Czemże być? wszędzie przykrość. Żyjmy, jak możemy.

Bywały czasy takowe, a daj to o Boże, aby się nie wróciły, kiedy tak było mówić można (o sejmach):

Łż się zjechali,
Ażeby brali,
Ażeby zwiedli,
Pili i jedli,
Aby tracili,
Jedli i pili.
Dawnym zwyczajem:
Gryźli się wzajem.

A czyniąc wszystko płochym duchem napaślniczym,
Jak przyszli bez niczego, tak wrócili z niezym.

Bodaj to panegiryk nadęty w arkuszach,
Co' o wiecznopamiętnych pisząc animuszach.
Brziniący w ogromnym dźwięku i dzikim terminie,
Wierszem, prozą, po polsku łże i po łacinie.
Zbija Krym i Zaporoz, Multany, Wołochy,
Pędzi po za Budziaki pierzchliwe motłochy,
Krwia rumieni Ocean, w Carogrodzkie bramy
Tłoczy Assyryjczyki i Mezopotamy.
A mecenas co czyta wspaniałe przykłady,
Za zwycięzce tak sławne dziady i pradziady,
Za monarchy, z którymi łgarz go koligaci,
I mile podziękuje, i dobrze zapłaci.

Bodaj to ślubne pienia. Z miłym towarzyszem,
Burmistrzowa Wenerą, a burmistrz Jowiszem.

Gra Apollo na cytrze, Kupidyny swaty,
Faunzy w płasach. Dryady śpiewają wiwaty:
A Lucyna się krząta o nowe przybysze.
A nasz poeta kontent, jak pisze, tak pisze.

Cóż dopiero gdy chcący pochwalić dokładnie,
Paprockiego herbarza szczęśliwie dopadnie.
Jak wsiędzie na Rawicza ozdobnego płonem.
Jak się wzbije do góry z lotnym Ślepowronem,
Jak Grzymałą umocni, co wieki nie zwała.
Jeleńską i Bawolą nasroży Rogalą:
Podkowy torem szczęścia, Pogoń zyski chyże.
A dopieroż i całe i niecałe krzyże.

Zgola, mój panie kumie, ja to postrzegłem. i teraz co-
raz bardziej postrzegam, iż panowie z nas szlachty żartują

Wzdęci nadzieją.

Lub przywilejem.

Oni się śmieją.

My się z nich śmiejem.

Prawda, iż oni są jaśnie oświeceni, jaśnie wielmożni,
a my się poufale w posiedzeniu zwiemy po naszych imionach,
tak jak się nasi ojcowie wspólnie między sobą zwali:

Bo tytuł próżny,

Gdy czezo w szkatule:

Kiedy kto dłużny,

Co po tytule?

Bo ten nie płaci,

Choć zapłacony:

A u nas braci,

Takie androny

Nie wiele ważą.

Szpichlerz, pasieka,

Pod dobrą strażą.

Na kupca czeka.

A gdy ten brzęknie

Ogromnym trzosem,

Kto z nas ujęknie

Pod nędznym łosem?

Lepiej być w domu

Panem Maciejem,

Niż pokryjomu,

Choć z przywilejem,

Kiedy nie tuczy
Chlubna nadzieja,

Gdy głód dokuczy,
Sznkać Macieja.

Wstępują w ślady starszych panicze utratni, zwłaszcza
gdy się dłużnik do przedpokojów przedrze:

Wówczas nagle przyparci, gdy czułość ostrożna
Zawiodła, a tyłami wykraść się nie można.

Milego gościa w domu uprzejmie witają,
Ślug, iż go w przedpokoju zatrzymali, kają:

Wielbią nprzejmość gościa i jego zalety.

Ten napomyka zwłokę i rzadkość monety. —

Niech wiedzą. — To jest fraszka. — Jak to nazwać fraszką?
Alboż zniewaga gościa jest lada igraszką?

— Ale proszę wysłuchać. — Niech się uspokoję.

Nie mam czasu, dość żartów, a pieniądze moje. —

Pieniądze? proszę siedzieć: Jejmość dobrodzika

Jak się ma? Jak nasz Józio? — Do nauk przywyka.

— Szkoda naglić, dość Pan Bóg talentów użyczył,

Niech się tylko wda w ojca. — Jam panu pożyczył. —

I stałeś mi się ojcem, rozkaż w czym mam służyć.

Apropo. — Nie apropo ustawnie się dłużyć,

A długów nie oddawać, gadajmy otwarcie.

Przypozwę, zyskam dekret i mam na to wsparcie. —

Wsparcie? masz, aleś ludzki, wybaw mnie od zguby.

Kochany, miły, grzeczny, pocziwy i luby. —

Jak zaczął ścisnąć, płakać, pieścić i całować.

Zmiękezał lichwiarz, a co miał pieniądze rachować,

I cieszyć się z widoku, gdy je będzie liczył.

Wyszydzony, nie nie wziął, i jeszcze pożyczył.

Wszak i Seneka, mędrzec zachwalony,

Wielbił ubóstwo, a kradł miliony.

Bodaj przebywać w ośmnastym wieku!

Może, iż w przyszłym jeszcze lepiej będzie;
Cieszyć się z tego, co dzierżysz człowieku.

To jest najlepiej w przyrodzonym rzedzie:
Achilles, Cezar, wielcy ludzie byli,
Jednakże kawy z śmietanką nie pili.

Wielcy! cóż z tego? ja im nie zazdroszczę.

Byli, ja jestem. Śpię, piję i jadam;
Przebiorę miarę, więc się i przeproszę.

I znowu wesół jem, piję i gadam:
Przejdę, a o mnie nie będzie się badał
Ten, który po mnie będzie jadł, pił, gadał.

Brat Kapistran przy pulpicie.
Czyta z Skargi Świętych życie,
A ojciec Rafał tymczasem.
Pomrukuje sobie basem.
Chwaląc wstrzemięźliwość świętą
Dusi flaszkę napoczętą.



⇒ MYSZEIS ⇨

(w streszczeniu).

...

Król Popiel, odrodny od swoich przodków, zaniechawszy ćwiczeń rycerskich pędzi życie w biesiadach i rozkoszach. Naprzód polubił myszy, lecz potem dostawszy Mruczysława kota, robi go swoim faworytem i daje rozkaz wygubienia myszy w całym kraju.

Gmach był niezmierny miniszego klasztoru,
Od dawnych czasów używany marnie:
Pierwszego bowiem wymysł fundatora
Tam ustanowił niezmierną księgarnię;
Doskonalszego coraz wieku pora
Dostatnią z niego zrobiła spiżarnię,
A porzuciwszy marność, która uczy.
Tęgo się jęła, co karmi i tuczy.

Ledwo czytelnych książek foliały
Ojciec kanafarz lepiej dysponował:
Co przedtem próżno na pulpitał stały.
On tam ozory, szynki uszykował.
Pargaminami zwijał specyały:
I aby imbir i pieprz się nie psował.
Pogańskie pisma, i stare kroniki
Lepiej użyte poszły na funciki.

Niezmierne zewsząd wznosiły się stosy
Najwyborniejszych do gustu przysmaków.
Ztąd przełożony ubogi i bosy
Paśł miękką trzodę pulchnych nieboraków.

Znosili skromnie tak przeciwnie losy;
A w nasyceniu nie czyniący braków,
Coraz dostatnią zwiedzając karbonę,
Pędzili w Bogu życie umartwione.

Tam w pośród serów, szynek i ozorów.
Król mysz Gryzomir przebywał spokojnie.
Czezych wspaniałości nie szukał pozorów:
A darów bożych używając hojnie,
Kiedy usłyszał smutnych oratorów.
Którzy mu wieści przynieśli o wojnie.
Zwohuje radę, i nim zaszło słońce.
Już wyprawione sztafety i gońce.

Gryzomir wysłał posły za granicę, prosząc o wsparcie, a sam nakazuje popolite ruszenie. Mruczysław zbiera koty i staje do boju. Stoczona bitwa, pierzchając szczury i myszy. Filuś kotek, faworyt księżniczki Duchny, zabity.

Filuś rozkoszny, miły i przyjemny,
Filuś w pokojach co ustawnie gościł:
W nieszczęsnych skokach sztuczny i foremny,
Filuś, co nigdy w swem życiu nie pościł.
W oddaniu miłych karesów wzajemny.
(Nie jeden amant skrycie mu zazdrościł)
Padł śnierzki łupem, przykład kociej enoty.
Zginęły wdzięki, zginęły pieszczoty!

Łzami rumiane oblewa jagody
Smutna księżniczka, a przy niej dwór cały.
Odrzuca wszystkie od siebie wygody:
Brzmią tylko same Filusia pochwały.
Nie jeden amant udatny i młody.
Choć skrycie kontent, na oko zmartwiał:
A dogadzając żalosnej potrzebie.
Wszyscy staranie czynią o pogrzebie.

Idą porządkiem szykowane roty.
Wszyscy w ponurej i smutnej postaci.
Najpierwsze w marszu idą dzikie koty.
Wyborne czoło od innych współbraci:
Sztandar niósł jeden przedziwnej roboty:
Nieboszczykowscy za tym koligaci.
W żałobne flory ich łapki uwite.
Ostre pazury wciągnięte i skryte.

Przyjaźne zatem nadchodzą orszaki.
Jak który może boleść ciężką znaczą:
Żalose głosy wydawają ptaki,
Synogarlice w parach swoich płaczą:
Swojskich zwierzątek rodzaj wieloraki.
Rozkoszne nawet wiewiórki nie skaczą.
Milczą papugi, niegdyś rezolutne,
Igrać małpeczki zapomniały smutne

Niesie Minetka obroż centkowaną.
Hektorek grzebień ze słoniowej kości,
Irys kołderkę złotem haftowaną,
Bebe manelki dziwnej wspaniałości.
Miledy czarke wewnątrz wyślacaną.
Z której zwykł jadać i częstować gości.
Sprzęty szacowne od łapek i szyje.
Już was kochany Filiś nie użyje!

Leżą na złotych marach położone
Ulubionego faworyta zwłoki.
Po wszystkich stronach kwiaty rozrzucone.
A całun mary okrywa szeroki.
Bujają w puchu członeczki pieszczone.
Dym się z kadzidla wznosi pod obłoki.
Niosą trunienkę, na kształt kolebeczki.
Najukochańsze księżniczki małpeczki.

Już się do stosu zwłoki znamienite
Zbliżyły; w kiry przybrani rycerze.
Cyfry z posępnych cyprysów uwite.
Mruczysław długie zaczyna pacierze.
Dalej obrządki czyni należyte,
A w drżące łapki, gdy pochodnią bierze,
I stos i Filuś spłonęły pospołu,
Garstka się tylko została popiołu.

Smutne ostatki wybornego kota
Skrzętnie przytomni do kupy zbierają.
A że największych wielbień godna cnota.
Wszyscy Filusia pochwały śpiewają.
Już sporządzona puszka szczerozłota.
W niej resztę drogich popiołów składają.
Gmach zaraz stanął wyborny w strukturze.
A taki napis ryty na marmurze:

.

Nie dosyć na tem, że gardłem skarani.
Myszego wojska wszystkie niewolniki:
Nie dość, że będąc z Ojczyzny wygnani,
Świat żałosnemi napelniają krzyki —
Nieutulona w żalach swoich Pani,
Ustawne ojcu podaje supliki.
Żeby się w zemście powziętej nie lenił.
I cały rodzaj myszy wykorzenił.

Obstaje takim prośbom państwa rada.
Twierdząc, iż płochość sławę królów maże.
Insza myśl jednak w Popieleń osiada,
Ci myszy bronią, on je gubić każe.
Gdzie miękkie serce, tam rozum nie nada.
Czegóż płęć piękna kiedy nie dokaże?
Mimo tak wielkie płci naszej zalety.
My rządzim światem, a nami kobiety.

Gryzomir uciekający z placu, głodem przyciśniony, wchodzi do jednej ubogiej chaty i tam wpada w łapkę. Czarownica wróciwszy do domu, chce go zabić, ale dowiedziawszy się o jego dostojenstwie i przypadkach, darowała mu życie i bierze go na łopatę. Głodny szczur dorwawszy się łożu, gasi świeczkę w latarni i razem z nią rzucony od baby. Gryzander brat jego zbiera rozpieczętowane wojska, i prowadzi do gurnia lichwiarza. Gryzomir z latarnią spada na grób Filusia. Schwytany i księżniczce oddany, już miał zginąć, gdy czarownica przybiega do Kruszwy i ratuje go od śmierci. Na radzie króla Popiela wojna uchwalona na myszy. Gryzomir od baby zanieśiony nad Ren do szczurów, które niedawno zjadły elektora Mogunckiego, otrzymuje od Sérowinda, ich wodza, obietnicę posiłków, i wraca do kraju.

Nastaje bitwa.

Nie mieli czasu do przemowy wodze.

Taka złość oba wojska zdejmowała.

Rozpacz wzajemna nie myśli o trwodze.

Mięsza się w kupę wojsk gromada cała:

Gryzą się wzajem zapaleni srodze.

Od wrzasku, pisków aż ziemia zadrżała.

Tuman się wzbija pod same obłoki.

Trupów mogiły, krwi płyną potoki.

Świecą się we łbie, jakby dwie pochodnie.

Zapalczywego Mruczysława oczy.

Straszy pozorem swoje i przychodnie:

Gryzomir niemniej mężny i ochoczy,

Dawniejszą sławę utrzymuje godnie:

Wtem trochę na bok gdy znagła uskoczy.

Widzi Mruczysław, że już bardzo zbliśka

Hufce Renańskie trwoży i uciska.

Stary Sérowind, mimo wiek zgrzybiały,

Dawnej mężności swojej nie uwłacza.

Olbrzymowatą postać wspaniałą,

Nieprzyjaciółom w niczem nie przebacza.

Tuż koło niego hufce okazały,

Synów i wnuków grono go otacza.

Pełne odwagi i mężnej ochoty.
Na przełęknione rzucają się koty.

Wrzaskiem trwożliwym swoich wskrós przejęty,
Mruczysław prosto na ten odgłos leci.
Za jednym razem Gomułkiewicz ścięty.
Sławny pólkownik szczurów roły trzeciej.
Szperkas. Twarogus, pazurmi ujęty.
Osierociały pozostałe dzieci.
Nie wybiegał się przemysły sztucznemi:
Poległ Séroslaw razem z bracią swemi.

Parmezanidas bieży z lewej strony.
Syn Sérowinda piękny i waleczny.
Widzi, iż ojciec wkoło obskoczony.
Od natarczywych kotów mniej bezpieczny:
Gdy leci obces, w punkcie zagryziony.
Godzien pamięci, godzien sławy wiecznej.
Sérowind, który śmierć syna oglądał,
Pełen rozpaczy, umrzeć tylko żądał.

Znagła Gryzomir natychmiast przypada:
Rzuca Mruczysław połów pewny prawie.
Ażeby koniec wzięła dawna zwada.
Stanęli razem na pięknej murawie.
Trwoga we wszystkich umysłach osiada.
Komu niebiosy stawiają się laskawie.
Nim się zaczęła jednak bitwa żwawa,
Gryzomir mówił tak do Mruczysława:

„Niechaj się postać twoja nie nadyma.
„Zuchwalcze, godzien prędkiego skarania.
„Nie straszy mężnych statura olbrzyma;
„Owszem jest celem sławy pożądania.

„Kto zbyt o sobie, tak jako ty, trzyma.
„Nie wart jest względów, nie wart pobiżania.
„Uznasz, twym zgonem śladując, me zwycięztwo.
„Jak głupią hardość karze prawe męztwo“.

Rzekł, a ku górze gdy oczy podniesie.
Postrzegł łaskawą babę na łopacie.
Pewnym zadatkiem szczęścia raduje się.
Tuszy o losu kotów alternacie
Pewien, że nowy laur bitwa przyniesie,
Myśli Mruczysław o szczurów zatracie.
Dalszą rozmową czasu nie trawili,
Obadwa pędem ku sobie skoczyli.

Widzieć tam było rzeczy niesłychane,
Sztuki rycerskie przedniego wyboru.
Pobojowisko krew czyni rumiane,
Nie gasi jednak srogiego rankoru.
Patrzą się na to wojska zadumiane:
Co może zjadłość wraz z punktem honoru.
Mruczysław srog i w mocy potężny,
Gryzomir szybki, udatny i mężny.

Trzykroć się jeden na drugiego miota,
Trzykroć zamachy obu nadaremne;
Szarpie kot szczura, dogryza szczur kota:
I zysk i strata z obu stron wzajemne.
Dodaje siły rozpacz i ochota;
Każdy cios czyni dźwięki mniej przyjemne.
Snują niepewne nici czule Parki,
Gdy się rycerze porwali za barki.

Los, który waży stan wszego stworzenia,
Natychmiast stawil szale swoje złote:

Los, co wyroków swoich nie odmienia,
I w jedno jarzmo wprząga złość i cnotę,
Fatalny kotom wyrok zaginienia
Na Mrucysława dał: a wtem ochotę
Ujął i dzielność; rycerz zawołany,
Padł Gryzomira mężstwem pokonany.

Popiel dowiedziawszy się o przegranej kotów, upił się z rozpacz.

Twardym snem zdjęty, stojący przed sobą
Widzi otrutych stryjów orszak smutny.
Byli ci niegdyś narodu ozdobą.
Nieprzyjaciele władzy absolutnej.
Przybliżają się okryci żałobą:
Poznał swe dzieło monarcha okrutny:
A gdy przejęty strachem ledwo dyszał,
Taką do siebie przemowę usłyszał.

„Zniewieściałego ojca godny płodzie,
„Cnoty najmniejszej niemający znaku:
„Ty, któryś wojnę wypowiedział wodzie,
„Największy swego Królestwa pijaku:
„Cierpisz, a przecię nie mądry po szkodzie
„W piwnicyś osiadł, i pijesz bez braku.
„Gdy cię obżarstwo do tego przywiodło,
„Nie wartes zginąć, tylko śmiercią podłą“.

Wtem postawione zwierciadło postrzega.
Patrzy... aż nowe stoją w oczach dziwy.
Złakł się długiego następców szerega.
Każdego obraz uważa prawdziwy.
Z miodu się pierwszy Piast księżę wylega:
Za nim syn idzie odważny i chciwy.
Toż dalsi, jedni śmieli i potężni,
Drudzy rozpustni, gnuśni, niedołężni.

Trunkiem się wielkie dusze upoddały:
Leszków i Mieszków on na złe przemienił.
Bolesław, z męztwa okrzykniony Śmiały.
Miodem Kijowskim enoty wykorzenił.
Poległ na uczcie Przemysław wspaniały,
Gdy się w Rogoźnie do kufla nie lenił.
Kazimierz — wielki! a przecię kwaterką
Łykał miód smaczny w Łobzowie z Esterką.

Olbracht w Krakowie berdyszem raniony.
Gdy się pijany uwijał po rynku.
Stefan! ów Stefan! dziełami wślawiony,
Polknął śmierć w Grodnie z ustawnego szynku.
I nasz Władysław słusznie uwielbiony.
Przecież podagry dostał w upominku.
Každy w pijaństwie dziwne rzeczy broił:
August Sas Polskę do reszty rozpoił.

Porwie się ze snu na poły zmartwiałe;
Słyszcy na górze coraz większą wrzawę.
Obiega zamek, zwołuje dwór cały.
Chcąc jakążkolwiek mieć z niemi rozprawę.
Próżne okrzyki echa powtarzały:
Každy z nich inną wziął przed się zabawę:
Wszyscy się dawnych obietnic wyrzekli,
Wszyscy w nieszczęściu od pana uciekli.

Kancelarz zabrawszy, co zyskał z pieczęci.
Poszedł w świat czekać, co się dalej stanie.
Marszałkom czujność wypadła z pamięci:
Senat potępił przeszłe panowanie.
Hetman wziął pretext prywatnych niechęci.
Nie stało miodu — uciekli dworzanie.
Podskarbi skrzętność okazując czułą,
Zostawił klucze, sam uciekł z szkatułą.

A ojciec kantor, co śpiewał pochwały
Króla i kota, gdy się dobrze działo,
Widząc Kruszwicki zamek spustoszały,
Jak postrzegł, że się panu nie udało.
Wielki poeta, dworak doskonały,
Natychmiast zwrócił Muzę okazałą:
W upadku kotów wielbił górne losy,
Myszy szczęśliwe wyniósł pod niebiosy.

Od sług zupełnie Popiel opuszczony,
Widzi płynącą myszy wielką zgraję.
Strach go natychmiast objął nieskończony,
Nikt mu ratunku, nikt rady nie daje;
Wtem małe czółnko postrzegł z jednej strony,
W niem senatora owego poznaje,
Który, że pana pochlebstwy nie gubił,
Dwór się nim brzydził i on go nie lubił.

Zapłakał Popiel na to widowisko;
Bardziej, gdy mu się ów rzuca pod nogi.
„Widzisz, o Panie, fortuny igrzysko,
„Rzecz, los tobie dokucza zbyt srogi.
„Chociaż potężny nieprzyjaciół blisko,
„Masz mnie wiernego, bądź jeszcze bez trwogi:
„Albo do brzegów bezpiecznych zawinę,
„Albo przynajmniej razem z tobą zginę“.

Siadają w łódkę: wtem wiatry burzliwe
Nagle wzruszone ze wszech stron powstały;
Pędzą, gdzie wojsko myszy zapalczywe
Płynąc prowadzi Sérowind wspaniały.
Kończy monarchia losy nieszczęśliwe,
Trwogą, zgryzotą na polu zmartwiały.
Gdy go przyjaciel broni do upadłej,
Popiel wpadł w wodę, i myszy go zjadły.

Wielki Kadłubku, któż cię wielbić zdoła?
Tyś to nam pierwszy te dziwy objawił.
I żeś pracował w pocie twego czoła.
Wiek cię potomny będzie błogosławił.
Przebacz, jeżeli Muza zbyt wesola:
Nie dość nauczyć, trzeba, żebyś bawił.
Czyś bajki pisał, czyś prawdę określił,
Wiem, żeś w prostocie ducha twego myślił.

A my, którzy te powieści słyszymy,
Dobrego męża wszyscy wychwalajmy.
Sławmy autora, z którego bierzemy:
Gdy wodę pijem, źródło uwieczajmy;
Niestusznie wielec małymi gardzimy;
To za duchowny obrok wszystkim dajmy.
Szczęśliwy, kto wdzięk wraz z pożytkiem złączył.
Bądźcie łaskawi, jam pracy dokończył.



MONACHOMACHIA,

CZYLI

WOJNA MNICHÓW

(w streszczeniu).

.....

Niezgoda zazdrosna spokojności zakonnej, wznieca rozruch w klasztorze
synów Dominika.

Wtenczas nie mogąc znieść tego rozruchu,
Ojciec Hilary obudzić się raczył.

Wtenczas ksiądz przeor, porwawszy się z puchu,
Pierwszy raz w życiu jutrzeńkę obaczył.
Klął ojciec doktor czułość swego słuchu.
Wstał, i widokiem swym ojców uraczył:
I co się rzadko w zgromadzeniu zdarza.
Pędem niezwykłym wpadł do refektarza.

Na taki widok zbiegłe braci trzody,
Pod rzędem kuflów garcowych ukłękły:
Biegli ojcowie za mistrzem w zawody.
Ten strachem zdjęty i srodze przelekły.
Wprzód otarł z potu mięsiste jagody.
Siadł, ławy pod nim dubeltowe jękły.
Siadł, strząsnął mycką, kaptura poprawił.
I tak wspaniale wyroki objawił:

„Bracia najmiłsi! Ach! cóż się to dzieje?
„Cóż to za rozruch u nas niesłychany?
„Czy do piwnicy wkradli się złodzieje?
„Czy wyschły kufle, gąsiory i dzbany?
„Mówcie!... cóżkolwiek bądź, srodze boleję:
„Trzeba wam pokój wrócić pożądanym...
Wtem się zakrztusił, jęknął, łzami zalał...
Przeor tymczasem pełny kubek nalał.

Już się zdobywał na perorę nową
Doktor, gdy postrzegł likwor przezroczysty.
Wódka to była, co ją zwą kminkową,
Przy niej toruński piernik pozłocisty.
Sucharki masą oblane cukrową,
Dar przeoryszy niegdyś uroczysty.
Zachęca przeor w urzędzie chwalebny:
„Racz się posilić, ojcie przewielebny!”

O! rzadki darze przedziwnej wymowy.
Któż ci się oprzeć, któż sprzeciwić zdoła?
Tak łagodnemi zniewolony słowy.
Wziął doktor kubek w pocie swego czoła.
Łyknął dla zdrowia posiłek gotowy:
Lecz żeby jeszcze myśl przysła wesola.
W świętym orszaku. w gronie miłych dzieci.
Raczył się napić raz, drugi i trzeci.

Jako po smutnej chwili, która mroczy.
W pierwszym świtanu rumieni się zorze.
Uwiedle ziółka wdzięczna rosa moczy.
I rzeźwi kwiatki w tak przyjemnej porze:
Wyiskrzyły się przewielebne oczy
Po słodko dzielnym wódeczanym likworze.
Odkrzaknął żwawo. niby się uśmiechnął.
Przymrużył oczy. nadał się i kichnął.

Na takie hasło. ojcowie, co rzędem
Według godności i starszeństwa stali.
Najprzyzwoitszym poruszeni względem:
Wiwat! chórowym tonem zawołali.
Ojciec Honorat najbliższy urzędem,
Którego bracia wielce szanowali.
Niegdyś promotor sławny różańcowy,
Temi najpierwszy aplaudował słowy:

„Pisze Chryzypus o Alfonsie królu.
„Kiedy prowadził wojnę z Baktryany,
„Iż w pośród bitwy, na Licyjskiem polu
„Od wojska swego będąc odbieżany.
„Staął; a wody czerpnąwszy z Paktolu.
„Tak się orzeźwił. iż zgnębił pogany.
„Ztąd poszło *lemma* na marmurze ryte:
„*Pereat umbra!* Lemma znamienite.

„Wiem, bom to czytał w uczonym Tostacie.
„Po ciemnej nocy, że jasny dzień wschodzi.
„Na godnym kiedy cnota majestacie
„Siedzie, o szczęściu wątpić się nie godzi
„Czegoż się, mili bracia, obawiacie?
„Z nami jest ojciec doktor i dobrodziej.
„Dał szczęsne hasło, orzeźwił swym wzrokiem;
„Cieszymy się pewnym fortuny wyrokiem“.

Skończył; natychmiast skosztowawszy trunku
Ojciec Gaudenty z urzędu się wtoczył:
A zniesć nie mogąc swojego frasuunku.
Napół drzemiące oczy łzami zmoczył.
Rzekł: „Okoliczność złego jest gatunku:
„Nie chcę ja, żebym pochlebstwem wykroczył;
„Rozruch dzisiejszy smutne wieści głosi,
„Wiem ja, ojcowie, na co się zanosi.
„Zazdrość od wieków na nas się oburza.
„Zgnębić niewinnych pragnie w tych krainach.
„Już jad z pokątnych kryjówek wynurza.
„Chce się sadowić na naszych ruinach.
„Od gór Karmelu niebo się zachinurza.
„Równa zajadłość w Augustyna synach;
„I tym, co zcicha działają, nie wierzyny:
„Pókiśmy w siłach, na wszystkich uderzmy!“

Ojciec Pankracy, Nestor różańcowy,
Co trzykroć braci i siostry odnowił,
Nim puścił strumień łagodnej wymowy.
Naprzód starszyznę i braci pozdrowił:
Słodkimi serca zniewalając słowy.
Miękczył umysły, i nadzieje wznowił:
„Wiercie, rzekł, bracia, zgrzybiałej siwiźnie.
„Rzadko się płochosć z ust starych wysliznie.

.

„Moja więc rada wyzwać na dysputę
„Tych, co się nad nas gwałtownie wynoszą.
„Niechają bronię jeszcze nie zepsute,
„Niechaj litości zwyciężeni proszą;
„A za najśroźszą hardości pokutę.
„Niech oni sami nasze laury głoszą.
„Wyjdziemy sławni z niesłusznej potwarzy.
„Zgnębnim potwarców... Tak robili starzy“.

Rzekł: i natychmiast doktor się obudził.
Przeor odetchnął, lektor przetarł oczy,
Makary, co się słuchaniem utrudził,
Wymknął się cicho, i ku celi toczy.
Ojciec Udefons, co równie się zmudził,
Bryknął, jak rzeński rumak na poboczy.
Morfeusz, patrząc na dzieci kochane,
Siał słodkie spania i sny pożądane.

Przypadek źle wróżący ojca Rajmunda, sprawia zamieszanie w murach Karmelu. Zgromadzają się ojcowie: wśmęch wchodzi posty od synów Dominika, i wyzywają na dysputę.

Wchodzi Eliasz od świętej Barbary,
Marek od świętej Trójcy z nim się mieści;
Jan od świętego Piotra z Alkantary,
Hermenegildus od Siedmiu Boleści.
Rafał od Piotra, Piotr od świętej Klary;
Zeszło się ojców więcej jak trzydzieści.
Starzy i młodzi, rymniani, wybledli.
Wszyscy swe miejsca porządnie zasiedli.
Już ojciec przeor kaczkowatym głosem,
Wprzód odkrząknawszy, perorę zaczynał;
Już ojciec Marek siedzący ukosem,
Kręcił szkaplerzem, i za pas się trzymał;
Już ojciec Błażej, coś szeptał pod nosem,
Już stary ojciec Elizeusz drzemał,

Już i niektórzy znudzeni odeszli —
Biało kapturni gdy posłowie weszli.

.
Naprzód Gaudenty, pozdrowiwszy żwawo:
„Ojcowie, rzecz, czas pokazać światu,
„Kto ma z nas lepsze do nauki prawo;
„Czyjego dzieła lepsze są warsztatu.
„Jeżeli się książek nudzicie zabawą,
„Jeżliście szkole nie dali rozbratu.
„Nam za zwycięstwo, a wam za pokutę.
„Plac wyznaczamy... prosim na dysputę“.

.
Nowa przyczyna w Karmelu do rady:
Ojciec Makary nie życzy wojować.
Ojciec Cherubin cytuje przykłady,
Ojciec Serafin chce losu próbować.
Ojciec Patnucy wysyła na zwiady.
Ojciec Zefryn nie chce i wotować.
Ojciec Eliasz wielbi stan spokojny:
Starzy się boją, a młodzi chcą wojny.

Za złem zwyczajnie idzie większość głosów:
Kryski wojenne znagła powiększone.
Wszyscy niepewnych chcą próbować losów.
I na powszechną gotują obronę.
Starych uwagi zgłuszył wrzask młokosów:
Nie słyszą dzwonów na *scartę i none*.
Wtem brat Kleofas na obiad zadzwonił.
Wypadli wszyscy, jakby ich kto gonił.

Rada w Karmelu o przyszłej dysputcie.

Ojciec Gerwazy od Zielonych Świątek.
Taki radzenia uczynił początek:

„Nie dość, ojcowie, najeść się i napić,
„Trzeba tu więcej coś jeszcze dokazać.
„Kto wie? w dyspucie możemy się poszkapić.
„Ja radzę, żeby tę niezgodę zmazać.
„Trzeba się wcześniej, a dobrze pokwapić.
„Niech z nami piją: a wtenczas ukazać
„Potrafić światu, o ich własnej szkodzie,
„Co może dzielność w największej przygodzie“.

„Daj pokój bracie! rzekł ojciec Hilary; —
„Nie zaczepiajmy rycerzów zbyt sławnych.
„Wierz doświadczeniu, wierz, co mówi stary:
„Widziałem nieraz w tej pracy zabawnych —
„Zbyt to są mocne kuflowe filary;
„Nie zdołasz wzruszyć gmachów starodawnych.
„Znam ja ich dobrze, zna ich brat Antoni:
„Pijemy dobrze, ale lepiej oni“.

Już dziewięć głosów było w różnem zdaniu,
Gdy kolej przysła na Elizeusza:

„Żeby dogodzić waszemu żądaniu.
„Rzekł — sprawiedliwa żarliwość mnie wzrusza.
„Za nie tu kufle: w księgach i czytaniu
„Cała treść rzeczy: żal mówić przymusza:
„Minęły czasy szczęśliwej prostoty.
„Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty!

„Z góry zły przykład idzie w każdej stronie,
„Z góry naszego nieszczęścia przyczyna.
„O! ty, na polskim co osiadłszy tronie,
„Wzgardziłeś miodem i nie lubisz wina.
„Cierpisz, pijaństwo że w ostatnim zgonie —
„Z ciebie gust książek, a piwnie ruina.
„Tyś naród z kuflów, szklenie, beczek złupił.
„Bodajżeś w życiu nigdy się nie upił!

„Trzeba się uczyć. Wiem z dawnej powieści.
„Że tu w klasztorze jest biblioteka;
„Gdzieś tam pod strychem podobno się mieści,
„I dawno swego otworzenia czeka.
„Był tam brat Alfons lat temu trzydzieści.
„I z starych książek poodzierał wieka.
„Kto wie? może się co znajdzie do rzeczy.
„I słaby oręż czasem ubezpieczy”.

Rzekł — a gdy żaden nie wie, gdzie są księgi.
Na ich szukanie wyznaczają posły.
Żaden się podjąć nie chce tej włóczęgi:
A uczonemi wzgardziwszy rzemiosły.
Wolna starszyzna od przykrej mitręgi,
Wkłada ten ciężar na domowe osły.
Bracia kochani! wam to los nadarza.
Posłano w zwiady z krawcem aptekarza.

Miedzy dzwonicą i fórcianym gmachem.
Na starożytnej baszty rozwalinach.
Łaty spróchniały, wiszący nad dachem.
Był stary lamus: ten w tyłu ruinach
Nabawił nieraz przechodzących strachem.
Chwiejąc się z wiatry w słabych podwalinach.
Tam choć upadkiem groził szczyt wyniosły.
Po zgniłych krokwach dostały się posły.

Czegoż nie dopnie animusz wspaniały!
Przy pożądanej mecie ich postawił.
Drzwi okowane posłów zatrzymały;
Więc żeby długo żaden się nie bawił.
Porwą za kłainry: pękł zamek spróchniały.
Widok się wdzięczny natychmiast objawił.
Wracają, pracy nie podjąwszy marnie;
Dając znać wszystkim, że mają księgarnie.

Właśnie natenczas ojciec przeor trwożny,
Dla dobrej myśli, resztę kufla dusił.
Wchodzi w tym punkcie goniec nieostrożny:
Porwał się ojciec i zagnął zakrzuszył.
Już chciał ukarać: lecz, jako pobożny.
Wypić za karę, bo było, przymusił.
Zagrzany duchem pokory chwalebny.
Wypił brat resztę po ojcu wielebnym.

Wdzięczna miłości kochanej szklenice!
Czuje cię każdy i słaby i zdrowy;
Dla ciebie mile są ciemne piwnice,
Dla ciebie znośna duszność i ból głowy.
Słodzisz frasunki, uśmierzasz tęsknice:
W tobie pociecha, w tobie zysk gotowy
Byle cię można znaleźć, byle kupić.
Nie żał skosztować, nie żał się i upić.

Co tam znaleźli, ukrył czas zazdrosny.
Czas, który niszczy nietrwałe dostatki.
Mówmy więc teraz jak doktor żałośny
Poszedł na radę do wielebnej matki.
Co wskórał, dobra zakonu miłośny -
I to czas zakrył. Więc dziejów ostatki.
Gdyż każe umysł natchnieniu posłuszny.
Piszmy, jak możemy, na pożytek duszny.

Piszmy jak doktor wróciwszy od kraty.
Zwołał najpierwsze głowy zgromadzenia:
Jak wierne swemu powołaniu braty.
Byli posłuszni na jego skinienia:
Jako się wszystkie zamknęły komnaty.
Jako się postać klasztoru odmienia.
Ustał brzęk kuflów i radość obfita:
Nawet Gaudenty w rubryceci czyta.

.

Schodzą się mędracy, i biali i szarzy,
Czarni, kawowi, w trzewikach i bosi,
Rumiana dzielność błyszczy się na twarzy,
Tuman mądrości nad łbami się wznosi:
Zazdrość i pycha zjadłe oczy żarzy.
Jeden się tylko zakon nie wynosi:
Pokorę świętą zachowując wszędzie,
Siedli przy końcu; jednakże nie w rzędzie.

.

Powstali wszyscy, póki nie usiedzie
Pan wicesgerent, mecenas dysputy.
Sławny to mędrzec, i pilny w urzędzie:
Wziął kunia szubę i czerwone buty.
Dalej ksiądz proboszcz w rysiej rewerendzie;
Dalej ojcowie, co czynią zarzuty.
Defendens zatem, uchyliwszy głowę,
Do mecenasa zaczął tak przemowę:

„Na płytkim gruncie rozbujających fluktów
„Korab mądrości chwieje się i wznosi:
„A pełen szczepu wybornego fruktów,
„Niewysławioną kiedy korzyść nosi. —
„Twoich, przezacny mężu, akweduktów
„Żąda: a pewien, że względy uprosi,
„Płynie pod wielkiem hasłem, głosząc światu,
„Żeś ty jest perłą konchy Perypatu.

„Słońce, co światłość znikłą wydobywa,
„Planety, które różne chwile dziela,
„Księżyc, co równie wzrasta i ubywa,
„Gwiazdy, co nocną posępność wesela:
„Wszystko to w sobie zawiera Leliwa,
„I dom szacowną wsparty parentelą
„Ostrogskich książąt, Pinczowskich margrabiów,
„Górków, Tarnowskich i Krasieckich hrabiów.

- „Milezcie Burbony: lub w konceptach nowych
 - „Głoście szczęśliwość Sarmackiej krainy.
 - „I wy potomki synów Jagiellowych,
 - „I wy Auzuńskie Gwelfy, Gibeliny,
 - „Znoście wielbienia: a w pieniach gotowych
 - „Dziś uwielbiajcie heroiczne czyny.
 - „Niechaj najdalsza potomność pamięta
 - „Wielkość dzieł. nauk, cnót wicesgerenta.
- 4
- „Niechaj się Zoil od zazdrości puka,
 - „Niechaj się Syrty i Charybdy kruszą,
 - „Niechaj i Paktol nowych źródeł szuka,
 - „Niech się Olimpy i Parnasy wzruszą:
 - „W tobie firmament znajduje nauka:
 - „Tyś kraju zaszczyt, tyś Ojczyzny duszą.
 - „Przeniosłeś w sławie Sfinxy i Fenixy,
 - „W dziełach Euryppey, Bucentauri. *Diri*“.

Dysputa doprowadziła do bitwy. Słyszając jej odgłos Hyacynt, mile bawiący się z dewotką, bieży swoim na pomoc.

Lecą sandały, i treпки i pasy,
Wrzawa powszechna przeraża i głuży.
Zdrętwiał Hyacynt na takie hałasy.
Chciałby uniknąć bitwy z całej duszy:
A przeklinając nieszczęśliwe czasy,
Resztę kaptura nasadził na uszy.
Już się wymykał... wtem kullem od wina
Legł z sławnej ręki ojca Zefiryua.

Ryknął Gaudenty, jak lew rozjuszony,
Gdy Hyacynta na ziemi zobaczył:
Nową więc złością znagła zapalony.
Żadnemu z ojców, braci, nie przebaczył.
Padł i mecenas z krzesłem przewrócony,
Definitora za kaptur zahaczył,

Łukasz raniony zwinął się w trzy kłęby.
Stracił Kleofas ostatnie dwa zęby.

Coraz się mnożą i krzyki i wrzaski,
Hałas zmięszany powstaje, aż zgroza!
Ojciec Remigi, sążnisty, a płaski.
Używa żwawo zgrzebnego powroza;
Wziął w łeb Kapistran obręczem od faski.
Dydak półgarcem ranil Symforoza;
Skacze Regulat do oczów, jak żmija.
Longin się z różnem walecznie uwija.

Już był wyciskał talerze i szklanki:
Pękły i kufle na łbach hartowanych;
Porwał natychmiast książkę z za firanki:
„Wojsko afektów zarekrutowanych;“
Nią się zakłada, pędzi poza szranki
Ryeerzów długą bitwą zmordowanych.
Tak niegdyś sławny mocarz Palestyny
Oślą paszczką gromił Filistyny.

Widzi to Rajmund, ozdoba Karmelu.
Widzi w tryumfie syna Dominika;
Wyjeżdża na harc, i wpada wśród wielu.
Godnego siebie szuka przeciwnika.
Rafał z nim obok: „Ratuj przyjacielu!“
Rzekł, — „seraficzna“ w tym punkcie „kronika“
Padła nań z góry; legł i ręką kiwnął,
Dwa razy jęknął, cztery razy zięwnął.

Zapłakał Rafał: a mądry po szkodzie,
Wtenczas błąd poznał, że wróżkom nie wierzył;
Dobrzył jednak kroku na odwodzie.
A gdy Gaudenty na niego się mierzył,

Z mokrem kropidłem w poświęconej wodzie,
Oczy mu zalał, trzonkiem w łeb uderzył.
Nie spodziewając się takowej wanny.
Staął Gaudenty zinoczony i ranny.

Otrząsł się wkrótce: a nabrawszy ducha,
W dwójnasób czyny heroiczne mnożył.
Ojcie Barnabo! lepiej było w puchu.
Pocoś wszedł w wojnę, pocoś się tak srożył?
I ty Pafnucy, ległeś w tym rozruchu.
I ty Gerwazy, słusznieś się zatrwożył.
Nikt go nie wstrzyma w zemście przedsięwziętej.
Na waszą zgubę odetchnął Gaudenty.

.
Wojna powszechna. Jak zabezpieczyć zleniu,
W kącie z proboszczem wicesgerent radzą;
A chcąc usłużyć dobru powszechnemu.
Doktora tamże do siebie prowadzą:
Każdy z nich daje zdanie po swojemu.
Prawa, gdy postrzegł, że się w domu wadzą.
Biorąc w głąb rzeczy, przez swój wielki rozum.
Rozkazał przynieść vitrum gloriosum.

Co niegdyś w Troi był posąg Pallady,
Co w Rzymie wieczne Westalskie ognisko;
Tem był ten puchar czczony przez pradziady:
Starożytności wdzięczne widowisko
Wyjęto ze czcią z najpierwszej szuflady:
Przytomni zatem skłonili się nisko;
I tę wieczystej załogę rozkoszy
W obiedwie ręce wziął ksiądz podkustoszy.

.
Postawion puchar na miejscu osobnem;
Odkrył go prawda, aby był widziany.

Zadziwił oczy widokiem ozdobnym,
Śkni się w nim kruszec srebrno połączany.
Wiele pomieścić trunku był sposobnym
Miara oznacza: był to dzban nad dzbany!
Rzeźba wyborna na górze, a z boku
Wyryte były cztery części roku.

.
Wierzchołek dzbana, przedziwnej roboty,
Grono prałatów w kapitule sławił:
Ogromne barki kształcił łańcuch złoty.
Dalej wspaniałą ucztę proboszcz sprawił.
Znużonej trzodzie z przykładnej ochoty
Pulchnokarczysty pasterz błogosławił.
Śmierć była na dnie; za nią w ścisłej parze
Obfite stypy i anniwersarze.

Paś się oczy wspaniałym widokiem,
Już zapomnieli o bitwie i radzie.
Wtem ojciec Kasper leci szybkim krokiem:
Oko podbite świadczy, że był w zwadzie.
Doktor zwyczajnym tonem i wyrokiem.
Iść z kuflem w bitwę za pierwszy punkt kładzie.
„Z pełnym“, rzekł prałat: i tak rzecz wywodzi:
„Puchar ich wstrzyma, a wino pogodzi“.

W nagłej potrzebie i skąpiec uczynny;
Niesie brat Czesław runiany i tłusty,
Ogromne flaszę, już czuć zapach winny
Wina, którego w post i mięsopusty
W swej celi tylko doktor miódopłynny
Przewielebnemi sam popijał usta:
Garniec wlał w puchar Czesław, wlał i stęknął:
Rozśmiał się w duchu prałat, doktor jęknął.

Idźcież szczęśliwie, gdzie was sława niesie.
Pokoju, zgody i miłości dzieci!
Idźcie! w ciemnościach niech blask ukaże się.
Chwała przed wami przodkuje i leci.
Tobie przekleństwo Arystotelesie;
Czyż cię ta bitwa uczonym zaleci?
Cóż ma za korzyść, kto twój towar kupi?
Próżność nauka! najszcześniejsi głupi.

Wchodzą już w same progi refektarza.
Zkąd Mars zajadły Minerwę wypędził:
Rajmund tymczasem trzonkiem od lichtarza
Jeszcze się bronił. Doktor próżno zrzędził:
„Przeście bitwy!“ krzyczy i powtarza;
Wrzask wszystkich zgłuszył, strach twarze wywędził.
Jeszcze się reszta krzepi bez oręża.
Gaudenty gromi, Gaudenty zwycięża.

Stanął, upuścił broń, skłonił się nisko.
Skoro szacowny skarb w progu zobaczył.
Stanęli wszyscy na to widowisko:
A gdy się puchar coraz zbliżać raczył.
Krzyknęli: Zgoda! Tak wojny siedlisko
W punkcie dzban miejscem pokoju oznaczył.
Czarni i bieli, kawowi i szarzy.
Wszystko się łączy, wszystko się kojarzy.

Za czyje zdrowie pili w takiej porze?
Nie wiem, lecz gdybym znajdował się z niemi.
Piłbym za twoje szanowny przeorze:
Za twoje, który czyni chwalebniemi
Jesteś i mistrzem i ojcem w klasztorze:
I dajesz poznać przykłady twojemi.
Jak umysł prawy zdrożności unika.
Cnota, nie odzież czyni zakonnika.

Czytaj i pozwól, niech czytają twoi.
Niech się z nich każdy niewinnie rozśmieję.
Żaden nagany sobie nie przyswoi;
Nikt się nie zgorszy, mam pewną nadzieję.
Prawdziwa enota krytyk się nie boi.
Niechaj występki jęczy i boleje.
Winien odwołać, kto zmyśla zuchwale.
Przeczytaj, — osądź. Nie pochwalisz? spalę.





STANISŁAW TREMBECKI¹⁾

(ur. 1730 † 1812).

.....

Pani i dziewczki.

Była jedna staruszka w Warszawie
Miała dwie służące: Magdeczkę i Kachnę,
O których powiadają, że w przedzenia sławie
Przeszły Lidyjską Arachnę.
Częstokroć dobry przymiot niewygodny bywa:
Napędzała je często baba do roboty,
Z wieczora paląc łuczywa,
Alie znowu jeno brzask, fureczą kołowroty:

¹⁾ Trembecki pisał prawie wyłącznie wiersze okolicznościowe i polityczne, ztąd do „Ksiąg“ mało co się nadaje z jego utworów, pomimo, że należał do najdłowiejszych ludzi swego czasu.

Tak do nocy od poranku
Musiały prząść bez ustanku.
Kiedy było blisko rana
Kogut piał jak opętaniec.
Baba zaraz chyć z tapczana
Porwawszy na się zbrudzony odziewek.
Biegła rozświecić kaganiec,
A potem prosto do dziewczek.
Te w grochowniach śpiące po pracy głęboko
Jedna się poczęła drapać.
A druga jedno otworzywszy oko
Chce jeszcze trochę pochrapać.
Lecz darmo, bo nad głową hałasuje jęcza:
„Wstajcie dziewczki! gdzie jest przędza?“
Musiały zatem wstawać, murkocząc pod nosem:
„Czy cię piekiełnik rozpierzył psi ptaku
I z twoim pomierzłym głosem!
Przebeczysz ty twego gdlaku“.
Słowo do słowa, nakoniec się zdarza,
Że zagniotły złońnice pana ekscytarza.
Aleć im to zabójstwo nie zdało się na nic:
Bo nie mogąc rozeznać dnia i nocy granic.
W nocy baba latała jak kot zagorzały
Dziewki więc jeszcze mniej spały:
Trafiły tedy z deszczu pod rynną niebogi.
Ktokolwiek chcesz jechać sporzej,
Na ścieżkę ty z gościńca nie bocz dla złej drogi.
Bo często zawiążniesz gorzej.

Anakreontyk

przy odbieraniu czaszy wina z pięknych rąk.

O wdzięków zbiory,
Piękności wzory

Panie, królowe, boginie!
Niech wasze oko
Sięga głęboko.
Nie sądząc gracza po minie.

Włos mi ubielił
I twarz podzielił
Srogi czas w różne zagony,
Lecz za tę szkodę
Dał mi w nagrodę
Serdeczny upał zwiększony

Tak Hekla siwa
Śniegiem pokrywa
Swoje ogniste pieczary.
Wierzeh ma pod lodem,
Zielona spodem
I wiecznie karmi pożary

Płyn mi w potoku
Bachowy soku
Ręką przelany życzliwą,
Gdy na cześć waszę
Pełniąc tę czaszę,
Przygaszam ogień oliwą.

Skoropis

do W. Miera.

Czynię ci stratę.
Dzień drugi mija:
Ktoś czekoladę
Za mnie wypija.
Za to mi życzysz

Co złego Mierze,
Albo mnie liczysz,
Między szalbierze.
Wierz mi co powiem:
Był u mnie wczora.

Stróż nad mem zdrowiem.
Jespan Izora.
Tego to tego,
Espulapiego
Rozkaz zagiódził.
Bym nie wychodził.
Z domu mojego.
Każe brać wanny,
Używać inanny.
Przytem nie tykać.

Ani nie tykać
Wdowy ni panny.
Aż westchnąć muszę
Nad temi słowy;
Przebił mi duszę,
Lekarz surowy.
Powiedz mi przecie.
Któż sobie życzy,
Bawić na świecie
Bez tych słodczy.

Do Jasia o fryzowaniu.

Jasiu! ja lekce twego nie ważę rzemiosła,
Moda potrzebę jego po świecie rozniosła.
Obacz biusta, portrety i dawne kroniki.
Wszędzie twoje grzebieniem słyną poprzedniki;
Z pod ich ręki najmędrze wychodzą peruki,
Z pod ich ręki trefione pysznia się nieuki.
Ozdoby Watykanu, zaszczyty Sorbony.
Wszystko się schyla pod ich kutas ubielony,
Sędziowie parlamentu, prawniki, doktory,
Nie są, jak tylko puklów i harbejtlów zbiory.
Z zachowanych szczęśliwie tej sztuki dowodów.
Widzimy kolej rzeczy i dzieje narodów,
Czyli będzie gust kwitnął, lub czyli kraj który
Z grubości czy prostoty nie nosił fryzury?
Oboje płeć takowej używa ozdoby,
Lecz kobiety bogatsze w piękności sposoby!
Patrz na ten liczny orszak rozlicznych tupetów.
Tu samych przez się fryzur, a tam z pod kornetów.
Tu w miesiąc, tam w promienie, tu z włoskimi kwiaty,
Tu wcale wylizano, owdzie włos kosmaty

Tu z girlandą, tam z piórem. owdzie z małym strojem.
To z szpilką, to z soltanem, z hafteczką, z zawojem
Wszystko to dzieła Jasin twojej wielkiej sztuki,
Po nich my pomnim dziadów, nas pomną prawnuki.
Lecz nie dosyć na samej zręczności i wprawie.
Aby swe imię podać wieczności i sławie,
Trzeba mieć gust szczególny, co przystoi komu:
Przenikać stan umysłu, znać zdarzenia domu.
Inaczej się ubiera panna na wydaniu,
Inaczej młoda, w modnem mężatka kochaniu;
Inszy werżet mąż nosi, gdy kędziory swemi
Gach pudruje po krzesłach, kanapie i ziemi;
Strojna na bal a lekko chce być uczesana
Jejmość, kędyś na pewną godzinę wyzwana;
Inaczej się fryzuje z wczorajszego rada,
Inaczej kiedy komu wojnę wypowiada,
Lub kiedy od leżącej na sofie, dzień cały
Ma wzdychania i rozpacz słyszeć gach niestaly;
Innej głowy chce doktor, innej metr do tańca,
Innej żołnierz, a innej od dworu posłańca;
Dwa razy trzeba ubrać młodego prałata
W dzień ubrany wyjeżdża, w noc w negliżu lata;
Właściwą z tych każdemu dać należy postać,
Tyle to umieć trzeba, by fryzerem zostać!

Ztąd też jest, że pierwszeństwo przed znacznemi dzieły,
Wasze roboty słusznie od wieków zajęły,
Nikt się nie śmie na swoim pokazać urzędzie,
Póki z wami na radzie osobnej nie będzie.
Autory, pacjenty i ministry czasem
Czekają przed pokojem, gdzie wchodzi z kutasem.
Skoro tylko otworzą domy i pałace
I pierwszy do dłużnika lichwiarz zakolace,
Bieży zbiciłona rota działania gorąca,
Szulery, kredytyry, balbierze potracą,

A przez stosunki trafne i sposoby nowe,
Gotuje miastu wzory i piękności dniowe,
Które potem w swe idąc rzędy gdzie kto może,
Ozdabiają ratusze, pałace i łoże.

Jasiu! po twej zdatności ja nie wątpięcale.
Że kiedyś poprzodników twych wyrównasz chwale,
I to właśnie co moją chęć życzliwą skłania,
Dać ci jakowys obraz twego powołania.
Gdy mnie zaś kiedy z dobrej zaczeszesz ochoty,
Niech zwierzchnia, znakiem będzie wewnętrznej prostoty.

Wróbel.

Jurny wróbel z czarną łatką
Upędział się za dzierłatką.
I słowik do niej się palił:
I chcąc rywala odsadzić
Czułość swoją przed nią chwalił:
„Nigdy nie znam co to zdradzić,
Zawszem był dla ciebie stały.
Te ci pienia będę nucić
Które Bogów zachwycaly,
Z tobą się chcę cieszyć, smucić,
I wszystko zrobić, bym twe serce zyskał“.
„A ja (rzekł wróbel) będę ciebie ścisnął“.
I zaraz spór rozsądzony:
Wróblowi kazano zostać,
Słowik z głosem odpędzony.
Otóż kobiet naszymi postać.





KAJETAN WĘGIERSKI¹⁾

(ur. 1755 + 1787).

Wróble i kościół.

Stał kędyś kościół drewniany;
Tysiące wróblów w nim swe gniazdo miało.
Proboszczowi się zachciało,
Żeby był reparowany.
Strach około naszych ptaków,
Wypędzono nieboraków.
Gdy wszystko było gotowo,
I swą robotę skończył ksiądz pleban gorliwy,
Przyleciał rój świegotliwy
Szukać mieszkania na nowo.
Wszystkie dziury załatane,
Wróble nie miały gdzie siedzieć.

¹⁾ Najdowcipniejsze utwory Węgierskiego opuszczamy, bo lubo znajdując się one w każdym piśmie jego wydaniu, aż do ostatniego najlepszego wydania Estreichera — to mogliby się niemi zgorszyć nasi siwi i lysi moralisci.

Powracając się stroskane.
Rzekły: — „Radebyśmy wiedzieć.
Ten gmach duży
Na jaki teraz użytek służy?”

Do wierszopisów.

Scribimus indocti doctique poemata passim. Horat.

Moi wielce mościwi bracia i panowie!
(Boć to i u Was państwo czasem w pustej głowie).
Różnego stanu, wieku, nauki, poeci.
Bękarty, czyli prawe Apollina dzieci!
Posłuchajcie, wszak słuchać nigdy nie zawadzi.
Jeśli co kto dobrego z przyjaciół poradzi.
Niegodnym współczeladnik jest waszego cechu,
Pisałem, nie uszedłem pochwały i śmiechu.
Piszę przecie i pisać jeszcze długo będę.
Nim w rząd dobrych policzon na Parnasie siędę.

Są, którzy już za życia ozdobni laurami.
Jako z dziećmi swojemi postępują z nami.
A bystrym lotem swoim wzniosłszy się wysoko.
Ledwie na liche prace raczą rzucić oko.
Nie będę pochlebniemi, bo mi już obrzydły.
Błagał nieukróconą ich dumę kadzidły.
I żaden mi dotychczas nie zarzuci jeszcze.
Abym miał pochlebstwami podlić dary wieszce.
Biskupi, kanonicy, świeccy i pijarzy.
Słowem wszyscy, którym się wiersze pisać zdarzy.
Czyńcie jak ja, bawrajcie, drukujcie co chcecie.
Ale wszystkich bez braku nie chwalcie tak przecie.
Gdziekolwiek się obrócę, w które pójde strony.
Wszędzie nudnemi rymy jestem zarzucony.
Ten czleka bez sumienia pocziwym być głosi.
Ten przedawcę Ojczyzny w niebiosą wynosi,

Ten, że kto za pieniądze urzędu nabędzie,
Wielbi, i w zasłużonych chce go mieścić rzędzie.
Wiersze piszą, byleby czyje imieniny.
Wiersze znowu byleby czyje urodziny,
Jeszcze wiersze, byle by kto sprzykrzywszy w domu,
Ślubował przy ołtarzu kaci wiedzą komu.
Jęczą prasy i biedni drukarze się pocą,
Głupie się mózgowice ledwie nie przewrócą;
Obiecują ojczyźnie poprawę złej doli,
Dlaczego? że się żeni jakiś pan podstoli,
Oto nieszczęścia wszystkie z Ojczyzny wystraszy
Żeniący się z sędzianką jakiś pan podczaszy.
Niech który mąż w chwalebnym zapale w łóżnicy
Dziecko zbuduje, godne swojej połowicy,
I ta je, przez miesięcy dziewięć odtąd chora,
Na świat wyda z pomocą baby lub doktora:
Już hałas na Parnasie, nie śpią puste głowy,
Cel rymom jest dla wszystkich pochlebców gotowy:
Jeżeli syn, to będzie Aleksander pewnie.
Że się nie chciał urodzić prędszej, płaczą rzewnie;
Byłby niechybnie przez swe męstwo i swe dzieła
Obronił to, co obca przemoc Polsce wzięła,
Lecz i tak nieomyłne powzięli nadzieje,
Że nam z jego pomocą szczęście zajaśnieje.
Jeśli córka, to będzie Lukrecya czysta,
I z jej to ułożenia już rzecz oczywista.
Każdy to przepowiada, a żadnemu przecie
Nie zdarzyło się zgadnąć dotychczas poecie.
Co dzień to w rymach waszych nadzieja nas krzepi.
Że ma być kraj szczęśliwszy, że nam ma być lepiej;
Co dzień się ludzie rodzą i co dzień się żenią.
Losy nasze bynajmniej w lepsze się nie mienią.
Dajcie pokój, gdy się wam nigdy nie nie iści,
Nie mając zwłaszcza żadnej z tych prorocत्व korzyści.

Podział czulego z młodym.

W jednym stołecznem mieście
Mieszkała pewna dama niezmiernej urody.
Z pięknem ją urodzeniem wiek zaszczycał młody
I inne chluby niewieście:
Nielatwa umizgów sztuka,
Wzrok, kibić, grzeczność, nauka;
Takie dary i przymioty
Nie jednemu z młodzików w oczy uderzyły.
Nie każdy był jednak miły.
Choć się jej podobania dosyć miały ochoty.
Pomiędzy tą liczną zgrają
Letnich, młodzianów i pustych fireyków,
Najwierniejszy z miłośników,
Jakiego żadne romanse nie mają.
Czuły i tkliwy,
Powiadano, że cnotliwy.
Czuć go na miłą miłością,
Bez przestanku laził za imością;
Ustawicznie wdychał, szlochał,
Powiadał jej, że ją kochał.
I powtarzaniem własnej czułości.
Tak ją nudził, tak swędził.
Że ją był prawie wynędził.
I zaledwie ze skórą zostawił jej kości.
Wszyscy się litowali nad tą daną młodą;
Szczęściem się chłopiec natrafił raźniejszy
I do miłości zdatniejszy.
Który zdjęty jej urodą
Zaczął jej nadszkakiwać i szeptać do ucha.
Choć to do rzeczy nie było,
Młodość młodości łatwiej jednak słucha.
Z równym się rozumieć miło.

Nakoniec, po staraniach dziełu przyzwoitych
I trudnościach w nich zażytych.

Dopiął swego mój młodzieniec:

I właśnie, gdy zwyczajki kładł na głowę wieniec,
I pieścił się z najmiłą zdobyczą swych trudów.

Przez przypadek nieszczęśliwy

Nadszedł na to Lubon tkliwy,

I stał się widzem tych cudów.

— Nieba! zawołał, i ty jasne słońce!

Księżycu! co oświecasz zdradne niewierności.

Wy świadkowie mych czułości.

Gwiazdy świetne, nocy gońce!

Przestańcie świecić, przykra mi jest światłość wasza,

Wzrok mój mocy jej nie znasza.

Róże! coście czułości ozdabiały czoło.

Możecie już wiednąć sobie,

Po tak nielitościwej na mą tkliwość próbie

Patrząc już na was nie mogę wesoło“.

— „Nie skarż się, rzecze mu przyjemnie

Piękna dama, na której niewierność narzekał:

Czyniłam co było ze mnie,

Abyś na twą szczęśliwość nie czekał.

Coś dziś widział, gorszyć się z tego nie masz prawa.

Na obu jestem łaskawa

I nagrodę za miłość waszą dzielić muszę:

Jemum ciało już dała, tobie daję duszę“.

Nagrobek Bielawskiemu.

(położony za życia).

Tu leży Bielawski, szanujcie tę ciszę,

Bo jak się obudzi, komedya napisze.



ORGANY.

POEMA HEROI-KOMICZNE.

Pieśń pierwsza.

Lubo nie krucyatę, wojnę śpiewam świętą,
Niemniej jednak zażartą i niemniej zawziętą;
Bowiem wojnę, którą wiodł pleban z organistą:
Z szacownej swej powagi zgubą oczywistą.
Muza! któraś wdzięcznemu Tassowi przychylnie
Darów swych używała, gdy opiewał pilnie
Wszystkie dzieła wielkiego Godfryda waleczne,
Jak pobożnych chrześcian wiodąc kupy sprzeczne,
Dobyl Jerozolimy, starł Egipcyanów,
Poskromił dumną pychę wyniosłych sułtanów:
Natchnij mię duchem swoim, bym mógł śpiewać godnie
Jakie czarna nienawiść zażęgła pochodnie
Wśród spokojnej przyjaźni, i jakimi ścieżki
Ścisłą zgodę w wichrzyste zmieniła zamieszki:
Jakie ztąd krwi rozlanie, jak zjadłe gonitwy.
Z jakim mężnym uporem wydawane bitwy.
Jakie z obu stron znaczne poniesione straty.
Kłęski nienagrodzone późniejszymi laty!
Ale dość na tem. Muza próśb moich wysłucha.
Wy krytycy nadstawcie łaskawego ucha.
I czy to dla pożytku, czyli dla zabawy,
Cierpliwie posłuchajcie do końca tej sprawy.

Ledwie tylko jutrozenka nocne gubiąc cienie,
Jaśniejsze światu dawać poczęła odzienie.
Przez dziada organista nagle obudzony.
Co najrychlej uderzyć rozkazał we dzwony.

Ogłaszając śnierzé baby, która tejże nocy
Bogu ducha oddała po ciężkiej niemocy,
A księdzu testamentem za świadczone łaski
Krowę dała i masła starego pół faski.
Silnemi barki dziadów w tę i ową stronę
Ogromne dyndy hałas czynią poruszone.
W miękkiej złożony chrapał ksiądz pleban pościeli.
Znużony nabożeństwem z wczorajszej niedzieli:
Na jawie nabożnemi nabitą myślami
Mając głowę, nudził się podobnemi snami.
Śniło mu się, jakoby po ścieżce zbyt ślizkiej
Na siwej faworytee, do wioski pobliskiej
Gotować i wyprawiać jechał w drogę wieczną
Chorobą złożonego człeka niebezpieczną.
Wtem zbudzony brzękliwych dzwonów przykrym dźwiękiem,
Jeszcze niby nad chorym z pobożnym ukłękciem
Ziewając i trąc ze snu oczy melle i mgliste.
Zdało mu się, że klektał modlitwy strzeliste:
Ale go z tak świętego wywiódł roznamiętania
Wszystkich zakrystyanów ozdoba, z imienia
Matyasz, zakrystyan, co tego urzędu
Nie intrygą, ni doszedł z łaskawego względu.
Ale przez nieprzerwane i wielkie zasługi,
Służąc do mszy, i gasząc świece przez czas długi
— „Ty śpisz (rzecze) prałacie, a w twoim kościele
„Rozrządza się kto inny, i to czyni śmieie.
„Co prawem, biegiem wieków bez lichby stwierdzonem.
„Tobie tylko samemu było pozwolonem:
„Ty śpisz gnuśny, a nie wiesz, że tam organista
„Z bezczynności i twego ospalstwa korzysta,
„I już na miejscu baby dzisiaj zeszedł z świata.
„Bez względu na licznego o to kandydata.
„Bez uwagi na dawność, na moje żądania.
„Swojego koczkołona wziął do kalkowania.

„Zaraz siadł przy organach już podobno słyszę,
„Kurzem zaszle omiata i rusza klawisze.
„Ty nie na to, czy czekasz, iż inne ominę.
„Ażeby ci bezprawnie wydarł dziesięcinę
„I za meszne odebrał, — to niech lepiej sobie
„Będzie plebanem, być zaś organistą tobie“.

Jak ostrem żądłem pszczoły buliaj obudzony,
Miota się i napętnia rykiem wszystkie strony,
Tak tą wzruszony mową ksiądz pleban gniewliwy,
Porywa się do zemsty cale nie leniwy.
Lecz jednak w tym zapędzie tyle miał pamięci.
Że siebie przeżegnaniem i łóżko poświęci.
Uczyniwszy intencją, chociaż myślał sobie
W jakimby przeciwnika mógł zgładzić sposobie.
To zrobiwszy porywa rewendę prędko,
Włożywszy wprzód kołnierzyk i koszulę miękką.
I zaraz szybkim krokiem, gdzie go sława woła,
Chce biedz z zakrystyanem razem do kościoła.
Zadziwiona tym gniewem, odstąpiwszy garnka.
Skoczy naprzeciw panu roztropna kucharka,
I hamując powoli tak żwawe zapędy:
— „Stój, rzecze, gdzie ty bieżysz panie? i o kędy
„Ten cię zapal porywa? co za sposób nowy,
„Iść wtenczas do kościoła, gdy obiad gotowy?
„Co cię dzisiaj do postu takiego zagrzewa?
„Wigilię? suche dni kalendarz opiewa?
„Pomiarkuj się, ale bądźże o tem przekonany,
„Że nigdy nie był dobrym obiad rozgrzewany“
To wyrzekłszy, na stole stawia rosół smaczny:
Daje się tym widokiem wzruszyć pleban baczny,
I lubo mu nienawiść szeptała do ucha,
On jednak apetytu i kucharki słucha;
Siada, lecz zawsze gniewny, połykając całkiem,

Ledwie się nieskąsanym nie zdławił kawałkiem.

O pańskie zdrowie nader Dorota troskliwa.
Mocno na tę porywczosć zbytnią nbolewa.
Widzi, że z niestrawnego tak bardzo jedzenia,
Srogich wiatrów nabędzie i głowy bolenia:
A ztąd niebezpieczeństwo czując oczywiste,
Skoczy do komendarza i po altarystę.
O przypadku każdemu z przyjaciół powiada.
Nie tak bieży na pomoc zgłodniała gromada.
Jak chcąc jeszcze pieczeni zastać kawał tłusty,
By nim żołądek mogła naładować pusty.
Z radości prałatowi oczy się iskrzyły.
Gdy taką liczbę wiernych przyjaciół zoczyły:
Purpurowym kolorem zarumienił lice.
Po tak szczęśliwych twarzach wiodąc swe źrenice,
U wszystkich widzi szczerą chęć jemu służenia,
Gniew swój w pomyślną nader nadzieję odmieniał;
Niezawodnej zwycięztwa nabiera otuchy.
Tymczasem chcąc posilić wypróżnione brzuchy,
Szybkę przynieść rozkaże, a sam zaś z komory
Bardzo starego miodu wyniósłszy dzban spory.
Nalewa duży kufel: — „Niech się kto chce troszczy,
Rzecz, a ja do ciebie księżu podproboszczy!“
Wypił, ten za nim, każdy nachylając dzbaną
Staral się naśladować godnego plebana,
Tak dobrze, że się same już zostały męty.
Nim ostatni napelnił swój gardziel nadęty.
Sądził zaś zacny prałat, i bardzo roztropnie,
Że prędzej tym sposobem swych zamysłów dopnie;
Bo laniej kiedy trunkiem są zagrzone głowy,
Rozrzewniać miękkie serca żalosiemi słowy.
Zaczem, gdy zasiadł każdy miejsce naznaczone:
— „Odlóżcie, rzecze do nich, nienawiść na stronę,
„A względną sprawiedliwość wzięwszy za przewodnią,

„Rozsądźcie to uważnie, czyli nie jest zbrodnią
„W cudzą wdzierać się władzę, deptać dawne prawa.
„Słów mi do opowiedzi tego nie dostawa,
„Z jak haniebną uznanej powagi pogardą,
„Organista podnosić chce swą głowę hardą,
„Ale ja go uśmierzę, was zaś proszę o to,
„Byście mi dopomogli do tego z ochotą.
„O was tu samych idźcie, dajcie poznać śmiecie,
„Że wy w swoim jesteście panami kościele,
„I że bez waszej wiedzy, i bez pozwolenia,
„Żadna się rzecz nie staje, ani się odmienią;
„Pokażcie to bezpiecznie temu zuchwalcowi,
„Że to wszystko nieważne, co on postanowi,
„I że przy nas jest dawna władza wybierania
„Zdatnej, z tak wielkiej liczby bab, do kalkowania“.

Do serca poruszona tą mową gromada,
Jednostajnie na chęci jego odpowiada.
Każdy mu pomoc obiecuje szczerze,
Takie więc między sobą stanowią przymierze:
Żeby wszyscy złożywszy jutro radę walną,
Deczyzą w tej mierze wydali finalną:
Żeby podejściu były zagrodzone wrota
Obiecali obierać *per secreta vota*.

Pieśń druga.

To tylko, co dwaj wiedzą, sekretem się zowie,
Jako nas słusznie dawne naucza przysłowie;
Między trzema zapewne sekret się nie mieści,
Cóż dopiero, kiedy ich więcej niż trzydzieści?
Każdy lubo niechęący, wyda się nieznacznie,
Drugi nie myśląc skończy to, co pierwszy zacznie.
Ciekawość, co na każde słowo pilnie godzi,
Zszywając te kawałki, wszystkiego dochodzi.

Dwaj u niej zawsze na to czuwają ministry:
Słuch nad dzidy ostrzejszy i wzrok równie bystry.
Tak z ich pomocą kąty najciemniejsze zwiedza,
Najskrytsze tajemnice z łatwością wysledza,
Wie, co się w domach dzieje, co na wsi, co w mieście,
O najmnijszym, najpierwszym, usłyszysz szeleście,
Zawile i rozległe szybko przejdzie gmachy;
Boją się jej królowie, kobiety i gachy,
Wszędzie jej pełno. Ma zaś stolicę w Warszawie;
Tam o najmniejszej zawsze wiadoma zabawie,
Zna, kto z kim jest w przyjaźni, kto źle komu życzy;
Za co ten, co nie nie miał, dziś pieniądze liczy?
Jak ten, co ledwie kontusz dobry miał na grzbiecie,
Dziś się w zielono-żółtej rozpiera karecie,
A pyszny, strzyżonego pomuskując wąsa,
Z tych się biedy, co ich zdarł, bezkarnie natrząsa.
Zna, co komu dolega, czy odra, czy ospa.
Za co ten na wieś jedzie, po co tamta do Spa?
Kto się do tej unizga, ta wzajem do kogo,
Kto kiedy za wygraną sprawę płacił drogo,
Kto kiedy ograł kogo szulerską nauką,
Kto oddawał pieniądze tą nabytą sztuką?
Wie, kto się podłym czyni dla niekzemnych zysków,
Kto niesłusznie do mądrych przypuszczon półmisków?
A smacznemi kaskami pasąc brzuch i oczy,
Nigdy z żadnym conceptem w życiu nie wyskoczy.

Ta tedy tak przenikła bystrych oczu pani,
Organiście do ucha szepce jak najrانیj,
Że się naprzeciw niemu knuje spisek cichy,
Że pod zgotowanemi pewnie leże sztychy.
Jeżeli ich nie zdola odwrócić skutecznie;
Że księża chcą na swoim postawić koniecznie.

I że on razem z babą nabiorą się strachu.
Jeśli natężonego nie zwróci zamachu.

W przykrym był prawdę mówiąc organista stanie.
Największe mało pomódz mogło mu staranie:
Ciężko było złąconej wydolać mu mocy.
Od nikogo ni wsparcia mając, ni pomocy:
A już jako w tych razach zwykło bywać zawsze.
Z bojaźni ustąpiły z głowy myśli żwawsze.
I mniej w nieużytecznym smakując uporze,
Jako o jednym środku, myślał o pokorze.
Kiedy skołatanego uwagami temi
Sen zaskoczył i przykrył skrzydłami miękkimi.

Ale ledwie mu tylko powieki złącone
Oczom spoczynku chcącym zrobiły zasłonę.
I jeszcze po zaśnieniu nie był czas tak długi.
Ażeby się przewrócić dał mu na bok drugi:
Gdy Niezgoda, rozterków, niepokoju cheiwa,
Skrzydła z klótni, z zamieszków sklezione porywa.
A rzucając w klasztorach swe kochane dzieci.
Pobudzać organistę wielkim pędem leci.
Lubo w tę jadąc drogę brała dość lot cichy.
Odjazdem jednak swoim pokłóciła mnichy.
I żeby ich do swego powrotu bawiła.
Z chęcią im kapitułę wcześniej naznaczyła.

Już dawno organista za oblubienicę
Wziął był sobie niewiastę, wielką czarownicę.
Która w tej z księdzem sprawie od zgody daleka,
Darmo dyabłów wzywała na pomoc człowieka.
Jej tedy straszną postać, jej oczy jaskrawe.
Zęby spróchniałe, nogi chude i koszlawe.
Wzięła na się Niezgoda a z krzywego pyska.
Do jęgo się po macku przymknąwszy łóżyska.

Te słowa wyzionęła: — „Z odważnych zrodzony
„Rodziców, i do wielkich dzieł mężu stworzony,
„Sławny po wszystkich karczinach, niezrównany mężstwem,
„I niejednem z chłopami w zalebki zwyciężstwem,
„Doznany organisto! czy spodziałby kto się,
„Byś sobie plebanowi mógł dać grać na nosie.
„I cierpieć, aby na twe organy rozciągał
„Władzę przykrą, i z twej się słabości urągał?
„Wierzaj mi, wołałabym skończyć żywot lichy,
„Niżli się stać ofiarą dumnej jego pychy.
„Podwaja w przeciwniku dzielność kto się boi,
„Przeraża nieprzyjaciół, kto oporem stoi:
„Stań się mężnym, a ujrysz, że ten pleban podły.
„Co teraz, by cię zgubił, szle do nieba modły.
„I fałszywie mniemając, że mu Bóg pomoże,
„Papla pacierz, pierś tłucze, ostrząc na cię noże.
„Ten człowiek zniewieściał, ta nikczemna dusza.
„Którą przeciw cię teraz nienawiść porusza.
„Odstąpi swych zamysłów i placu odbiegnie.
„Gdy cię naprzeciw siebie śmiałego postrzegnie“.

Jak kiedy Feba duchem napuszczony wieszczek.
Swoją dwoistą z trzynożnych daje wyrok deszczek.
Chwytają wielkim ciągiem wszyscy święte smrody,
A kiedy nos zatyka, czy stary, czy młody
On nowe biorąc siły z zapaśnej jaskini.
Z głupich przychodniów żarty tylko sobie czyni, —
Tak serce organisty tą mową zagrzone,
Poczuło w sobie mężstwo dopóty nieznane.
Porwał się ze snu, jakby go piorun przeraził
Zawstydzony, że siebie myślą podłą skaził.
I już o zgodzie żadnej nie czyniący wzmianki,
Chcąc się tem lepiej zagrzać, lyknął przepalanki.
Całą więc myśl już na to obrócił i siłę.

Aby raczej śmiertelną tu znaleźć mogiłę,
Niż ustąpić haniebnie, i by te zamysły
Wzięły skutek, najprędzej zawarł związek ścisły
Z Bartkiem, co blisko mieszkał, odważnym stolarzem,
I z Janem, bardzo śmiałym i zręcznym ślusarzem;
Ci zaś do księdza złości za to mieli wiele,
Że im bronił rzemiosła w święta i w niedziele,
I przeszłego tygodnia za pewną robotę,
Po długiem targowaniu urwał cztery złote.
Onym się więc sekretu całej rzeczy zwierza,
Co chce robić, i kroki jakimi tam zmierza,
Nienawisć i złość księdza przed oczy przekłada,
Bliskość niebezpieczeństwa bardziej go rozjada.
— „Odwagi wielkiej trzeba, przyjaciele moi,
„Tę kiedy mieć będziemy, nie się nie ostoï.
„Trzeba, żebyśmy skrycie dzisiaj ciemną nocą
„Za wzajemną organy zniszczyli pomocą.
„I tak one zniszczyli, by nim kur zapieje.
„Powstania nawet kiedyś nie miano nadzieje“.

Oba mu na to przyjaźń obiecują szczerą:
Jan obiecał przyjść z młotkiem, a Bartek z siekierą.
— „Nie dość tu jest na waszej słownej obietnicy.
„Któż was wie? możecie być jak inni zmiennicy.
„Wszystkich was trzech przysięga zobowiąże sroga.
„Żadna się w tył nie będzie mogła cofnąć noga“.

Jak więc bohaterowie, co po runo złote
Za morze się wybierac powzięli ochotę,
Lub ci Grecy w trojańską co płynęli stronę,
Zbieglą mężowi nazad chcący wrócić żonę,
Straszną przysięgą stałość wzajemną stwierdzili. —
Tyleż i trzech rycerze nasi uczynili.
Potem się pożegnawszy, każdy szedł do siebie,
Czynić przygotowania ku walnej potrzebie.

Ażeby skoro tylko światło słońca zgasło,
Dane im do kościoła zgromadziło hasło.

Pieśń trzecia.

Jużem sobie ułożył, aby w trzeciej pieśni,
Żeby ta cała kłótnia wzięła koniec wcześnięj.
Nie morału nie było, bo nie wiedzieć na co
Czynić usiłowanie, i starać się z pracą
Naprawić lud zepsuty; czy ja bocian, aby
Świat czyścić i krzykliwe z niego zbierać żaby?
Lecz wytrzymać nie mogę. — nie wiem czem się dzieje,
Z chęcią bym się urzędu podjął kaznodzieje,
A machając rękami z wysokiej ambony,
Wrzeszczałbym: Zaniechajcie niezgody szalonej!
Potem zaś treść najprostszą na trzy dzieląc części,
Pismo i Ojców świętych cytowałbym częściój,
A po plagach pamiętny lecey rozlicznych,
Wysypałbym gromadę figur retorycznych,
I niezgodę bym (za to niech mię nikt nie łaje),
Do brzydkiej niedźwiedników równał szalamaje,
A z dęcia dud niezgodnych chrapliwego dźwięku,
I ruszania klawiszów od niezgrabnych ręki
Biorąc pochop, wniosek bym czynił nieomylny,
Że u nas dla niezgody dobry rząd bezsilny.
Potem się coraz bardziej w mojej szerząc mowie,
W dalszej dowodzić bym się postarał ośnowie,
Jak przez własne zawiści i szkodne niezgody,
Potężne w krótkim czasie upadły narody.
Że u nas osobliwie ta niechęć szalona,
Namiętność jest na naszą zgubę ulubiona,
I że nas nie zgubiła żadna więcej jak ta;
Jeśliby mi kto przeczył, manifest *ad acta*

Zaniósłbym, i przed nimi stawwszy osobiście.
Fałszbyim przeciwniej stronie zadał oczywiście;
A gdyby mi i za tem nikt nie ustępował,
Do przyszłego bym sejmu pewnie apelował.
Lecz po co w tak dalekie zabiegam granice?
Pewnie moją nauką Polaków oświecę?
Wolę powiedzieć teraz, przez jakie starania,
Do zamysłów szkodliwych przyszedł wykonania
Rozjadły organista i przez jak okrutny
Przypadek, swój organy wzięły koniec smutny.

Skoro tylko Morfeusz na tę sferę ciemną
Począł władzę swoją rozciągać przyjemną,
Zeszli się trzej ryeerze, i poczęli ściśle
Razem się o tak wałnym naradzać zamysłem.
I sposobne do tego pobrawszy narzędzie,
Zaraz szli do kościoła, patrząc w koło wszędzie,
I stąpając ostrożnie, bojąc się, by z boku
Dostrzedz ich ciekawemu nie zdarzyło oku.
Naprzód ich drzwi świętego wstrzymały kościoła,
Warowne żelaznemi sztabami do koła.
Ale mężnego serca Jan, nie myśląc długo,
I w łak wspaniałem dziele spiesząc się z przysługą,
Tak dobrze w mocny zamek tęgi raz wymierzył,
Ze jak najslabszy puścił, skoro go uderzył.
Runęły drzwi ogromne, a tak siły wspólne
Do wnętrza kościoła miały przejście wolne.
Jak gdy z pomocą armat z swych murów spędzeni,
Już nie bronią przystępu smutni oblężeni,
Niczem niezatrzymany nieprzyjaciel wchodzi,
I dziękując, za tryumf *Te Deum* wywodzi:
Tak i oni jak tylko do kościoła weszli,
Zaraz trzykroć klękęli, trzykroć się podnieśli,
Każdy się z nich do modlitw udając gorliwych,
Niebieskiej chciał pomocy w zamysłach szkodliwych.

Pierwszy się organista porwał niespokojny,
I drugich do rozjadłej pobudzając wojny.
Rzekł głosem bohaterskim: — „Drogi czas ucieka,
„Teraz pora sposobna, nieprzyjaciół czeka“.

I światłem tlejącego prowadzon ogarka,
Co go od wiatru szklanna broniła latarka.
Najpierwszy na złe wschody odważnie wstępował.
A swą śmiałością innym drogę pokazywał.
Ale kiedy do górę prowadząc krok ślizki,
Włazszy na wierzch, organów samych już był blizki.
Sumienie go ruszyło, i nieznanej trwogi
Pełen, sam poniewolnie musiał cofnąć nogi.

Jak kiedy idąc z wojskiem naprzeciw Rzymowi.
Trzeba było Rubikon przebyć Cezarowi,
I temu, który wiernym był obywatelem,
Stać się wiecznie Ojczyźnie swej nieprzyjacielem,
Myślał długo nim przebył brzegi niebezpieczne,
Bojaźń w nim z ambicią wiodła walki spreczne,
Jednak jak nieprzyjaciół wołał rozkazywać,
Niż podległość, jak wierny obywatel, chować;
Tak i nasz organista, choć miał chęci szczere
Zburzyć organy, wstrzymał rozbójczą siekiere,
Wewnętrzny mimo siebie przerażony strachem,
Lubo już z wymierzonym cofnął się zamachem.
Lecz wkrótce nienawiścią podżarzony srogą,
Przez ławkę, co tam stała, przestąpiwszy nogą.
Chciał obnrąć we środek organów uderzyć,
Lecz ślepa popędliwość nie potrafi mierzyć,
Chybił więc, ale miechy raz okrutny wzięły,
I pękawszy na dwoje, żałośnie jęknęły.
Usłyszały te jęki zatrwożone szczury,
Co dotychczas spokojne swe tam miały dziury,

Potomki tak sławnego w dziejach Gryzomira.
Którego sława dotąd jeszcze nie umiéra.
Nie przeto, że gnuśnego króla paś się ciałem.
Lecz że jest w *Myszcudzie* rycerzem wspaniałym:
Przestraszone z miejsc swoich wychodzą gromadnie.
A gdzie, i jak kto może z popłochu przypadnie.
Za złą wieszczbę Jan z Bartkiem wziął przypadek taki,
Lecz Grzegórz nie uważał na te wszystkie znaki.
Ale porwawszy znowu kostur okowany.
W samie z największą mocą uderzył organy.
Ach! któż to teraz zgadnie? i któż to opisze?
Jako się w różne strony rozpierzchły klawisze.
Jak leżąc skarżyły się żalosnemi jęki.
Że z tej, którą kochały, koniece wzięły ręki.
Kto nie zna bohatera, dzielnej krwi szafarza.
Jak go bardziej zgiełk bitwy i tumult rozżarza.
Niech sobie organistę naszego wystawi;
Nad czułem użaleniem czasu on nie trawi.
Lecz w którą tylko stronę mężną ręką kinie.
Albo kilka klawiszów, albo duda zginie.

Zagrzani tym przykładem, daremnie nie stoją
Jan z Bartkiem, ale czynią też powinność swoją;
W najgorętszym zapale już jest bitwa wściekła.
Same mordy, zabójstwa, istny obraz piekła.
Tu widać ciał zabitych przeraźliwe kupy.
Tu ranni na pół żywi leżą między trupy.
Duda pchnięta ostatnim śmiertelnym tchem ziewa.
Klawisz jeden drugiego do bitwy rozgrzewa.
Tu na pół popękałe umierając miechy,
Z żalem nadprzyrodzonym żałują za grzechy.
Zgiełk, hałas, krzyk, zabójstwa, tumult, mordy, wrzawa,
I zewsząd krew niewinna lać się nie przestawa.

Święci tego kościoła, których dźwięk ten głuży.
Niespokojnie trwożliwe nadstawiają uszy;
W kronice nawet nieraz czytać mi się zdarza,
Że chciał kościoła tego patron zejść z ołtarza;
Lecz że się znajdowały tam święte panienki,
Nie schodził dla zgorszenia, nie mając sukienki.

Tymczasem już organy na drobne kawałki
Dokonali druzgotać ogromnemi pałki
Zapamiętali w gniewie, lecz mężni rycerze.
Każdy się potem zaraz do spoczynku bierze.
Orzekując dnia, srodze jednak niespokojni.
Po tak śmiałym uczynku i krwawej rozbojuni.

Pieśń czwarta.

Gdybym był kiedy królem, byłbym sprawiedliwym.
Złychbym z dworu wyganiał, nagradzał cnotliwym.
Nie brałaby dostojęstw zasłudze intryga.
Źle w tym kraju, gdzie obrót prostotę wyściga;
Każdybym dzień jak Tytus dobrodziejstwy liczył.
Więcej szczęścia ojczyźnie niż sobiebym życzył.
Nad próżnemi rzeczami czasu bym nie trawił.
Nadaniem praw narodom słodkich bym się bawił.
A gdybym był biskupem lub oficjałem¹⁾.
Oto bym usiłował staraniem niemałym,
Żebym sam z siebie dając przykład nader rzadki,
Nie był nigdy zgorszeniem Chrystusa czeladki.
Nigdybym nie nikomu nie bronił drukować.
Tem się w narodzie rozum może poleerować.
Ubogich bym wspomagał, w wydatkach był mierny.
Ojczyźnie dobrze życzył, królowi był wierny.

¹⁾ Albertrandy.

Gdybym zaś był ministrem pokoju lub wojny,
W bitwie byłbym rycerzem, a w izbie spokojny.
Dobre bym interesa skutecznie popierał.
Za danie protekcyi ludzi bym nie zdzierał.
A gdybym był uczonym, lub za niego mianym.
Nie przestałbym być w izbie niby malowanym:
Lub, że zjem obiad mądry obok majestatu.
Pisałbym to i dowiódł niewiernemu światu.
Że z kądkolwiek zagadnie, z której chce tknie strony.
W prawie, w rymach i dziejach jestem nauczony.
Bym kiedy był małżonkiem, nie byłbym zazdrośnym.
Zazdrość, każdy to przyzna, jest zwyczajem sprośnym.
Zwłaszcza kiedy nie idzie komu o Delfina.
A ma jeszcze w zapasie niejednego syna.

Gdybym był księdzem owym, o którym tu mowa,
Nie wiele dbałbym, czy ta baba, albo owa
Na organach kościoła mego miechy depcze:
Lecz cóż począć? gdy komu ambicya szepcze,
I nienawiść podburza, poruszyłby piekło.
Zwołał był ksiądz na radę, jak się wyżej rzekło,
Kommendarza; rozumem i latami stary,
Przywłókł się też o kijnu zacny ksiądz wikary.
Pobożny podproboszczy, altarysta prawny.
Z sąsiadem o altaryą swą kłótniarz ustawny;
Ksiądz kapelan Bernardyn, który tam przebywa.
I pałka, *sed cum voce* siadł *informativa*.
Każdy się z nich z skromności najmniejszym być n. niema,
I kłótni tam o miejsce między nimi niema.

Gdy się każdy przed Świętym Duchem upokorzył.
W te słowa tłusty pleban sesją otworzył:
— „Wy, którzy tu te miejsca zasiadacie godnie.
„Wy kościoła podpory i wiary pochodnie.

„Nie trzeba wam powtarzać, bo znacie zaiste
„Chytrości i podstępny nadto oczywiste
„Głura, któregom ja sam z błota wyprowadził
„I na tak znakomitym urzędzie posadził.
„Teraz pychę nadęty, zapomniiał ten złodziej,
„Żem przecie jego panem, żem jego dobrodziej;
„Teraz moją powagę, waszą razem szarga,
„Na nasze przywileje, na władzę się targa,
„A swoich nieprawości dopełniając miarę,
„Do kalkowania babę śmiał naznaczyć starę.
„I kiedym sam nie mógł być w kościele, bom chory.
„Ona miechy deptała w wczorajsze nieszpory.
„Wiem, że to z was każdego równie jak mnie boli.
„Czytam to w oczach waszych, że nikt nie pozwoli
„I nie dopuści, by taż baba miała zostać.
„Możemy dotąd jeszcze siłom jego sprostać;
„A dzisiaj potępiwszy tę zuchwałość winną,
„Na miejsce naznaczonej obierzemy inną”.
Skończył pleban, a głuche u wszystkich milczenie.
Powszechnie rokowało jemu zezwolenie.
Lecz z miejsca swego zabrał głos ksiądz podproboszczy:
— „Niech się, rzecze, plebańska mość o nas nie troszczy,
„Za cz. zgromadzenie przyrzekam ja szczerze.
„Że nam nikt prerogatyw naszych nie odbierze.
„I wolimy zgrubioną mieć z ojczyzną wiarę,
„Niż — ać na włoskę przywileje stare.
„Jedn. mi tylko na myśl uwaga przychodzi.
„Jesli się absolutnie postępować godzi,
„I nie wiedząc czy nam jest wolno obrać babę,
„Chcieć obarczać przemocą naszą stronę słabą”.
Na to poważny wiekiem wikary powstawa:
— „Prawda, rzecze, że nie masz wyraźnego prawa,
„Lecz podług aksyoma, kędy prawa niema,
„Tam zwyczaj z dawnych czasów miejsce jego trzyma.

„Nie pierwszy rok już siedzieć tutaj mi się zdarza,

„Nie u jednego ja mszę miewałem ołtarza.

„Niejednego pogrzebłem na cmentarzu trupa.

„Niejednego widziałem z wizytą biskupa.

„I jeśli czas tych dziejów z pamięci nie zetrze.

„Szwedów jeszcze przypomnę i srogie powietrze.

„Bardzo dawno zasięgam, a zawsze i wszędy

„Plebani w swych kościołach dawali urzędy”.

Do gustu prałatowi ta przypadła mowa.

Cała zatem przystała rada na te słowa.

Do kresek już więc skrytych pleban iść nie mieszka.

Dwie ich ma Małgorzata, a resztę Agnieszka.

Zapadła *pluralitas*, więc nie myśląc dłużej.

Krzykną: „Niechże ten urząd już Agnieszce służy!”

A chcąc ją mieć gotową do tego rzeniosła.

Szła do niej jak najrychlej z dobrą wieścią posła.

Skacze baba z radości z takiego wybrania.

Swoim się dobrodziejom jak najniżej kłania.

Schylone plecy bardziej ukłonami garbi.

Uniżonością wszystkich serca sobie skarbi.

Tymczasem zacny prałat zaczął się gotować,

Aby ją mógł tegoż dnia zaraz installować,

Na organy z niemałym tryumfem wprowadzić.

I w przyzwoitem miejscu godności posadzić.

Lecz bojąc się odporu, kazał, aby cepy.

Dragi, siekiery, kosy, topory, oszczepy,

Wzięła czeladź odważna; sam swem męstwem zbrojny

Szedł śmiało, chociaż krwawej spodziewał się wojny.

Za nim następowali księża nie zdaleka.

Każdy z nich losu kłótni takiej pilnie czeka;

Idą napozór śmiało, a każdy z nich tchórzy.

Krew się w każdym z bojażni porusza i burzy.

Każdy z nich patrzy wkoło, by w przypadku sprzeczki,

Wolne mógł mieć którędy miejsce do ucieczki.

Wszędzie samo ponure panuje milczenie.
Ale jak srogie onych było zadziwienie,
Kiedy zamiast odporu i bitwy okrutnej.
Stała im przed oczyma obraz nader smutny!
Gdzie tylko wzrok obróca, wszędy znak ruiny.
Tu drzwi mocą wyparte, tu zaś rozwaliny
Wdzięcznych leżą organów, tu miechy, tu duda;
Rozumieli nabożni, że to jakie cuda.
Że na ich ukaranie jaka ręka mściwa
Te dotąd niesłychane poczyniła dziwa.
Albo piorun zgruchotał z czarnej spadłszy chmury.
Albo ziemi trzęsieniem obalone mury.
Lecz wkrótce niewątpliwe w ruinach oznaki
Umysłnej zawziętości wskazały im szlaki.
A klótnie, które mieli, i zawzięte zwady.
Wytknęły im autora tak wielkiej szkarady.
Większą to w nich zajadłość, mocniejszy gniew sprawia.
Ochotę wzięcia zemsty tem chętniej ponawia.
Im większy na ich sercach zostawuje smutek.
Że zamysły ich wzięły tak niedobry skutek.
Baba płakała, widząc nadzieje zmyłone,
A ksiądz pleban lubo się starał cieszyć one.
Lubo umysł w nieszczęściu pokazywał hardy.
Lecz nie mógł wstrzymać przecież na sercu żal twardy!

Pieśń piąta.

Wszystko to nie do rzeczy na tym naszym świecie:
Bogaty ubogiego ciemniejszy i gniecie.
Cnota nie ma nagrody, a występki kary.
Stępione prawa patrzą na zbrodnie przez szpary.
Kto sprawniejszy ten lepszy, poczciwość nie płaci.
Talentem się nie wesprze człek ani zbogaci.

Na urzędach intryga i kredyt osadza.
Ten szczęśliwy, co kradnie i ojczyznę zdradza.
Jeśli się godni o tem ludzie mówić ważą.
Odpowiedź cała: że tak interesa każą.
Uwielbiam was i ukłon oddaję wam nizki.
Kłęknię, jeśli zechcecie, będę się bił w pyski.
Niezgruntowani w rządach swoich politycy.
Nie jest to dzieło mojej słabej mózgownicy
Przenikać co czynicie, bo w fryzurze więcej
Macie rozumu, niż ja w mej głowie cielej.
Niechaj jednak z pokorą pytać mi się godzi.
Czy to w dobrego rządu maksymy nie wchodzi,
Ażeby ludzi godnych, wartych z każdej miary.
Wasze łaski i hojne nie miały dary,
A tam się zaś bogatym nie gnieździły rojem.
Kędy głupstwo przesiada z pysznym niepokojem?
Ale na co ja gadam, i na co mózg suszę?
Powiedzą mi: — Mój panie, radziłyśmy z dusze
Uczynić ci: znamy to, że masz talent rzadki,
I prozą piszesz dobrze, i wiersz robisz gładki.
Miej trochę cierpliwości, miły przyjacielu.
Oto jeszcze od ciebie zasłużeńszych wielu
Prace trzeba nagrodzić i ciężkie mokoły,
Czekaj. — Czekam ci, zawsze jak goły, tak goły.
Kiedy kto w niedostatku, i rozum się cieśni:
Ot, nie wiem co wam powiem z tej tu piątej pieśni.
Jak organów przywiode znowu na plac dzieje?
I kogut zjadłszy ziarnko, milej trochę pieje.

Noc, w której pan swych bogactw, a ubóstwa nędza
Zapomina, uśpiła i babę i księdza:

A sen twardy leniwych skrzydeł swych powłoką,
Dla spoczynku powszechnie ludzkie przykrył oko.
Wszyscy spali, przy żonie tu mąż snu zażywał,
Tu kochanek miłością znużony spoczywał,

A świeżych rozkosz przez sen zażywając prawie.
Tak się pieścił i cackał, jak gdyby na jawie.
Sam jeden organista oczu nie mógł zmrużyć.
Lubo się onegdajszą pracą musiał znużyć.
Ale jakże spać można, kiedy tu kto czuje,
Że na karę po jakiej zbrodni zasługuje?
Bo nazajutrz jako wieść doszła jego uszu.
Miało wejście świętego być Jubileuszu,
Podczas którego każdy czy młody, czy stary.
Wolny był zawsze z brodni od winy i kary.
Byle księdzu powiedział, co był niebu dłużny.
Obszedł kilka kościołów i dawał jałmużny.
Już się zesła z okolic gromada poddaństwa.
Wiele się też zjechało nabożnego państwa.
Kolasą bułanemi ciągnioną kobyły.
Przywłókł się z swą inością podsedek otyły:
Sześcią zdobną gałkami karetą powoli
Przyjechał na ten odpust wielmożny podstoli:
Tuż za nim, co go każda mieć musi publika.
Widziano jadącego tej ziemi skarbnika:
Sześć koni trochę lepszych, liczna czeladź dworska.
Wydała, że się wali godność podkomorska.
Za nimi wielka mnogość ziemianek, ziemianów.
Ludzi różnego wieku, rozmaitych stanów.
Kupców swarnych, przekupek, opojów, kramarzów.
Między którymi dwóch też przybyło księgarzów.
Słowem mówiąc, na odpust tak wielki, tak rzadki,
Dość się panów zjechało i wiele czeladki.
Już się sproszone zinąd nuniechy i kanony.
Jedni na mszę gotują, drudzy na ambony.
Już się ciekawsza niżli nabożna gromada
Wali kościół i ławki najpierwsze zasiada:
Gdy przez cmentarz śpiesząc się pleban do kościoła.
Ujrzał w nim organistę: — „A tuś mi! zawoła.

„Tyś to jest, co do złości łączący odwagę,
„Tak znaczną mej godności uczynił zniewagę?
„I jeszcze po tej zbrodni śmiesz mi włożyć w oczy!
„Zaraz ja cię!“ — Wnet kniemu z impetem przyskoczy.
Strwożył się tym zamachem pan Grzegorz zmieszany.
Umyka się, by tyłem gdzie przypadł do ściany,
I takie gdy z szybkością wciąż czyni cofanie,
Trafiło się, że stanął przy księgarzu Janie.
Dopał go ksiądz pleban, lecz nim doń przyskoczył.
Tak go rznął *Brewiarzem*, że aż się potoczył.
Zmieszany przywitaniem takim organista.
Z łatwości, co pod ręką mógł ją mieć, korzysta:
A pewną plebanowi chcąc gotować zgubę,
Oburącz porwał w gniewie swym *Ateny* grube ¹⁾.
Ciśnął je, i tak mocno w głowę go uderzył.
Że ciosem zagłuszony mój ksiądz ziemię zmierzył.
Na krzyk jego bolesny, na wrzask i lamenta,
Porzuciła ornaty i mszę zgraja święta:
A małe uchyliwszy w zakrystyi drzwiczki,
Śpieszno biegła na miejsce stoczonej potyczki.
Zaraz się organisty przyjaciele zbiegli.
Skoro na placu księży gromadę postrzegli;
Wielka się między nimi zatem bitwa wszeczyna:
Temu oczy podbija zwyciężka *Janina* ²⁾
Ten ogłuszony upadł i ledwie nie kona.
Wziąwszy w łeb tłumaczeniem *Rozmów Focyona* ³⁾.
Najpierw altaryście zgruchotano kości
Zbawiczymym, Tyłkowskiego, Stolikiem Mądrości.

¹⁾ Nowe Ateny. Ks. Chmielowskiego. Książka pełna omyłek geograficznych, bajecznych opisów, fałszywych wiadomości.

²⁾ Janina zwyciężkich tryumfów, albo życie Jana III. przez Kazimierza Rubinkowskiego.

³⁾ Rozmowy Focyona, przez L'Abbé de Mably, po francusku napisane, a przez Ks. Chrościkowskiego niemilosierźnie tłumaczone.

I tobie podproboszczu zadał cios niezmierny
Koloander kochany *Leonildzie wierny*¹⁾.
Wieleż to ksiąg pierwszy raz z pyłu wydobytych.
Do bitwy tak zażartej było tam ukrytych?
Jan ma *Wiankiem Różanym* srodze nos podbity.
Tego zranił *Do Nieba Gościniec ukryty*.
Darmo księgarz troskliwy nie rad takim gościom.
Tym się pragnie opierać gotyckim wściekłościom.
Ledwie na ich zażartość i księgi wystarczą.
Bartek podproboszczego zwałił *Królestw Tarczę*²⁾;
Ten chociaż ciosem takim mocno był dotknięty.
Rzucił nań, lubo słabo, ubogie *Natręty*³⁾.
Niewiele szkodzić mogła Bartkowi broń krucha,
Chociaż śmiały tłustego nie umykał brzucha;
Ale go jeden z tyłu z najbardziej zawziętych.
Ksiądz komendarz dojechał *Żywotami Świętych*;
Lecz on, lubo stłuczony, wyszedł ztąd z honorem.
Powaliwszy obydwu ciężkim *Rymów Zbiorem*⁴⁾.
Szwank dwu zacnych rycerzów pomieszał prałata,
Wieńc sam już miłosnego schylił *Fortunata*⁵⁾.
I ostatnie do kupy zgromadzając siły,
Między oczy Janowi cisnął romans miły.
Mgłą mu grubą do razu zaszyły oba oczy,
Skrzepla krew już mu zwolna po żyłach się toczy,
Słowem: po strasznych nudach i ziewaniu ciężkiem,
Wywrócił się i zasnął twardo w błocie grzęzkiem.

1) Koloander wiernej Leonildzie przyjaźni dotrzymujący. przy różnych nienawiści, wojennych awanturach i przypadkach.

2) Tarcza Królów i Królestw, pobożność gruntowna codziennemi zabawami wzmacniająca się; 1773 w Warszawie.

3) Natręty, komedia Bielawskiego.

4) Zbiór Rymów przez Załuskiego.

5) Fortunat, romans nudny.

Przypadł śpiącemu Bartek szybko na ratunek.
W przyzwoity porządku opatrzon ryszstunek.
A mszcząc się na prałacie, porwał *Banialukę*¹⁾.
I nią mu fryzowaną wysadził perukę.
Spadła, a ksiądz ukazał z pod niej łeb tak goły.
Że się w niebie zdziwili święci i anioły.
A w jasne i glansowne wpatrując się ciemię,
Mniemali, że się słońce przeniosło na ziemię.
Bardziej tem rozgniewany prałat i rozszarty,
Widząc się tak haniebnie z swych ozdób obdarty.
Radby był na hultaja sprowadził pioruny:
Chciał mu ze łba swą ręką pozrywać koltuny.
Bez uwagi czy siły wystarczać mu będą.
Rzucił się nań nakrywszy głowę rewerendą.
Cołnął się baczny na dwa kroki Bartosz w stronę.
I oburącz mu w piersi cisnął *Magiellonę*²⁾.
A sam zaś do wrodzonej powracając broni.
Z pięścią się począł krzątać koło księżej skroni.
I byłby pleban nie eheć legł tam męczennikiem.
Gdyby bolesnym jego obudzony krzykiem.
Co po rannej gdzieś blisko odpoczywał pracy.
Nie przypadł mu na pomoc ojciec Bonifacy.

Pieśń szósta.

Rodzona sestro śmierci, wojno zapaleczywa!
Prawo zbójców, których świat rycerzmi nazywa.
Zbrodniarko z skamieniałych wnętrzości splodzona.
Wieleś ludzi do swego zagarnęła łona.
Jużem mniemał, że nasz świat opuściwszy stary.
W nowymś przedsięwzięła wybierać ofiary.

¹⁾ Banialuka, dawna bardzo historia romansowa.

²⁾ Historia całkiem podobna Banialuce.

I na Amerykanach wolnych i cnotliwych
Szłaś próbować dzielności twoich razów mściwych.
Ale się z dawnem rozstać nie możesz łożyskiem.
Lubem widzę każdy kraj dla ciebie siedliskiem.
W najspokojniejszy kącik codzien twoje zbrodnie.
Najzjadliwszej niezgody zanoszą pochodnie;
Żaden od cię niewolny, kiedy pleban cichy
Doznał nawet jak są tve niebezpieczne sztychy.
Onby dotychczas pewnie pod stolarzem leżał.
By mu nie był na pomoc Bernardynu przybieżał,
Bernardyn młody, żywy, rubaszny i śmiały.
Wart być pomiędzy dzielne liczon generały ¹⁾.
Choć znużony, ksiądz jednak przy takiej pomocy,
Byłby do później bitwę mógł przeciągnąć nocy.
Gdyby, co niecierpliwie już w kościele siedział,
Pan podstoli o tej się bitwie nie dowiedział.
A zawsze służyć swemu bliźniemu gotowy.
Nie wstrzymał zajązzonych mocą swej wymowy.
— „Stójcie! rzecze, jaka w was zażartość uparta!
„Boga się bójcie, gdy się nie lękacie czarta.
„O co idzie? z kął klótnia? jaka jej przyczyna?
„Jak ją chcecie zakończyć i kto ją z was wszczyna?
„Można znaleźć sposoby, co was mogą zgodzić.
„Dajcie się tylko, proszę, trochę ułagodzić.
„Niechajże się rozsądek w waszej głowie mieści.
„Rzecz mi całą powiedzcie w niewielkiej słów treści“.
Zaraz chciał organista ułatwić pytanie.
Ale mu odpowiedzieć pleban nie dał na nie,
I sam zaczął; ale mu przerwał organista.
— „Rzecz widzę, rzekł podstoli, jest to oczywista.

¹⁾ Nie pomiędzy generałów-majorów lub lejtnantów, ale pomiędzy bernardyńskimi czyni go pomieszczenia godnym.

„Że będąc rozgniewani, i w tem zamieszaniu.
„Memu nie uczynicie zadosyć pytaniu.
„Lecz każdy niech na moment nienawiść zagrzebie;
„A tymczasem proszę was na obiad do siebie.
„Po dobrej sztuce mięsa i klarownem winie,
„Łatwiej w was zapaleczywość zapewne przeminie.
„Dopiero po obiedzie zasiadłszy do zgody,
„Starać się będziem wszystkie ułatwić przeszkody“.
Choć srodze rozgniewani byli i zawzięci,
Przyrzekli to mocnemi przyczyny ujęci.
Podstoli ich do swojej powsadzał karety,
A stangret siekąc konie w osedniowe grzbiety.
Włókł się, i choć we wrotach dwa razy zawadził,
Przed dworem ich po krótkiej podróży wysadził.
Po pierwszych przywitaniach, co prędzej z apteczki
Po kieliszku cukrowej wniesiono wódeczki:
Każdy wypił swój wydział, imość dobrodzika
Toruńskiego w zakąskę przyniosła piernika.
Lecz że tak prędko obiad nie mógł być gotowy,
Wszedł znowu na stół likier wyborowy, pestkowy,
Likier przedni, lecz to w tym domu nie nowina,
Bo go sama swą ręką pędzi podstolina.
Dwojaką wódką mając rozegrzane głowy.
Polityczne z ochotą zaczęli rozmowy.
I każdy z nich powiedział co do samej treści,
Jakie miał ze stolicy najpóźniejsze wieści.
Jeden twierdził, że wojna nieochybnie będzie,
Że do tego gotowość już jest znaczna wszędzie,
I pozawczoraj oczy to widziały nasze,
Jak sobie dwa dragony ostrzyły pałasze.
Rozszerzył się gazeciarz, i pochwał nie skąpi
Nad tym, że niezawodnie lepszy rząd nastąpi,
I takóž jest nadzieja tego oczywista.
Bo o tem napisano arkuszy ze trzysta:

Lecz co mnie także z nowin nie pomalu cieszy,
Że się dobry porządek do Warszawy śpieszy;
Bo chłopca, co bił żydów przed czterema dniami.
Z powagi urzędowej obito różgami.
Rzekł podstoli: — „To widzę nowiny pisane.
„Ale ja mam gazety świeżo drukowane.
„Tysiąc rzeczy ciekawych. W ostatnią niedzielę.
„Na wielkiem nabożeństwie było ludzi wiele,
„I żeby przyzwoitą wspaniałość zachował.
„Mszę *pontificaliter* biskup celebrował.
„Ksiądz N. N. miał kazanie, wielki kaznodzieja.
„Mówią, że swą wymową nawrócił złodzieja,
„I odtąd poznajemy tę prawdę dość jasną:
„Nikomu nic nie wezmą, kto ma kieszeń ciasną.
„Dnia ósmego Septembra wielki jest w Piotrkowie,
„Bito z armat, i liczne dopełniano zdrowie.
„Był obiad, podwieczorek, wieczerza, bal walny,
„Pan starosta odprawił wjazd swój tryumfalny.
„Za rzecz zaś osobliwszą piszą z tego miasta.
„Umarł człowiek, który miał lat już półtorasta.
„To nowiny, lecz jakie uwagi są przytém.
„Jak żartuje sposobem autor wysmienitym.
„Jak rozsądnie przyczyny każdych nowin szuka,
„Z gazet jego wiadomość razem i nauka.
„To jest, co z doświadczenia wiem, a niezawodnie
„Można się na nich czytać nauczyć wygodnie“.
Chwalić zatem zaczęto gazety pospołu.
Tymczasem pan marszałek prosił ich do stołu,
Cała się zatem zgaja do stołu przeniesła,
Musiał siedzieć na stolku kto nie dopadł krzesła:
Lecz pani cześnikowa obiadu nie jadła,
Że od niej wyżej pani skarbnikowa siadła.
Ci, którzy głodni byli, zjadali smacznie,
I wielmożny podstoli uważał to bacznie.

Że ani mięsa, ani dość zostało sosu.
Aby się mógł na wieczór spodziewać bigosu.
Powtórzone kieliszki jednak i butelki
Z podstolskiej duszy smutek wypędziły wszelki.
I żeby wesołości oddalić przeszkodę,
Na wieczór obiecaną odłożyli zgodę.



FRANCISZEK ZABŁOCKI

(ur. 1754 † 1821).

I.

ODDALENIE SIĘ Z WARSZAWY LITERATA.

Satyra.

Aryst, ów sławny autor, ów pisarz do wzoru.
Nienudny gotowałniom, chwalony u dworu.
Ale że się majątek na tem jego kończy:
Nie mieć futra na zimę, na lato opończy.
A z tą sławą, pod której upada ciężarem.
Często swój obiad kończył wodą i sucharem. —
Sprzykrzywszy sobie wreszcie te smutne koleje.
Pracy, potrzeb istotnych, a płonnej nadzieje,
Zadłużony po uszy, z wszystkiego wyzuty.
Nieszczęściem, nieumyślnie wpadł między bankruty.
W takim razie co począć?... Gdyby był bogaty.
Miałby za sobą prawo. miałby magistraty,
Miałby za sobą panów... Ale że gołota,
Na ezole nie miał miedzi, a w kieszeni złota.
Mógł się pewno spodziewać ostrej sądu grozy:
Pocziwy, lecz ubogi, poszedłby do kozy.
Zniósł Aryst biedę: nie mógł znieść hańby i plamy.
Nim więc po niego pozwy przybito do bramy.
Nim go płaćny od strony patron czarnym wpisem
Przed sądem i rozprawą zrobił infamisem.

W towarzystwie kostura, ubóstwa i sławy
Musiał chudy literat nocą wyjść z Warszawy.
Bacniejszy niż Dyogen nie chlubił się marnie:
Ów w dzień z światłem, ten nie miał i w nocy latarnie.
Za szczęściem idzie przyjaźń: Aryst bez intraty
Nie miał się z kim żegnać, nie było Achaty.
Ale była Warszawa. Znał dobrze tę panię
I takie też zostawił dla niej pożegnanie:

.
Kiedy to, co od wieków bywało zaletą,
Dziś znaczy wzgardę, skoro kogo zwa poetą;
Lubobym mógł, odporniej używając broni.
Tak nimi gardzić, jak też nani gardzą oni:
Ale wiem, chrześcijańskie są to sentymenta,
Wiem z Pisma, że zły duch gadał przez bydłota.
Pójdę raczej do lasu szukać jakiej nory.
Skryć się przed burgrabiami i instygatory.
Nie hartowna w stoickiej szkole moja cnota.
Nauczyłem się myśleć: nie chcę skrobać błota.

Niechaj tu żyje Damon: urósł on z pośpiechem;
Znałem go. Był lokajem, dziś chodzi z felcechem;
Miał figurę, wpadł w oko, za czasem wszedł w modę;
Zaczął rosnąć przez stare, a dorósł przez młode.
Za to też nie ma cery, błądy nakształt chusty.
Mnie podobien. Ale ja z biedy, on z rozpusty.

Niechaj tu żyje Chryzał: człek to znakomity.
Wchodził w traktat o sprzedaż rzeczypospolitej,
Przedał swoich współbraci; zresztą dobrze żyje.
Paraduje, gra, szumi, oszukuje, pije.
Byłem raz w jego domu; serce mi usycha:
Podano z kościelnego wino pić kielicha.
Zadziwił mię ten widok. Choć niedawno goły.
Nie słyszałem, żeby nasz Chryzał kradł kościoły.

Wtem mi się nawinęła cyfra w spodzie ryta.
Sekularyzowany był to Jezuita.

Niechaj tu żyją tacy, bo im się tu wiedzie,
Ale ja co w Warszawie w mojej pocznę biedzie?
Raz na zawsze pocziwą przedsięwzięłem drogę
I choćbym złym być umiał nie chcę, ani mogę.
Podłość nigdy nie będzie wadą mojej duszy:
Na co mam być pokornym, że pan fireyk puszy?
Niech on sobie szaleje, niech szumi, niech traci,
Wezmę, jeśli mi co da, lecz mnie nie zapłaci.

Kto umie, może mieć zysk ze wszystkiego w świecie.
Kto uwierzy? zarobić można i pocie.
Pleban żyje z kolendy, mnicha żywi kwesta.
Jurystę kompromisy, pozwy, manifesta.
Lekarze z chorych, piękność z siebie, żyd z tandety:
Mają także obrywki swoje i poety.
Od czegoż urodziny, zaręczyny, gody.
Dytyramby, sonety, madrygały, ody?
Od czego wieszcza sztuka? Pani podstolina
Pierwszy owoc miłości porodziła syna:
Wieść ta zaraz w najdalsze przeszła okolice.
Zjeżdżają się odwiedzać krewni położnicę.
Biorą dziecko na ręce. W niem ledwo znać człeka;
Ci patrzą, jakie czoło, nos, oko, powieka.
Patrzą potem na ojca: powoli, powoli
Staje na tem: że ten syn istny pan podstoli;
Nasz ojciec od radości nie omdlał bez mała;
Syn z lędźwi moich! Matka lepiej to wiedziała.
Ale to bagatela, natury to dzieło.
To dziecko miało ojca, bo się urodziło.
Podobne? niepodobne? kto o to dba wiele?
Chyba matki. Poetów wieszczy insze cele.
Badać duszę, skłonności, cnoty, charakter,
Wywrożyć ztąd na przyszłość wielkie bohater,

Wojownicy, statysty, ojczyzny obrońce,
Te są, moi współbracia, waszej wieszczby końce.
„Orzeł pochodzi z orła: czysty ród sokoli,
„I twój syn pan podstolie, boś ty pan podstoli.
„Zaeność jego, zacności twych przodków nie wstyda.
„Ciesz się Polsko! masz teraz swojego Alcyla.
„Nagotuj dlań buławę, z której się przed laty
„Przez skromność wymawiały jego antenaty.
„On zachwianej wolności umocni zasadę.
„Sławny w polu przez męstwo, w pokoju przez radę.
„Ustraszy okoliczne mocarstwa i króle.
„Ujrzy hardy bisurman nasz sztandar w Stambule.
„A potem, żeby jego sławę wspominali,
„Dźwignie słupy żelazne na Dnieprze i Sali“.

Taka była Cheryła oda co do joty.

Wspomniany pan podstoli dał mu za nią złoty,
Druk go dziesięć kosztował, dziewięć poszło z dymem.
Odtąd Cheryl brzydzi się podstolim i rymem.
Mnieźby tak ładajakie uwiodły ponęty.
Żeby z pod mego pióra łotr wychodził święty?
Jabym miał być tak lichym, tak nikiemnym płazem.
Bym kłekał przed zrobionym od siebie obrazem?
Nie wyda się to na mnie. Styl mój na to twardy.
Mówię prawdę. I przeto mię sądzą, że hardy.
Prostota jest właściwym moim pismom gustem:
Krętacz mówią polityk; ja go zwę oszustem!
Klemens zawsze z różańcem, nigdy bez szkaplerza.
Ja się przecież w Klemensie domyślałam szalbierza.
Myśl moja zgodna z sercem, a serce z językiem
Filuta zwę filutem, Marka fanatykiem.

Ni do wierszy miłosnych mam siła zręczności.
Fireyk prosił mię o wiersz do swojej jejmości:
Kał mi nadał zasłyszeć, że ta jejmość pewna
Była w pewnym sposobie blizka jego krewna.

Chciałem mu jednak służyć: już się wzięłem szczerze;
Rzecz dziwna zbrykało się pióro na papierze.

Tylko co ją porównać miałem z Erycyną

Potknęła mi się ręka, napisałem: z Fryną.

Tyle to dokazują nad nami nałogi:

Ludzie u mnie są ludźmi; u pogan są bogi.

Ale, rzecze kto, po co tak myśleć zuchwale

Prozelitów szczerości pełne są szpitale;

Można puszyć, kiedy jest majątek potemu;

Pokornym być, pokornym trzeba ubogiemu!

Pokora mury łamie, dawne to przysłowie:

Przez ten mur, dobrze wielcy znaczą się panowie.

I Arystyp. filozof, choć tak wielkiej duszy,

Kłaniał się. Dyonizy miał przy nogach uszy.

Kłaniaj się, kłaniaj bracie! taki dziś ton świata

Wysztydzone szczerością telnącego Sokrata,

Za wzgardę potem bogów pojono cykuta;

Gardził on pono ludźmi, za to go otruto.

Niedość to dobrze pisać. Kto ma twarde krzyże,

Kto się kłaniać nie umie, głodny łapę liże.

Nadstawiaj się, pochlebuj, łzyj, przekładaj modły:

Byleś dolę poprawił, bądź choć na czas podły.

Jeśli cię nie wspomogą te środki, nie zgubią,

Wielcy, choć się zrażają, jednak podłość lubią.

Aliz wskórasz, aliz się w dobrej skłonisz porze.

Jużeś pan: już w dostatku, już jesteś w honorze,

Już i sam patrzysz z góry. — Aryście powoli!

Nie mienić się, żebym twojej nie zlorzeczył doli;

Szanuj swoich współbraci, miej dla nich wzgląd winny;

Szlachetny ptak nie kała swój kątek rodzinny.

Choć ci łaskawsza niż nam przyświeciła gwiazda.

Z tegoś ty wzleciał, w którym my siedzimy gniazda.

W równych byliśmy losach. w równym oba stanie

Żebym o nich zapomniał. sam pamiętaj na nie.

Minęły wieki złote, zaszedł czas żelazem:
Dziś zasługa z fortuną rzadko chodzi razem.
Los wszystko dokazuje. Jakiemi zalety
Ten jegomość przesiadł się z kozła do karety?
Czy mu rozum, czy cnota te zjednały względy?
Sekret w tem: w jakieś ważne wchodzi facyendy.
Pewny minister, mając rzecz z obcymi dwory.
Bierał go do konsulty, jadąc na Fawory.
Gdzie oba pozdrowiwszy kuflem los Europy.
Na jednej spoczywali łonie Penelopy.
Z takich to często dola ludzka głupstw zawisła!
Widział kto, jak jest drobna w źródle nasza Wisła?
Tego paneczka można porównać z jej nurty:
Mały i on niedawno nosił na szwach burty.
Rok tysiąc siedmsetny siedmdziesiąt piąty.
Płodny w mitry książęce, margrabie i conty.
Pasował go rycerzem, znać też w nim panicza.
Misternie sam się wozi, zręcznie trzaska z biczem.
Za cóż on, nie kto inny, wpadł fortunie w oko?
Krates pisze tak gładko, myśli tak głęboko:
Tyle pism pożytecznych w licznych wydał tomach.
Jakiż ma los? Obiadu szuka w cudzych domach.
Nie ma nie, ani nawet nadziei majątku;
Wart pokojów, a nie ma Krates swego kątku.
To prawda, że nareszcie Stanisław łaskawy.
Ile mu czasu na to własne dają sprawy.
Znając dobrze frasunek krajowych pisarzy.
Wchodzi w ich stan, zachęca, chwali, wspiera, darzy.
Nie można się na jego Muzom żalić czasy:
Jest August: ale jeszcze rzadkie mecenasy.
Niewielu nawet księgi polskie czytać raczy:
Jakże to ma zachęcać, co pogardę znaczy?
Darmo! darmo! nikczemna literatów rola!
Mamże się przeto rzec jej i chwalić Bartola?

Mamże na wykrętnego stan zmienić patrona,
I z ucznia Apollina być uczniem Iwona?
Przebóg! czy mi się zdaje? puls mój mocniej bije;
Zamyslać o tem trzeba, mieć w głowie manije,
Jażbym miał być patronem? a to znowu na co?
Czy dlatego, że kontusz łyzy sieroce płacą?
Że zgnębiona niewinność? zbrodnia ocalona?
Ach! na samo wspomnienie wzdrygam się patrona!
Z natury do litości skłonna moja dusza:
Od moru, głodu, ognia, wojny i ratusza
Niechaj mnie mój Apollo broni i zachowa!
Czas się wybierać w drogę: — Warszawa bądź zdrowa!

II.

Z KOMEDYI: „FIRCYK W ZALOTACH“¹⁾.

Scena V.

Aryst (w szlafroku). Gość, gość luby! Mojego witam do-
[brodzieja.

Fircyk (ściskając go mocno). A! jak się masz, pocziwy
[wieśniaku?

Aryst (wyrywając się wrzeszczy). Stój — dla Boga — co ro-
[bisz — starościcu? — boki!

(wydarłszy mu się).

A! mój panie, jak widzę, mógłbyś dusić smoki.

¹⁾ Musimy poprzestać na drobnych wyjątkach z komedyj Zabłockiego, bo chociaż w utworach jego dramatycznych jest wiele dowcipu, ale rozrzuconego, nieskoncentrowanego w scenach pojedynczych.

Fireyk. U nas w Warszawie takie jest przyjaźni hasło.

Aryst. A! niech cię licho weźmie; aż mi w karku trzasło.

Fireyk. Tylkobyś się nie pieścił. — Cóż tu u was na wsi? Zdrowsi, bogatsi od nas; lecz my za to żwawsii.

Aryst. A w Warszawie co słyhać?

Fireyk. Żle bardzo; pomorek.

Aryst. (ułaskłszy się odskakuje). Na ludzi?

Fireyk. Jeszcze gorzej.

Aryst. Przebóg!

Fireyk. Na mój worek.

Zgrałem się jak ostatni — szeląga przy duszy.

Ci nasi kartownicy gorsi od *Kartuszy*:

Złapawszy mię onegdaj, nie puścili póty,

Aż z ostatniego grosza zostałem wyrzuty.

W sześciu taliach trójka, banku faworyta.

Tak mu była przyjazna, a mnie nieużyta.

Żem na nią przegrał razy dwadzieścia i cztery...

Aryst. To być nie może, chybaś wpadł między szulery.

Fireyk. Tak dalece, że w jednej godzinie, gotowem Holenderskiem, ważącym złotem obrączkowem, Przegrałem tysiąc dusiów; a co mi w szkatule Brakło, musiałem wydać weksel na Trzy Króle, Na kontrakty do Lwowa — ale będę w Dubnie. Zje kata, kto mię złapie, a tem bardziej skubnie. Lecz wreszcie martwi mię to... straciłem tak wiele.

Aryst. Oj trzebaby, trzebaby waści w kuratele... Czy można, przy tak zacnem młodzieniec imieniu, Pięknych przymiotach, sercu dobrem, znacznem mieniu. Czy można się zapuszczać w nałóg tak fatalny, Nałóg tem żałośniejszy, że nienaturalny? Małoż człowiek wrodzonych ma w sobie zdrożności? Zmysły z duchem walezące, z cnotą namiętności. Ból, tęsknotę, zgryzoty, niepokój, choroby, — By jeszcze nowych szukać przez obce sposoby?

Fircyk. Mójże ty filozofie, mój ostry cyniku!
Dobry syllogizm w szkole, lecz nie przy stoliku.
Schowaj się z moralami, nie prosiłem o nie.
Ratuj mię, podaj rękę, bo ostatniem gonię.
Nie mam nic, prócz stałego do gry przedsięwzięcia.

Czy nie masz czasem jakiej wdówki do najęcia?
Mniejsza o to, czy stara, czy młoda, garbata.
Prosta, chroma czy ślepa, byleby bogata.

Aryst (dworując z niego). Jednoby się znalazło. Wybierz
[sobie którą.

Mamy tu babsko ślepe, lat sześćdziesiąt z górą.
Wszak ci takiej potrzeba?

Fircyk. Maż funduszu wiele?

Aryst. Już lat kilka w szpitalu siedzi przy kościele.
Fundusz dobry i pewny, jeszcze *Firlejowski*.
Babę mówią pacierze, pleban trzyma wioski.

Fircyk. Idźże waść do stu katów, nie praw mi ambai.
Ja chcę babę bogatej, on mi ślepa rai!

Ciężkież to teraz czasy! serce człeka boli.
Kiedy ludzie żyć dobrze umieliby, goli.
Źle w Polsce, zewsząd bieda. Minery Olkuskie
Zalane, żupy wpadły w kordony Rakuskie,
Zboże tanie, cło drogie, ojciec mój znów sknera.
Stary jak kruk nie daje nic i nie umiera.
Przecie się nie zła człeku upiekłaby grzanka.
Mógłbym jeszcze z rok szumieć i grać rolę panka,
Potembym się ożenił z jaką ciepłą babą.

Notandum z babą starą, z babą bardzo słabą.
Ale cóż? bab do dyabła! ładuj niemi bryki!
Są i bogate; cóż stąd? zdrowe gdyby byki.
Jeszczeby mię trup który mógł przeżyć do licha!

Nie jeden szczep zielony w starym pniu usycha. —

Ale co też ja darmo trudzę sobie głowę?
Przypomniałem. — znam jedną cud piękności wdowę:

Nieźleby się koło niej zawinąć nareszcie.

Pożycz mi przyjacielu dukatów ze dwieście.

Aryst. Ale, mój starościcu, masz długów bez miary...

Fireyk. Cóż u kata! czy na tę fraszkę nie mam wiary?

Aryst. (skrobiąc się w głowę). Ależ — bo — to — dobryś
[waść w kartowe *parole*...

Co do długów, dłużnik cię pono w oczy kole.

Fireyk. Wierzej mi, jakem *Fireyk*, oddam ci. — *Del resto*,
Gdy nie chcesz tego, jeszcze mam projektów ze sto.

A pominąwszy inne zaczniemy na fanty!

Wszak widziałeś i dobrze znasz moje taranty?

Konie dzielne, maść rzadka, gustowne ubranie...

Aryst. (przerywając). Więc?

Fireyk. Czy mię nie rozumiesz, chcę z tobą grać na nie.

Aryst. Człek uczciwy na fanty! — A ludzie co rzekną?

Fireyk. Tylkobys się waść schował z tą lekcją piękną.

Nie głupszego nad ludzkie obmowy i żarty.

Zawsze trzy części zwykły natrzasać się z czwartej.

W takim razie najlepiej jest iść na wytrwaną:

Nabzdużają się, nabzdużają, nareszcie przestaną.

Kto goły może zawsze, jak mi się też zdaje,

Sprzedać nie tylko konie, ale i lokaje.

(do Pustaka).

Hej! podać stolik do gry. — Najpierwsza rzecz u mnie:

Żyć wesoło, a potem gdy można rozumnie.

Ujrzysz, jaki ja stangret, jak furmanką robię.

Cztery konie na stolik! Dalej, dalej k'sobie!

Aryst. A jak się też pomylisz, a pójdą od-siebie?

Ostrzegam jak przyjaciel: wcześniej mi żal ciebie.

Fireyk. (ustawia stolik). Da się to widzieć. Otóż nasz sędzia
[przybywa.^b

Ej fortune; aby raz bądź mi miłościwa,

Va na moje taranty twoje jasno płowe.

Aryst. Nie, bracie, na pieniądze zwykłem grać gotowe.

Twoja furmanka w trzechset niech dukatach idzie:
Więcej jej nie taksuję.

Fireyk. A ty żydzie, żydzie!

Aryst. Ale zaraz gotowe.

Fireyk. Konie więcej warte —

Lecz wreszcie idę w trzechset, stawię je na kartę.

Aryst. W cóż pójdziem?

Fireyk. W rumel pikiet.

Aryst. Niech i tak: przystaję.

Kartuj waść. [daje.

Fireyk (skartowawszy). Proszę zebrać. — Czekać. — Większa

Aryst (do Pustaka, który chce odejść). Stań za mną. (do
[*Fireyka*). U mnie *walet*.

Fireyk (patrzając na zebraną). Ja zbieram na damie.

Drżj bracie, dama u mnie zawsze szczęścia znamię!

(Rozdaje karty).

Aryst (patrzając w swoje karty). Niezła. Siedm kart, *sekwens*
[siedmnasty, *kwarta*

Major, czternaście kralek.

Fireyk (patrzając w swoje). Co za brzydka karta!

Aryst. Dobieram trzech. Przedziwna.

Fireyk (patrzając w karty). Pełno wszystkich maści,

A sam drobiazg!...

Aryst (do Pustaka). Ty chciałeś już odchodzić? Naści!

Patrzaj, jak dobra!

Pustak (zazierając w karty). Widzę.

Aryst. I wygram.

Pustak. Daj Boże!

Fireyk (dobierając się z reszty kart). Kto nie waży, ten nie
[ma. Dobiorę się może.

Zobaczę, co też wziąłem (przeziera karty). Moje dobrodziki.

Trzy damule, trzy króle, i cztery asiki

Przedziwna się zrobiła. — Po tych swoich drwinkach,

Poskrob się bracie w głowę, weźmiesz po tebinkach.

(Wymienia karty).

Ośm kart, ośmnasty sekwens, a trzy króle,

A czternaście asików, przytem trzy damule.

Rozumiesz? to sześćdziesiąt! (zadaje). Jedna, dwie, trzy, cztery

Pięć, sześć.

Aryst (mówi z refleksyi, odrzucając). Co też ja robię? Darmo
[trzymam kiery!

Fircyk (zadając dalej). Siedm, ośm, — dziewięćdziesiąt. Masz
[tedy *kapota*.

Aryst (z zapalczywością). Wszyscy mi kaci w dom mój tego
[wnieśli trzpiota!

Fircyk. Dopiero odetchnąłem. Jakem człek pocziwy
Pierwszy raz w grze stchórzyłem. — Takeś był szczęśliwy!

Ktoby się był spodziewał na takie początki

Nie miałem jak siódemki, ósemki, dziewiątki...

Te mi asy i sekwens pomogły kaducznie.

Aryst. Ale mój przyjacielu, nie hucz tak, nie hucz! nie!

To pierwsza gra, zobaczysz dalej, kto skorzysta.

Chcę na tobie wetować. Stawka drugie trzysta.

Fircyk. Nie, to mało! Chce mi się waćpana furmanki.
Albo też wiesz co?

Aryst. Słucham.

Fircyk. *Podublujmy* banki.

Aryst. Zgoda. Zbierz. Mniejsza daje.
(Zbierają).

Fircyk. Cóż to masz?

Aryst. Dawida.

Fircyk. Ten król miał dobrze grywać. Żle koło mnie! — bięda!
Ja co mam? Judyth — Judyth dodaje mi serca
Zadrżyj Holofernesie.

Aryst (karząc go). Waść zawsze bluźnierca
Bóg cię skarze i za to samo przegrasz może.

Fircyk (śmiejąc się). Co za święty koster! — tem lepiej,
Będzie dla ciebie! [nieboże.

Aryst. No, no (patrząc w karty). dosyć dobrą mamy:
Króle się pokazują gęsto. Są i damy.
Kat że po tem — *skucensu* nie ma — w maściach przerwy —
(dobiera kart).

Biorę trzy. — A! pfe! gorsza!

Fireyk. Ja tak gram, jak pierwiej.
Czternaście asów, karta z *skucensu* szesnasta.
Dwie *kwart major* — i *kapot*. — Nie gram więcej; *basta!*
(wstaje od gry).

Wygrawszy więc dziewięćset dukatów i konie.
Pozwolisz, że się twojej pozalecam żonie.

Pustak (cicho do *Fireyka*). Winszuję Panu.

Fireyk. Od kart daruję ci stołek.

Pustak (cicho). Wolalbym raczej dukat, ja, chudy pacholek.
Pan zawsze pan, na stołku, czy siedzi na sofie...

Fireyk (do *Arysta*). Teraz rób syllogizmy! Bądź zdrów
[filozofie.

III.

Z TEJŻE KOMEDYI.

Scena XIII

(pisanie intercyzy).

Świstak (do *Prawnika*). Po prostu; bez konceptu; to praca
[niewielka.

Pustak. Dosyć będzie mospanie dukat i butelka.

Prawnik. Ale prócz przepisania. Złoty od arkusza.

Świstak. No, no, niechże i złoty. Jurystowska dusza!

Pustak (do kompanii). Od wszystkiego zdarzenia miarkując
Posłałem po jurystę do bliższego grodu. [z zachodu,

Ale całą starszysznę sprosił podkomorzy.
Wszyscy podochočili, wszyscy leżą chorzy.
Jeden tylko półtrzeźwy drzemał przy kwerendzie.
Zbudziłem go i przywiózł. On nam pisać będzie.
Jeśli zajdzie potrzeba.

Podstolina. A! to komedja!

Po cóż on?

Prawnik. *Ad praestanda juris officia.*

Fircyk. Owszem, bardzo się przyda; właśnie tu jest w porę:
Spisze nam intercyzę.

Prawnik. *De quali tenore?*

Fircyk. Wszem w obec i każdemu wiadomo to czynię:
Że lubo moje serce daję podstolinie,
Nie wkładam jednak na nią obowiązków, aby
Dla mnie chowała tylko swój wdzięk i powaby.
Owszem, wolno jej będzie, okrom różnych strachów,
Ze wszelkiem bezpieczeństwem dwóch mieć sobie gachów,
Jednego przez wzgląd serca, drugiego z intraty:
Jeden żeby był zacny, a drugi bogaty.
Co czyli będzie głośno, czyli potajemnie,
Wolno to wiedzieć wszystkim, byle tylko nie mnie.

Aryst. Mój bracie, nie potrzeba żartować w tej mierze.

Podstolina. Ledwie wie, że kochany, zaraz ton swój bierze.

Fircyk. Sama jedna na wszystkie widoki, zabawy
Jeździć będzie, nie dając mężowi stąd sprawy...
Cóżby to jeszcze więcej włożyć? Ale, ale!
Co mąż zrobi, imości nic do tego wcale.
Choćby jego niewiary była pewna nawet,
Nie będzie na to sarkać, lecz odła wet za wet.

Aryst. A! to sposób pisania intercyz jedyny! [bez łaćiny!]

Fircyk (zawsze do prawnika). Zróbże to swoim stylem, tylko
Żeby zaś ta rzecz była trwała i wieczysta...

(do Podstoliny)

Będziemy, żono, prosić o podpis Arysta.

Aryst. No, no. podpiszę, ale kiedy będzie i ta nota:
Że świat cały równego tobie nie ma trzpiota.

Bałamuta, fireyka, wietrznika, świstaka.

Fireyk. A, jak ty, nudniejszego mędrca i dziwaka. (Odchodzi).

IV.

Z „BALIKU GOSPODARSKIEGO“.

Pieśń Orgona.

Ziarnko do ziarnka, aż się miarka zrobi;

Tym obyczajem idzie i w miłości.

Zwolna swą amant kochankę sposobi,

Nim się upewni o jej wzajemności.

Oko się najprzód wyprawia na zwiady,

Rzuca i zdybie swywolne wejście:

Dalej *suspirek*, towarzysz od zdrady,

Dalej kryjome ręki uściśnienie.

Dalej tysiączne ładajakie fraszki:

Żarty, chichotki, szeptania, igraszki.

Nareszcie miłość, a z miłości czasem

Ni to ni owo zjawi się nawiasem.

Pieśń Fintaka.

Nigdy lont. robion z siarki i z przedziwa

Mocniej nie pali, ani tak dogrzewa

Długim armata ogniem rozpalona,

Jak się w waćpanu zakochała ona.

Orgon (szydząc).

Jak armata

Tam do kata!

Fintak.

Ani kowalski tak się miech wydyma,
Gdy go oburącz chłop pleczysty ima.
Jak westchnieniami jej pierś napełniona,
Gwałtownie sapi, tak to kocha ona!

Orgon (śmiejąc się).

Zaś jako miech
To sto pociech!

Fintak.

Dzień i noc zawsze jedno powtarzanie:
„Ah! co porabia teraz me kochanie?
„Kiedyż mojego oglądam Orgona?“
A co? nie będzie kochana z niej żona?

Prawda, że dawna jej metryki data,
Lecz za to baba za katy bogata,
I już ostatkiem swej starości goni.
Radzę się za to uwinąć koło niej.
Zostawić młodym rozkosze i żądze,
Waćpan już stary, capnij za pieniądze!
A za nie (daj nam Boże tylko zdrowie)
Łatwo dostaniesz tego... jak się zowie...

V.

Z „ŻÓŁTEJ SZLAFMYCY“.

Pieśń Zofii.

Basia lat dwanaście miała,
Kolędy się napierała,

Matka jej wstążkę kupiła.
Sztuczka wstążki? to nie siła.
Ale Basia jeszcze mała
Lat tylko dwanaście miała.
Basia w rok więcej dojrzała,
Z kolędą się przypomniała,
I dostała dar od matki:
Kalendarzyk, w nim zagadki.
Nad jedną się zamyślała.
Bo już lat trzynaście miała.

Rok czternasty nie pomniała
O kolędzie, bo kochała.
Jaś dla niej kolęda miła,
Lecz się matka przeciwiała.
Mówiąc: jeszcześ nie dojrzała.
Nie będziesz go Basiu miała.

Rok piętnasty w chęciach cała,
Kolędy Basia czekała:
Wtem matula wchodzi z tatą.
Witają Basię kosmato:
Jużeś jagódko dojrzała,
Chcesz Jasia? Będziesz go miała!

VI.

Z KOMEDYI: „SARNIATYZM”.

Guronos. Jestem Guronos, szlachcie z naddziadów, podczaszy,
Wkrótce dam znać Żegocie, że mnie nie zje w kaszy.
Dom mój miałby pierwszeństwo dać jego domowi?
Mnie djabli wezmą, albo tego, kto tak powie!

Skarbimir. Ależ...

Guronos. Niech każdy odda, co należy komu!

Ja pytam: ta impreza skąd Żegotów domu?

Kościół, mówią, dla wszystkich... Nie zawsze! nie wszędzie!

Czemuż prosty kanona klechę nie podsiędzie?

Wszystko ma swoje szczeble; jest dalej, jest bliżej.

Niechże kto wart się wzniesie, kto niewart niech zniży.

Przecież żona Żegoty, o co z nami zwada,

Zawsze mi moją imość w kościele podsiada.

Skarbimir. Czyż...

Guronos (przerywając). Trzeba, abyśmy się lepiej zrozumieli.

Co stanowi lustr domów? — dawność paranteli!

Co znowu jej dowodzi? Metryki, herbarze.

Mauzolea. Dość naszych nie w jednej jest farze.

Daj sobie pracę, czytaj, wszędzie głośna sława

Domowi Guronosów applauzy przyznawa.

Nie setn m, nie tysięcznem okażę to licem!

Skarbimir. Któż wątpi? Jesteś waćpan jak trzeba szlachcicem.

Masz świetne antenaty, jasne ich wywody:

Lecz czyż to do sąsiedzkiej ma przeszkadzać zgody?

Czemu nie ważyć przyczyn?

Guronos. To też to sąsiedzie!

W tem kozera! Kto z nas krwi świetniejszej dowiedzie.

Ten pierwszy.

Skarbimir. Dom waćpana w zacne męże plenny,
Starożytny...

Guronos. Dodajmy: dom wielki, wojenny.

A co najrzadsza, równie z kądzieli jak z miecza.

Skarbimir. Wszystko to dawną jego świetność zabezpiecza....

Guronos. Jeżeli sławne gdzieś tam imię Fabijuszów.

I naszych tam niemało Tatarzyn wziął uszów.

Nie pomnę, w którym roku, lecz rzecz oczywista.

Że w tej kłęsce poległo Guronosów trzysta.

Skarbimir. Słyszałem tyle razy od waćpana....

Guronos. To mi

Dom! — Szczęściem został jeden Guronos Bartłomiej.
Gdyż był lactens w kolebce. — Doszedłszy lat pory. —
Po naszym Sędziwojów wonczas był dom wtóry.
(I już schodził) — otóż w nim wziął sociam vitae
Dobrosławę Gertrudę Jadwigę Brygidę,
Ostatnią z Sędziwojów herbu Koziej głowy.
Alluzyja jak wiemy z kroniki domowej:
Twardych rogów dla Marsa, a koziej osady
Do dziedzicznej domowi Sędziwojów swady.

Skarbimir. I to słyszałem.

Guronos. Otóż z tego Bartłomieja

I Brygidy, gasnąca dwóch domów nadzieja
Wskrzesiła się na Mieszku, jedynym ich synie.
Który Mieszko, pojawiaszy Gryzkę na Myślinie,
Spłodził Andrzeja, Marka, Piotra, Matyasza,
Protazego, Łukasza i Malachiasza.
Z których jeden był tylko sterilis Protazy.

Skarbimir. Już i o tem słyszałem po tylekroć razy!
Po cóż...?

Guronos (przerywając). Aby się tanta dowiedziała strona,
Że dom mój nie wyleciał sroce z pod ogona
I że żona Żegoty...

Skarbimir (przerywa). Może mniej roztropna....

Guronos (kończąc swoją genealogią). Z tych Andrzej pier-
[worodny, wziął Różę z Konopna.



VII.

Z TEJ ŻE KOMEDYI.

Skarbimir. Poprzednie interesu przez strony objęcie.

Mniemam, że go ułacni, mospanie rejencie.

Racz nam przeczytać projekt, co w sobie zawiera?

Rejent (dobywszy kopii projektu). Feria...

Skarbimir. Opuść, waćpan!

Rejent. Anno...

Skarbimir. Et caetera.

Rejent. Między ichność panami, Chrzcicielem Żegotą

A...

Guronos (wrzaskliwie). Protest, rzecz cała rozbija się o to.

Ja mam być pierwszej...

Rejent. Zaraz!

Żegota (do Guronosa). Zkąd te przywileje?...

Zkąd masz prawo?

Guronos (junacko). Pokażę!

Skarbimir (łagodząc). Mości dobrodzieje!

Rejent. Wszystko to się ułatwi, lecz sens nieskończony.

(Czyta projekt).

Między panem Żegotą Janem z jednej strony,

A w tąż na odwrót między jegomością panem

Markiem Guronos z jednej, a Żegotą Janem

Z drugiej strony, czyniącym, stroną i powodem...

Skarbimir. Już więc każdy z waćpanów i górą i spodem.

Burzywoj (rad temu). Trudno mówić, zwrot piękny, szcze-

[śliwego pióra.

W jakich formach te głowy odlewa natura?

Bo to chytró i mądrze, doweipnie i składnie.

Jak kot: rzucić go łbem z góry, kot na nogi padnie.

Znać nie darmo jadł w szkołach pan Widymus kaszę.

Guronos (niespokojny). Za cóż mają tę kolej mieć imiona
Żegota. Tak jest, jak być powinno! [nasze?

Guronos (groźnie). Mylisz się, mospanie!

Żegota. Zkądże to waszećpana rodu przodkowanie?

Guronos. Zkąd? zkąd nie waszećpana. Z naszych zasług źródła!

Żegota. A mojaż to krew ma być, mówisz waszmość, podła?

Nie ma swoich pamiątek?

Guronos. Od dwóch lub najwięcej
„Lat trzech set!

Żegota. Wasz zapewne ma od dwóch tysięcy.

Szkoda, że tej dawności archiwa przepadły

W on czas, gdy nam Popieła króla myszy zjadły.

Burzywój. Wujaszku, nie znoś!

Guronos (podburzony do Żegoty). Co? Jak?

Żegota (junacko). To tak!

Guronos. Słuchajże ty!

Żegota. Ty sam, ty! ty!

Guronos (przyskakując do Żegoty). Rozumiesz!

Żegota (uskakując). Burdy! Szerepety!

Nauczę was!

Rcjent. Panowie!

Guronos. Kto to burda?

Burzywój. Kto to

Szerepeta? Komu to śmiesz mówić, hołoto?

Skarbimir. Panowie! po tak pięknym wstępie do przyjaźni...



JAKÓB JASIŃSKI

(zmarł 1794 ¹⁾).

—•••—

I.

Z poematu żartobliwego „Sprzeczeki“.

Pieśń pierwsza.

Nie śpiewam bohaterów, ni tych wojen srogich,
Co są zabawą możnych, uciskiem ubogich.
Gdzie marnym sławy cieniem rycerz omamiony,
Poświęca drogie życie dla cudzej korony:
Lub gdzie najemni zbójcy dla nędznej zapłaty,
Broczą we krwi niewinnej mordercze bułaty.
Sprzeczeki powiem spokojne, sprzeczeki trochę święte,
Niekrwawe, niezabójcze, lecz niemniej zawzięte,
Które po różnych walkach z pobożnym uporem
Dały nareszcie górę farze nad klasztorem.

¹⁾ Jenerał Jasiński, którego Kołłątaj chciał zrobić naczelnikiem w miejsce Kościuszki, poległ przy szturmie Pragi. Utworów swoich poetycznych nie drukował. W ogólnym zbiorze wydano je po raz pierwszy w Krakowie w r. 1869. Wydawca J. R. B. (właściwie wydawcą był Wójcicki, a J. R. B. dostarczał funduszków na różne wydawnictwa) podaje w przedmowie mylną wiadomość, że z poematu „Sprzeczeki“ tylko mały ustęp był drukowany w „Tygodniku wileńskim“. Owszem „Tygodnik“ ogłosił w r. 1819 prawie cały poemat, streszczając jedynie niektóre ustępy drażliwsze. Co więcej, „Tygodnik“ ogłosił całą pierwszą pieśń i początek drugiej poematu żartobliwego „Ciańcia“, o czym Wójcicki wcale nie wiedział i ztąd też „Ciańci“ do ogólnego zbioru nie wcielił. Niema też nawet wzmianki w wydaniu Wójcickiego o początku innego poematu Jasińskiego, z którego kilka wierszy „Tygodnik wileński“ przytoczył. Wyjątki ze „Sprzeczek“ drukujemy podług „Tygodnika wileńskiego“, gdyż przedruk Wójcickiego jest mocno skażony nieudatnemi przeróbkami.

Muzo! powiedz przyczyny: co za dzielna siła
Serca święte tak smutnym jadem napelniła?
A jakim nowym cudem uśmierzona jędra
Zgodziła mnichy, mniszki, dewotkę i księdza?

Niedaleko przy Krakowie.
Zapomniałem jak się zowie,
Leży uboga miescina,
Tam się kończy, gdzie zaczyna:
Gdyż, jak mówią w całym mieście,
Niema pełna domów dwieście
I te bardzo jeszcze zimne.
Bo dzisiaj drogie podymne.
Dwa klasztory, jedna fara,
Karczma nowa, karczma stara.
Ale obie, jak zwyczajnie,
Gnojne, brudne, gdyby stajnie.

Pytać żyda co potrzeba
Niema siana, niema chleba.
Tylko za to jest gorzałka,
Niegodziwa ta wypalka.
Co robi dziwne igrzyska.
O sto kroków trąci z pyska:
Lecz ci, co nam prawa dają,
Za nektar ją słodki znają.

Gród pod słomą, dwa spichlerze,
Jedna studnia, dwa pręgierze,
Żeby parobki stajenne
Miały przestrogi codzienne.
Że u nas dekret surowy
Kto kocha kozy lub krowy.
Izba radna zrujnowana,
Znak na słupku Floryana
Zwyczajny napis: *Benigne*
Defende nobis ab igne.

Rozwiń nad nami chorągiew,
Nie mamy wiader ni stągiew;
Otóż już wszystko i basta.
Z ulic, przedmieść, rynków, miasta.

Firlej był panem niegdyś tego grodu,
Ów Firlej sławny, pobożny, uczony,
Zaszczyt ojczyzny, perełka narodu.
W wojnach, w senacie nigdy niezwalczony:
A co największym jest jego zaszczytem,
Że był królowej Bony faworytem.
Pod nim kwitnęły nauki, rzemiosła,
Cnota, poczciwość, żyzność narodowa,
Sława z oręża w górę się podniosła.
Pod nim był kontent i król i królowa;
W nim miał ubogi ojca, dobrodzieja...

'ak to bywało za czasów Firleja!...

Gdy się dość nażył dla kraju i sławy.
A wiek późniejszy radził żywot cichy,
Bogu na chwałę, sobie dla zabawy,
Zaczął fabrykę i fundował mnichy,
Obok prac świętych mile towarzyszki:
Bona królowa fundowała mniszki.
Od dawnych czasów w szczęśliwej prostocie
Żyły spokojnie mnichy wypieszczone,
Służąc pocziwie ołtarzom i enocie,
Nie znały co świat, co troski szalone:
Dobra królowa, hojne fundatory
To grunt pokoju i świętej pokory!

Mniszki z swej strony przykładne, pobożne,
Tak jak przystoi na święte dziewice,
W mowie dyskretne, w postępkach ostrożne,
Córki kościoła i oblubienice;
W zmartwieniach ciała i pokorze duszy
Żyły z paciorków i licznych funduszy.

Stał blisko fary domeczek pochyły.
Na wikaryjkę był zrazu stawiony;
Potem, gdy spodnie podręby pogniły,
Zrobiono drugi, ten był zarzucony.
Tak zawsze bywa, czas te prawa daje:
Upada jedno, a drugie powstaje.

Ksiądz dziekan w czasie dostawszy prezentę,
Żeby swe imię w potomności wsławił,
Sobie na zaszczyt, ludziom na ponętę
Fundusik mały na domku zostawił.
Boki połatał, dach sporządził nowy,
Poświęcił, zamknął, jużci dom gotowy!
Nie chcę ja słuchać co plecie obmowa,
Czemu, dla kogo ksiądz dziekan to czynił;
Złość ludzka wszystko przewrócić gotowa.
A jabym za nią niesłusznie obwinił.
Dość, że w tym domku już ze cztery lata
Mieszkała panna, imieniem Beata.
Panna to była uczciwa i święta.
Zamożna w cnoty, lata i talenta.
Z rodu szlachetna i, jak powiadała,
Blizka kuzynka świętego Rafała ¹⁾.
Lecz cóż tam imię, to próżność światowa,
Gdzie niema inszej prócz tego zalety.
Nieraz występpek pod herbem się chowa, --
Cnota to zaszczyt, zwłaszcza u kobiety.
Panna Beata wszystko razem miała,
Boga i bliźnich jak siebie kochała!

Ach! gdyby też jakim cudem
Był człowiek w ową godzinę,
Kiedy ułożywszy minę

¹⁾ Ktoś dopisał później w tem miejscu, że autor znał pannę Chylińską, dewotkę, a Rafał Chyliński wpisany jest w poczet błogosławionych — dlatego i imię panny: Beata.

Śpiewała godzinki z ludem!
Co za głosik wypieszczony!
Jak pierś pod chustką igrała!
Zwłaszcza kiedy powtarzała
Wiersz ostatni z antyfony.

.
Lub kiedy przy wielkiem święcie
W Wielkanoc, lub Wniebowzięcie
Huknęła przy licznych gościach
„Ja mieszkam na wysokościach!“
Dopieroż widzieć ją w domu.
Gdy nieprzystępna nikomu.
W duchu do nieba wzniesionym,
Przy oknie na wpół przymknioném,
Pacioreczki nawlekała
Albo wianeczki składała;
Tam każde listka schylenie
Miało swoje pozdrowienie,
A kiedy główkę schylała,
Gdy przyszło do służebnicy.
Jak skromnie oczkiem strzelała:
Kto tam i gdzie po ulicy?

Czy kto wstąpił do sąsiada
Albo gdzie skromna biesiada,
Wesele, stypa, czy chrzciny,
Rozwód, zgoda, imieniny.
Panna Beata proszona,
W kłunny, druchny, za patrona.
Czy umarłego w kwiatki strojono.
Czy do święcenia wianki niesiono.
Czy był gustowny, czy był bogaty
Sądziło zdanie panny Beaty...
Alem w jej pochwałach długi,
Boję się ludzkiej zazdrości,

Kto nierad z cudzej zasługi,
We wszystkim znajdzie zdrożności!

.
Pannyby na mnie lajały
I miasto wszelkiej zapłaty,
Niewinnieby mnie nazwały
Amantem panny Beaty.
Wolę skończyć jej pochwały.
Cnota nie żąda głoszenia;
Komu ją nieba przyznały
Niedba o me nędzne pienia;
Przystąpmy zatem pomału
Do końca tego rozdziału ¹⁾.

II.

JASŚ i ZOSIA.

Chciało się Zosi Jagódek
Kupić ich za co nie miała.
Jaś ich miał pełny ogródek.
Ale go prosić nie śmiała.

¹⁾ Panna Beata, jak łatwo się domysleć, była przyczyną nieporozumień między dziekanem, mniszkanin i zakonnicami. Opis tych nieporozumień jest treścią następnych pięciu pieśni „Sprzeczek“, z których każda jest obszerniejsza od pierwszej. Jasiński poszedł za ówczesną modą żartowania z duchowieństwa świeckiego i zakonnego, czemu u nas w poezyi dali początek Krasicki swą „Monachomachią“ i Węgierski swemi „Organami“. Ponieważ zaś „Monachomachią“ daliśmy już w streszczeniu, a „Organy“ przytoczyliśmy w całości, możemy więc śmiało poprzestać na podanym wyjątku ze „Sprzeczek“. Zwracamy jednak przy sposobności uwagę miłośników historii naszej literatury, że znajduje się w „Sprzeczkach“ ustęp bardzo ciekawy, bo występujący przeciw klasycyzmowi, drwiący z „mędrców Sorbony“ i z wszystkich uznanych podówczas przepisów poetyki.

Wnet sobie sposób znalazła.
Z domu się rano wykradła.
Cicho przez płotek przelazła
Wiśnie Jasiowi objadła.
Poznał się Jasiek na szkodzie.
„Wróble to, mówił, zrobiły.
Odtąd mi w moim ogrodzie
Nie będą ptaszki gościły”.
Na drążku, tak jak należy.
Kapelusz pięknie ugładził.
Zawiesił starej odzieży
I stracha w sadzie posadził.
Zośka się strachów nie bała.
Płotek szczęśliwie przebyła.
Z swojej się sztuki rozśmiała
I nową szkodkę zrobiła.
Łatwo się Jasiek domyślił.
Co to za ptaszek tak śmiały.
Nowe siodelka wymyślił
I dobrze mu się udały.
Na miejsce łyeczki udanej.
Cicho pod drzewem sam staje.
W starej odzieży ubrany.
Stracha owego udaje.
Podług swojego zwyczaju
Zosia gałązkę nagina:
„A tuś mi mały hultaju!”
Złapana biedna dziewczyna.
Potem, jak słuszność kazała.
Karał złoczyncę przy szkodzie.
Zośka z początku krzyczała.
Potem umilkła przy zgodzie.

W.
KONIEC TOMU DRUGIEGO.



10989

P.698.

~~P.24611~~

MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA

w Radomiu



